

**KŁĘSKA
NEO-TVP**

SIECI
MIMO MILIARDÓW
Z BUDŻETU
DRAMATYCZNIE
NISKA
OGLĄDALNOŚĆ,
ŻENUJĄCA
JAKOŚĆ

**NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO
NA POLAKACH ZACZEŁO SIĘ
W PIERWSZYCH GODZINACH WOJNY**

**10 RAD
NA NOWY
ROK SZKOLNY
OD DOROTY
ŁOSIEWICZ**

**ŻYCIE WIECZNIE?
ODWRÓCIĆ CZAS?
ALEKSANDRA
RYBIŃSKA
O SZALONYM
PROJEKCIE W USA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

35 (613) 2024
26 sierpnia - 1 września 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

POLICZYLIŚMY!

**300
MILIONÓW
STRAT
DZIENNIE
KOSZTUJĄ
RZĄDY
TUŚKA**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 2 IX 2024 r.

Światłowód + Telewizja

od **19** zł/mies.

przez rok po rabatach

**Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.**

**Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.**



Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona” na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat” nie obejmuje pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekod. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na pilsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu smartDOM**, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtel Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon” na pilsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 20.08.2024 r.

Konwejer Tuska

Kiedy Polak otrzymuje w Berlinie lub w Moskwie nagrodę za zarządzanie Polską, powinna nam się zapalić lampka alarmowa. Silna militarnie, realnie suwerenna, rozwijająca się gospodarczo, zdolna do zatrzymania młodych obywateli Rzeczypospolita nie jest w interesie tych stolic i nigdy nie będzie. Owszem, Niemcy mogą chcieć Polski tylko uległej, sprowadzonej do zaplecza gospodarczego, a Rosjanie zniewolonej w sposób prymitywny, XIX-wieczny, ale zasadnicza sprzeczność pozostaje w mocy. Dobre rządzenie naszym krajem także dzisiaj oznacza konieczność twardej obrony jego interesów, co w konsekwencji prowadzi do ataków ze strony sąsiednich potęg.

Za swoje „zasługi” w latach 2007–2014 Donald Tusk otrzymywał niemieckie medale, a cena dla naszego kraju była straszna. Armia w stanie zapadłości, wyprzedaż majątku narodowego, mafie VAT-owskie, pogłębianie podziałów społecznych, głodne dzieci i emigracja młodych. Dziś zaczyna się powtórka z tej ponurej historii, o czym przeczytacie państwo we wstrząsającym tekście Konrada Kolodziejskiego (str. 18–21). Równocześnie ekipa Tuska brutalnie łamie konstytucję, ustawy, uprawnienia prezydenta i Trybunału Konstytucyjnego. Rządzi bezprawnymi uchwałami, rozporządzeniami, aresztami wydobyczymi i brutalną siłą policyjną pałki. Nic, nawet konkordat nie jest dla niej ograniczeniem, bezwstydu jednostronnie niszczy cały system nauczania religii w szkołach. Zapewne po to, by w to miejsce wprowadzić propagandę demoralizacji, zachowań „nienormatywnych”, a w efekcie zaburzeń młodych ludzi.

Nawet najlepiej opłacana rządowa propaganda nie jest w stanie przypudrować tego obrazu. Zresztą klęska neo-TVP, co bardzo ciekawie opisuje Jakub Maciejewski na str. 22–24, pośrednio jest wynikiem dramatycznie niskiej jakości tych rządów. Ta władza nie ma się czym pochwalić, nie ma żadnego pomysłu na Polskę. Jest leniwa, żałośnie słaba intelektualnie, w swoich metodach często zwyczajnie kryminalna. Sięga też po „putinowskie szmaty”. W takich warunkach propagandystom pozostaje tylko przekazać w stylu putinowsko-lukaszewskowskim, czyli całodobowe, nieprzerwane szczurcze na politycznych konkurentów.

Po 13 grudnia 2023 r. uruchomiono właśnie taki konwejer, taśmociąg prześladowań opozycji. Centrum decyzyjne obozu władzy dba dzisiaj

wyłącznie o to, by każdego tygodnia rzucić na tę taśmę nową ofiarę. Żadne fakty nie mają tu znaczenia, żadne zasługi dla państwa polskiego nie chronią przed bezprawiem, niewinność nie jest najmniejszą przeszkodą. Dowody są uznawane za zbędne. Tusk rzucił hasło o podobno skradzionych „100 mld”. Ale już jego ministrowie bąkali pod nosem o 5 mld, które są „badane”.

Normalne prowadzenie urzędów, instytucji, spraw państwowych jest nazywane przez obsługę konwejera przestępstwami, a wydawanie pieniędzy na inwestycje i cele społeczne próbuje się przedstawiać jako rzekome złodziejstwo. Szczególnym, perwersyjnym przykładem jest tu ściganie ludzi, którzy podejmowali trudne i pilne decyzje w czasie pandemii i wojny. Dziś oskarżyciele w ogóle wymazują ten kontekst. Kto w tej sytuacji zaryzykuje dla państwa i jego obywateli cokolwiek w przyszłości?

Konwejer prześladowań ma zajmować opinię publiczną na co dzień, by nie dostrzegła procesu demontażu polskiej gospodarki i instytucji państwa polskiego. Ale jest i cel dalekosiężny: zniszczenie tych instytucji demokratycznych, które mogą ochronić obywateli przed coraz bardziej autorytarną władzą oraz tych, które mogą się stać formułą organizacji społecznego oporu i w konsekwencji zmiany. Nie ma wątpliwości, że dziś jest nią Prawo i Sprawiedliwość kierowane przez Jarosława Kaczyńskiego. Nie ma żadnych podstaw, by odbierać tej formacji finansowanie publiczne, a stawiany zarzut korzystania z promocji, jaką niesie sprawowanie władzy, jest bezprawny i zakłamany. Bo jeśli to powód do odebrania subwencji, dlaczego nie ściga się PO za Campus Polska, billboardy Owsiańska, propagandę miejską Trzaskowskiego?

Z punktu widzenia Polaka zatroskanego sprawami kraju dzieją się rzeczy bardzo złe. Kto może być zadowolony z takiej polityki? Odpowiedź przynosi informacja, że w połowie września Donald Tusk ma otrzymać kolejną niemiecką nagrodę. W Poczdamie wręczy mu ją i wygłosi laudację kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Ma być przyznana za „niezachwianą walkę z autokracją”. W uzasadnieniu wymienia zapewne listę wrzuconych za kraty patriotów i podadzą listę zarzniętych polskich gospodarczych czempionów.

Jak długo Polacy będą na to pozwalali? ➤

Michał Karnowski





31

Zagadka wysadzenia
Nord Stream
Marek Budzisz



34

Radykalny wybór
Ameryki
Dariusz Matuszak



53

Ciemna strona
gwiazd
*Jolanta
Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

- 5 **ŻOŁNIERZE NADAL WYKŁĘCI**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **POD ŚNIĘTYM LESZCZEM**
Krzysztof Feusette
- 9 **CO SŁYCHAĆ W UŚMIECHNIĘTEJ
POLSCE**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **Z ZASOBÓW PAMIĘCI...**
Jan Pietrzak
- 12 **O WYŻSZOŚCI SIKORSKIEGO
NAD CIĄŻYŃSKIM**
Samuel Pereira
- 13 **INNE POSTRZEGANIE
BEZPIECZEŃSTWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA MARCINA BĄKA**
Michał Korsun
- 17 **KAŻDE POKOLENIE
MA WŁASNY CZAS**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 18 **300 MILIONÓW DZIENNE**
Konrad Kołodziejcki

KRAJ

- 22 **KLĘSKA NEO-TVP**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 25 **PREZYDENT NA MIARĘ**
Stanisław Janeczek
- 28 **10 RAD NA NOWY ROK SZKOLNY**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 31 **ZAGADKA WYSADZENIA
NORD STREAM**
Marek Budzisz
- 34 **RADYKALNY WYBÓR AMERYKI**
Dariusz Matuszak
- 37 **ŻYĆ WIECZNIE**
Aleksandra Rybińska
- 40 **KTO W WATYKANIE
CHRONI RUPNIKA?**
Goran Andrijanić
- 42 **GEOPOLITYCZNA WIZJA
VIKTORA ORBÁNA**
Grzegorz Górny
- 45 **MOC CAMINO**
Małgorzata Wolczyk

OPINIE

- 48 **Z TOMASZEM ROWIŃSKIM**
rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

- 50 **NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO
NA POLAKACH**
Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

- 53 **CIEMNA STRONA GWIAZD**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 56 **WYTWORNY, SPEŁNIONY I SAMOTNY**
Maciej Walaszczyk
- 58 **SATANIC PANIC**
Robert Tekieli
- 59 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 60 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk
- 62 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

NA WAKACJE

- 63 **FLAMENCO, CORRIDA, MALAGA
I WSZYSTKO JASNE**
Piotr Ostrowski

SPORT

- 66 **KATARZYNA NA SZCZYCIE**
Dorota Mękarska

NATURA DLA LUDZI

- 68 **NIEZNANE LASY EUROPY**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 70 **MOJE SMAKI: JULIETTE BINOCHÉ**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 73 **MECZ ŻENADA**
Ryszard Czarnecki
- 74 **NA KOGO PRZERZUCIĆ GŁOSY!**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

BRONISŁAW WILDSTEIN

Żołnierze nadal wyklęci

Stosunek do żołnierzy wyklętych w Polsce wyznaczany jest przez polityczną afiliację. Nieuprzedzony obserwator byłby zdumiony. Żołnierze ci to przecież członkowie polskich sił patriotycznych (głównie AK) walczący o niepodległość Polski, wcześniej z Niemcami, potem z Sowietami, którzy za pomocą posłusznych sobie formacji przemocą narzucali nam zależny od Moskwy ustrój. Uznajemy niepodległość państwa za wartość, a komunizm za system totalitarny, który wymierzony jest w zasady naszej cywilizacji. Konstytucja Polski już w art. 13 zakazuje funkcjonowania organizacji „odwołujących się w swoich programach do totalitarnych praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu”. Cóż więc może być kontrowersyjnego w docenieniu tych, którzy z komunistami walczyli?

Słyszymy, że ich opór był beznadziejny. Czy występowanie w słusznej sprawie przeciwko nawet wielkiej przemocy dyskwalifikuje? Próba sprowadzenia moralności, w tym patriotyzmu, do utylitaryzmu, czyli jednoznacznie rozumianej użyteczności, oznacza śmierć tej pierwszej. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć dalszych konsekwencji swoich działań, zresztą i z bliższymi mamy kłopoty. Czy to na pozór beznadziejna walka o niepodległość w trakcie rozbiorów nie doprowadziła ostatecznie do restytucji Polski?

Żołnierze wyklęci niebezpieczeństwo brali na siebie, co w ich postawie było niewłaściwe? Czy antykomunistyczna opozycja lat 70. i 80. nie była także postrzegana jako beznadziejna? Nie była to walka zbrojna, ale spójrzmy prawdzie w oczy, wybór metod podyktowany był warunkami.

To, że komuniści odsądzali żołnierzy wyklętych od czci i wiary, to oczywiste. Po upadku PRL podejście to powinno się jednak radykalnie zmienić. Nie stało się tak. Wiersz „Wilki” traktujący o żołnierzach wyklętych Zbigniew Herbert publikuje w zbiorze „Rovigo” w 1992 r.: „Ponieważ żyli prawem wilka / historia o nich głucho milczy”.

To milczenie historii pokazuje siłę postkomunistycznego układu. Porozumiała się z nim i ostatecznie wtopiła weń część solidarnościowych elit ze środowiskiem „Wyborczej” na czele.

Wydawało się, że ten stan zmienił się po aferze Rywina. Odsłoniła ona kulisy III RP, pokazując, że Polską rządzi nadal nomenklatura z dokooptowanymi tylko grupami dawnej opozycji. Wybory 2005 r. wygrały w ogromnej większości ugrupowania oficjalnie kontestujące *status quo*. Kiedy jednak okazało się, że partia Donalda Tuska przegrała z PiS, a on sam nie został prezydentem, postawił na alians z establishmentem III RP.

Był to proces. Jeszcze w 2011 r. PO i PiS wspólnie przegłosowały święto poświęcone żołnierzom wyklętym. Jednocześnie strategia Tuska, który za pomocą dominującej w Europie

ideologii postanowił anihilować swoich konkurentów z PiS, a więc i idee, do których się odwoływali, prowadzi do tego, że antykomunistyczne podziemie znowu staje się wyklęte. Przedsięwzięcie o tyle trudne, że oficjalnie PO deklaruje patriotyzm, który wyraża się w biało-czerwonym pustym serduszkach.

Piszę o tym sprowokowany wypowiedziami Rafała Wnuka, autora wraz ze Sławomirem Poleszakiem monografii żołnierzy wyklętych „Niezlomni czy realiści”. Opinie miarodajnych historyków są na jej temat pozytywne. Chętnie wierzę. Nie byłby to pierwszy wypadek, gdy zachowując uczciwość faktograficzną, badacze tracą ją, dokonując interpretacji, która dyktowana jest przez środowiskowo-polityczne uwikłania. Wnuk powołany został na stanowisko dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, aby dokonać „depisizacji” tej placówki.

W licznych wypowiedziach na temat żołnierzy wyklętych protestuje on przeciw samej nazwie bo „nie dla wszystkich byli wyklęci”. Nie istnieje zjawisko jednakowo oceniane przez wszystkich, a więc zrezygnować musimy z określeń? Antykomunistyczni bojownicy byli oficjalnie wyklęci w trakcie trwania PRL i właściwie ponad dekadę potem. Nie wystarczy?

Byli to różni ludzie, niektórzy się zdegenerowali – słyszymy. To banal dotyczący każdej zbiorowości. Wojna, zwłaszcza jej partyzancki wariant, to stan ekstremalny, który wiąże się z tragicznymi wyborami i demoralizuje. Mamy zaakceptować pacyfizm?

Niektórzy akowcy nie chcieli dalej walczyć z bronią w ręce, ale zmusiły ich do tego prześladowania – wywodzi Wnuk. Czy to, że w samoobronie zdecydowali się na samobójczą walkę, degraduje ich? Dowartościowujemy powstańców w getcie, czy nie powinniśmy zastosować tej samej miary w odniesieniu do beznadziejnie broniących się patriotów?

Krytycy „kultu żołnierzy wyklętych” błyskawicznie przechodzą do uderzenia w PiS, który eksponował pamięć o nich. Spór o historię podporządkowany zostaje doraźnej walce politycznej. Więcej mówi to o owych krytykach niż o antykomunistycznych bojownikach. Pseudoargumenty przeciw żołnierzom wyklętym zastosować można w stosunku do każdego zbrojnego oporu przeciw przemocy okupanta. Posługujący się nimi nie myślą o tym. Chcą dokopać PiS. 



Sygnalista nadaaje

 Tylko w jednym jeziorze – Dzierżno Duże – wyłowiono ponad 100 t śniętych ryb. Donald Tusk nie wypowiada się jednak na temat tej katastrofy ekologicznej, a zamiast tego... wrzucił do internetu zdjęcie z wiewiórką i humorystycznym komentarzem: „Pogadaliśmy jak ruda z rudym”. Dobrze, że nie jak dwie ryby z Dzierżna. Z komentarzy internautów najbardziej spodobał nam się ten: „Specjalizacja: tweety o niczym”. Mamy władzę, która Polskę w ogóle się nie przejmuję. Cena za te lata może być straszna.

 Tylko maszyna represji reżimu Tuska pracuje pełną parą. Każdego dnia znajdują się chętni do wskazania nowych celów. W ramach trwającej tam kuriozalnej debaty, komu następnemu dowalić, kogo przytknąć, a kogo rozliczyć **Roman Giertych** zaproponował, by było to Radio Maryja. „Porządne śledztwa prokuratorskie wokół wszystkich dotacji na Radio Maryja i odebranie koncesji za łamanie konkordatu” – zaproponował. Redakcja Radia Maryja odpowiedziała precyzyjnie, punkt po punkcie wskazując nieścisłości i kłamstwa. Po szczegóły odsyłamy na portal wPolityce.pl, tu cytując jedno zdanie: „Trudno zrozumieć, że adwokat zamieścił w publicznej przestrzeni tak kłamliwy, obraźliwy oraz zniesławiający wpis”. Z jednej strony trudno, z drugiej – jak coś się wie o rzeczywistości, nie trudno.

 Warto jeszcze zatrzymać się przy zarzucie łamania konkordatu, które ma rzekomo polegać na „wtrącaniu się [przez Radio Maryja] w proces kształtowania się władz Rzeczypospolitej Polskiej”. „Dziękować Bogu, że w latach 50. nie było go w aparacie władzy, bo przy takim podejściu do tych relacji, trzymałby

kard. Stefana Wyszyńskiego w dożywotnim więzieniu” – celnie skomentował **prof. Przemysław Czarnek**, poseł PiS. I dodał: „Działania Giertycha to działania człowieka zaślepionego rządzą zemsty. W mojej ocenie to człowiek biedny, bo w tej zemście się zatracza i pozostaje jedynie modlitwa za niego”. Tak, ma wpływy, pieniądze, ale nie znamy nikogo, kto by mu zazdrościł obecnej „pozycji”.

 Tak naprawdę konkordat między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską złamała właśnie minister edukacji Barbara Nowacka, jednostronnie niszcząc system nauczania religii w polskich szkołach. Bez zgody Episkopatu zmniejszono wymiar nauczania z dwóch do jednej lekcji tygodniowo, na dodatek klasy mają być łączone, czyli gromadzić dzieci w różnym wieku. Każdy, kto ma cokolwiek wspólnego z edukacją, wie, że to uniemożliwia poważną realizację jakiegokolwiek programu. Przypomnijmy, że większość mediów to pomija, że Komisja Wychowania Katolickiego Konferencji Episkopatu Polski oceniła, iż plany łączenia klas „są krzywdzące czy wręcz dyskryminujące”, „naruszają prawo oświatowe i zasady pedagogiczne” i „zostały wprowadzone bez wymaganego przez prawo porozumienia ze stroną kościelną”.

 System represji nie znalazł prawdziwych afer, kolejne historie (jak rzekome podsłuchiwanie) nie znajdują potwierdzenia, rządzący dmuchają więc propagandowe balony. Zbrodnie okazują się być nawet „pikniki wojskowe” z 2023 r., w których promowano wtedy rozwijany program modernizacji polskiej armii i zachęcano do wstępowania do wojska. Wiceminister

Obrony Narodowej Cezary Tomczyk ogłosił, że dokumenty w tej sprawie trafiły już do Państwowej Komisji Wyborczej, natomiast „w prokuraturze będą w ciągu następnych 48 godzin”. I pewnie przewiożą je antyterrorysty! Medialna hucpa wymaga kreowania takich sztucznych emocji.

🔊 Tymczasem „mieszkaniec Warszawy, gdy idzie na przystanek, kogo tam widzi? Rafała Trzaskowskiego, który informuje o swoich działaniach jako prezydenta miasta. Wsiada do autobusu, w autobusach są takie miniekrany, kogo widzi? Rafała Trzaskowskiego, który mówi z monitorów o swoich działaniach. [...] W Warszawie są billboardy. Kogo widzi na billboardach? **Rafała Trzaskowskiego**, który informuje o tych samych swoich działaniach, wszędzie jego uśmiechnięta twarz. Wszystkie te działania reklamowe są realizowane z pieniędzy Warszawy”. Tak stołeczną codzienność opisał poseł Sebastian Kaleta podczas konferencji przy warszawskim ratuszu. Im wolno? Prawu i Sprawiedliwości za normalną działalność ministrów próbuje się odebrać subwencję.

🔊 W tej sprawie celny komentarz szefa klubu PiS **Mariusza Błaszczaka**, który przypominał, jak to „dzień przed drugą turą wyborów samorządowych wiceminister Tomczyk i minister Grabiec wspólnie z Romanem Smogorzewskim, kandydatem PO na prezydenta Legionowa, ogłosili budowę SOR w szpitalu wojskowym w Legionowie”. I dodał: „Kierując się logiką aparaczków z rządu Tuska, sprawozdanie finansowe komitetu wyborczego Koalicji Obywatelskiej powinno zostać obciążone kosztami tej inwestycji. Czy tak się stanie?”. Jedno jest pewne: jeśli Państwowa Komisja Wyborcza ulegnie bezprawnej presji dziś rządzących, żadna z partii politycznych nie będzie mogła być pewna własnej przyszłości. Niektórym zapłacą Niemcy, inni będą szantażowani.

🔊 Albo politycznie likwidowani. Próbkę możliwości systemu zobaczyliśmy na przykładzie byłego już wiceministra sprawiedliwości Bartłomieja Ciążyńskiego z Lewicy. Polityk podał się do dymisji po ujawnieniu informacji, że podczas prywatnych wakacji korzystał ze służbowego samochodu i tankował go, płacąc służbową kartą. Auto i karta należały do Polskiego Ośrodka Rozwoju Technologii (PORT) wchodzącego w skład ogólnopolskiej Sieci Badawczej Łukasiewicz, gdzie Ciążyński pracował przed objęciem funkcji w Ministerstwie Sprawiedliwości. Cała Sieć stała się bezwstydnym lupem polityków. Kolejni naukowcy odsłaniają najazd platformerskich aparaczków partyjnych, jakiego Polska nie widziała.

🔊 W szale zemsty reżim Tuska postanowił wywalić w powietrze także polską fabrykę amunicji, której budowę zaplanował i zaczął realizować rząd premiera Morawieckiego. Schemat klasyczny: ustawka medialna w jednej z rządowych tub, dęte zarzuty, w których inwestycje zrównuje się ze „stratami”, potem nagonka polityczna, szczucie neoprokuratury. Gen. Waldemar Skrzypczak, były dowódca Wojsk Lądowych, ocenił w tych dniach, że polska armia potrzebuje co najmniej kilku milionów sztuk amunicji, którą możemy albo wyprodukować, albo importować z zagranicy. „W razie wojny import stanie się niemożliwy”. Tak, ale to założenia ludzi, którzy Polski by bronili. Obecni władcy kraju granice widzą na linii Wisły, a za swoje zaplecze uważają Berlin.

🔊 Dobrze, że Prawo i Sprawiedliwość – co ujawnił na antenie telewizji wPolsce.pl europoseł PiS Piotr Müller – zamierza aktywniej walczyć z propagandową hucpą i powołuje zespół prawników. Jego zadaniem ma być „identyfikowanie takich klarownych sytuacji, w których można pozwać, co oczywiście przy polskim sądownictwie jest niezwykle trudne”. Mimo wszystko trzeba próbować, bo „demokracja umiera w mroku”.

🔊 Tym łatwiej, że pałką i kopniakiem zabrano Polakom prawdziwe media publiczne. Nie dziwimy się tam już niczemu. Taki przykład: Tomasz Sygut, dyrektor generalny neo-TVP, w rozmowie z pismem Michnika zaatakował Przemysława Babiara. Przyznał, że to on podjął decyzję o zawieszeniu dziennikarza w komentowaniu igrzysk w Paryżu za jego słowa dotyczące piosenki „Imagine” Johna Lennona. „Kiedy przyszliśmy na Woronicza, wiele osób wprost mówił mi, że mijając **Przemysława Babiara** na korytarzach, czuje się, powiedzmy delikatnie, niekomfortowo” – stwierdził. Przyszliśmy? Wwiozły was (bezprawnie) policyjne suki. Ale dyskomfort rozumiemy: przy redaktorze Babiarsu każda wychodząca z butów słoma świeci jak nafosforyzowana.

🔊 W tym tygodniu dowiedzieliśmy się też co nieco o kulturowym zapleczu rządzących ośmiogwiazdkowców. „Hej, Polska Policja, jak wam się podoba koncert w więzieniu w Szczecinie, gdzie rapowano o agresji wobec policji i narkotykach?” – napisał na portalu Michał Woś, były wiceminister sprawiedliwości, poseł Suwerennej Polski. Pytanie było związane z koncertem, jaki w święto Wojska Polskiego odbył się w Areszcie Śledczym w Szczecinie. Produkcją tam raper o pseudonimie Major SPZ, który słynie z wulgarnych tekstów o atakach na policjantów i narkotykach. Woś dodał, że funkcjonariusze Służby Więziennej byli „zażenowani” występem. Dobrze pasujące słowo – rządzą nami żenujący ludzie. ➤



Pod Śniętym Leszczem



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Pani Paulinko, a skąd te rybki?

Hennig-Kloska: Świeżutkie, dopiero co złapane...

Tusk: A gdzie?

Hennig-Kloska: No, przy brzegu...

Tusk: Ale gdzie?

Hennig-Kloska: Zapomniałam teraz.

Siemoniak: Dziwnie pachną...

Kosiniak-Kamysz: Pewnie ekologiczne?

Hennig-Kloska: No jak? To są prawdziwe rybki. Jeszcze wczoraj pływały...

Tusk: Ale chyba nie brzuskami do góry, co?

Hennig-Kloska: Ja się na rybach aż tak nie znam. Mnie smakują.

Zielińska: Mnie też, przynajmniej rtęci nie czuć. Bo w tych za PiS było czuć.

Tusk: A tak się zarzekali, że rtęci nie było. No i podobno nie było.

Hennig-Kloska: Ja tam naszym laboratorium już nie wierzę.

Tusk: Ale to były niemieckie.

Hennig-Kloska: To przepraszam, zwracam honor.

Tusk: Musi się pani zapoznać, wstyd, żeby minister klimatu...

Hennig-Kloska: Ministra.

Tusk: Którego?

Zielińska: Mówi się „ministra”.

Nowacka: Potwierdzam, tak się mówi. O ile oczywiście chce się sprostać współczesnemu światu...

Tusk: Rozumiem. A co z ustawą o wychowaniu patriotycznym?

Lubnauer: Odrzucamy w całości. To może budzić ksenofobię, nacjonalizm, a nawet nazizm!

Nowacka: Może dasz mi powiedzieć? No więc jak koleżanka już wspomniała, nie będziemy tego tolerować. W imię tolerancji. A ukraińskie dzieci mają prawo uczyć się u nas ukraińskiej prawdy o Wołyniu i innych takich.

Tusk: No nie wiem, ja jako historyk...

Nowacka: Ale teraz jesteś premierem, Donku, i nie możesz sobie zawęzać horyzontów...

Kosiniak-Kamysz: Jako współautor tego projektu pragnę zaapelować...

Filiks: J...bać PSL!

Tusk: A pani co tu robi?

Filiks: Ja to dobrą rybkę zawsze wyczuję. Wzięłam kolegę „Bobasa”, gdyż nie był samochodem i oto jesteśmy.

Kierwiński: Hełoł wszystkim, sużba nie družba, a rybka lubi pływawać!

Tusk: Troszkę się kolega spóźnił, przystaweczka już była.

Kierwiński: Śledzik?!

Tusk: Chyba nie. Właśnie, co to było, pani Paulinko?

Hennig-Kloska: A, nawet nie wiem. Brzegowa jakaś w każdym razie.

Kierwiński: To znaczy?

Hennig-Kloska: No, że... z brzegu łowiona.

Tusk: Bardzo dobra, można powiedzieć, choć osobiście

nie jadłem. Ale zupki poprobuję. Co pani proponuje?

Hennig-Kloska: No, żeby zachować, jak to się mówi, ciągłość i konsekwencję, kiedy się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b”...

Tusk: Do brzegu, proszę...

Hennig-Kloska: Z brzegu łwione, tak, tak. Wiadrem. To znaczy wędka.

Tusk: A jaka ta zupka?

Hennig-Kloska: Rybna, oczywiście.

Nowacka: Tradycyjna polska zupa? To ja poproszę barszcz ukraiński.

Tusk: Ty masz obsesję! A na drugie co nam pani zaserwuje, pani Paulinko? Chyba nie kluski, he, he? Bo ja pamiętam, jak panią koledzy od Hołowni przedstawiali: Paulina Hennig-Kłuska. Dobrze, że nie „Heniek”, co?

Hennig-Kloska: Drugiego dania wolałabym nie zdradzać. Bo nie wiem, czy wyszło...

Lubnauer: Będzie kiedyś coś z mięsa?

Hennig-Kloska: Tak, ale rybnego. Karpik z okonkiem smażone na leszczu, polane sosem z sielawy...

Nowacka: Niedobrze mi. Ja jestem za wrażliwa. Nawet na „Gdzie

jest Nemo?” płakałam.

Hennig-Kloska: Ja też! Jak bóbr.

Tusk: Słyszałem, że od tej rtęci, co jej w końcu nie było, to za PiS były bobry i bociany padały. Hołownia tak twierdził.

Hennig-Kloska: Nic nie wiem. Ja jednak jestem stosunkowo nowa w resorcie. Wiem, ile jest parków narodowych, ale tylko dlatego, że jak mnie zapytali, to musiałam strzelać.

Sienkiewicz: I bardzo dobrze! Z dziennikarzami inaczej nie można!

Hennig-Kloska: A na deserek...

Tusk: Niech pani nie kończy. Pewnie szarlotka z sumą?

Hennig-Kloska: Serniczek. Z płoteczek. Rybki są takie zdrowe...

Tusk: Czyli mamy dziś, można powiedzieć, dzień rybaka? A skąd pani, Paulinko, wzięła tyle ryb? Złotą rybkę pani złowiła, he, he?

Hennig-Kloska: Rybkę nie, algę. Toco, może dokładeczkę?

Lubnauer: Ja poproszę.

W pierwszym półroczu 2024 r. zysk netto ORLENU wyniósł 2,76 mld zł i był niższy o 12,7 mld zł niż w analogicznym okresie roku poprzedniego – poinformował państwowy koncern.

„Rynek w drugim kwartale nas nie rozpieszczał, otoczenie rynkowe było słabe. Pogłębia się zła sytuacja na rynku petrochemicznym” – tłumaczył podczas konferencji prasowej nowy prezes ORLENU Ireneusz Fąfara. „Pół roku paraliżu decyzyjnego, zwalniania około tysiąca doświadczonych menadżerów i pracowników, ciągłych audytów i szukania pseudoafer w Grupie Orlen to: wynik netto za II kwartał 2024 r. na minusie! Minus 34 mln zł vs 6 mld zł na plusie za II kwartał 2023” – skomentował w mediach społecznościowych Daniel Obajtek.

Najwyraźniej coś nie wypaliło z tymi „apolitycznymi” fachowcami zapowiadanymi w kampanii. Co więcej, zysk ORLENU ze sprzedaży detalicznej paliw w Polsce to aż 18 proc., mimo że w ubiegłych latach wynosił on niespełna 2 proc. To znaczy, że ORLEN więcej zarabia na kupowanym przez Polaków paliwie, mimo że cena baryłki ropy jest niższa. A czy ktoś jeszcze pamięta, że Donald Tusk obiecywał paliwo po 5,19 zł? Niestety gdy został premierem, stwierdził, że nie ma możliwości wpływać na ceny paliw.

To jednak nie koniec złych informacji. Po tym, jak rząd zdecydował o likwidacji Tarczy Energetycznej i odmrożeniu cen hurtowych, ceny energii w Polsce należą do najwyższych w Europie. Polska znajduje się w tej chwili w niechlubnej czołówce zestawienia państw Starego Kontynentu pod tym względem. Według danych Polityki Insight po siedmiu miesiącach br. cena hurtowa energii elektrycznej w naszym kraju wyniosła średnio 90 euro za MWh. Wyższe były notowane w tym okresie tylko w Irlandii (98,68 euro za MWh) i we Włoszech (95-98 euro za MWh). Na przeciwnym biegunie znalazły się stawki w Norwegii i Szwecji – w lipcu hurtowe ceny energii w tych państwach wyniosły średnio od 32 do 39 euro. W rezultacie polski przemysł i biznes przestają być konkuren-

Co słyszeć w uśmiechniętej Polsce

W ostatnich dniach z jeziora Dzierżno Duże wyłowiono 105 t śniętych ryb. I nikt już nie krzyczy o końcu świata

cyjne, a to odbija się na całej gospodarce.

A czy ktoś jeszcze pamięta, że obiecywano, iż to, co zostało dane, nie będzie zabrane? Polakom odebrano Tarczę Energetyczną i zerowy VAT na żywność. W wielu miastach w ostatnim czasie wzrosły stawki za wodę i ścieki. Od lipca więcej płacą m.in. mieszkańcy Wrocławia, Rzeszowa czy Białegostoku. Skala niektórych podwyżek sięga kilkudziesięciu procent. Ale to nie wszystko.

Ruszyła właśnie lawina gigantycznych podwyżek opłat za publiczne żłobki. Poniżej przykłady przyjętych lub proponowanych stawek. W Zamościu z 400 na 1500 zł (360 proc.), w Koszalinie z 580 na 1750 zł (300 proc.), w Katowicach z 400 na 1000 zł (150 proc.), w Częstochowie z 720 na 1500 zł (110 proc.). A to dopiero początek. Do tego trzeba doliczyć 200–300 zł miesięcznie za posiłki. To efekt wchodzącego od października programu „Aktywny rodzic”. Miesięcznie 1500 zł na dziecko przelewane z kasy państwa do gminy. I samorządy postanowiły wykorzystać tę sytuację. Przecież wzrost cen energii dotyczy także żłobków.

A czy ktoś jeszcze pamiętał zapowiedzi, jak wspaniale będzie się żyło polskim rodzinom? Tymczasem według GUS wzrosła też inflacja konsumencka. „Ceny towarów i usług konsumpcyjnych w lipcu 2024 r. w porównaniu z analogicznym miesiącem ubiegłego roku wzrosły o 4,2 proc. (przy wzroście cen usług – o 6,2 proc. i towarów – o 3,5 proc.). W stosunku do poprzedniego miesiąca ceny towarów i usług wzrosły o 1,4 proc. (w tym towarów – o 1,6 proc. i usług – o 1,1 proc.)” – czytamy w komunikacie GUS.

A czy ktoś jeszcze pamięta billboardy z kampanii, które głosiły, że „PiS = drożyzna”?

No i wreszcie katastrofa ekologiczna w jeziorze Dzierżno Duże. W ostatnich dniach wyłowiono 105 t śniętych ryb. I nikt już nie krzyczy o końcu świata ani nie widzi w wodzie rtęci, której nigdy tam nie było, a wiceminister klimatu Urszula Zielińska uwierzyła w złote algi, których istnienie kwestionowała jeszcze w 2022 r. Czy ktoś jeszcze pamięta, gdy pani wiceminister krzyczała ze sceny: „Oczyścimy polskie rzeki, bo rzeki to nie ścieki”?

Niestety dla wyborców Koalicji Obywatelskiej wciąż najważniejsze jest jedno: PiS nie rządzi.

Dorota Łosiewicz



Niedawne zamieszki w Wielkiej Brytanii pokazały, jak poważnym problemem jest tam gigantyczna imigracja. Jednak rządząca od kilku tygodni Partia Pracy ma inne priorytety. Jej liderzy zastanawiają się bowiem, jak radzić sobie z zagrożeniem ze strony „ekstremistycznych ideologii”.

Brytyjska minister spraw wewnętrznych Yvette Cooper zobowiązała podległy sobie resort do podjęcia zdecydowanych działań przeciwko osobom „szerzącym szkodliwe i pełne nienawiści przekonania”. Lewica uznała bowiem, że nastąpił wzrost ekstremizmu islamistycznego oraz skrajnie prawicowego, a kraj jest narażony na „działania nacechowane nienawiścią, promujące przemoc lub podważające demokrację”. W tym celu przywrócono działanie zespołu, który podczas pandemii monitorował media społecznościowe pod kątem „dezinformacji”.

W rzeczywistości chodzi o ustanowienie sankcji za publikowanie niewygodnych materiałów. Nowy rząd szuka też uzasadnienia wprowadzenia różnych rodzajów kar, które mają złamać

Uważaj, co mówisz



Wielka Brytania 

narastający opór Brytyjczyków wobec zachodzących w ich kraju zmian kulturowych. Tym bardziej że ujawnia się on w coraz liczniejszych i zróżnicowanych

pod względem statusu grupach społecznych. Dowiodły tego zamieszki, do których doszło na początku sierpnia po tym, jak portale społecznościowe obiegały informacja o zamordowaniu przez nożownika trzech dziewczynk.

Według wiceszefowej MSW Jess Phillips winę za przypadki przemocy wobec kobiet i dziewcząt ponosi przede wszystkim „skrajna prawica”. Dlatego skrajnie lewicowa wiceminister domaga się administracyjnego zwalczania szerzącej się mizoginii. Jej zdaniem powinna być ona monitorowana i zwalczana w taki sam sposób jak wszystkie inne ekstremizmy polityczne. Nie wyjaśnia jednak, jak pogodzić jej propozycję z gwarancjami wolności słowa. Inna wątpliwość dotyczy tego, czy nowe przepisy będą w ogóle stosowane np. wobec muzułmanów oraz ludności kolorowej, która jest znana z brutalnego stosunku do kobiet. Niewykluczone więc, że w obawie przed zarzutami o dyskryminację innych kultur nowe władze będą bronić kobiet wyłącznie przed białymi mężczyznami.

Maciej Walaszczyk



Czekając na nową pandemię

Demokratyczna Republika Konga 

W połowie sierpnia w Szwecji odnotowano pierwszy na kontynencie europejskim przypadek choroby wywołanej wirusem małpiej ospy, dokładnie jego nową, bardziej niebezpieczną i szybciej przemieszczającą się mutację. Zagrożenie chorobą, której główne ognisko znajduje się dzisiaj w środkowej Afryce, pojawiło się również na Dalekim Wschodzie.

Ostatnia epidemia małpiej ospy, przemianowanej przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) na mpox, „aby nie stygmatyzować zwierząt”, miała miejsce w 2022 r. i objęła 116 krajów. Potwierdzono wówczas laboratoryjnie 99 tys. przypadków infekcji. Teraz nowe mutacje wirusa rozpowszechniają się w krajach afrykańskich, głównie w Demokratycznej Republice Konga, gdzie wykryto 95 proc. wszystkich przypadków.

Epidemia rozwija się szybciej niż poprzednio, w 13 krajach afrykańskich od początku roku odnotowano ponad 17 tys. zakażeń (w 2022 r. w tym samym czasie było ich 7,1 tys.), a wirus spowodował zgon 517 osób, w tym 321 dzieci poniżej 15. roku życia. Te dane skłoniły WHO do wydania ostrzeżenia o wystąpieniu „międzynarodowego zagrożenia dla zdrowia”.

Naukowcy odkryli dwie mutacje wirusa. Szczep nazwany Clade I jest uznawany za groźniejszy od tego z 2022 r. ze względu na większą odporność na leczenie i szybsze tempo transmisji. Najbardziej podatne na zakażenie są osoby najmłodsze i o obniżonej odporności, np. w związku z chronicznym niedożywieniem. Dlatego do tej pory główne ogniska choroby pojawiały się w obozach dla uchodźców z krajów ogarniętych wojną domową. Jednak w ostatnim czasie odkryto nowe przypadki w takich państwach, jak Uganda, Wybrzeże Kości Słoniowej i RPA.

Przedstawiciele brytyjskiego think tanku Chatham House porównują obecną sytuację do czasu sprzed pandemii COVID-19. W ich opinii ówczesna reakcja Zachodu, zwłaszcza w zakresie dystrybucji szczepionek dla mniej zamożnych państw, spowodowała głęboki podział na bogatsze społeczeństwa Zachodu i uboższe Południe. Teraz ich zdaniem sytuacja jest analogiczna, bowiem na razie Zachód nie jest w stanie odpowiednio szybko zareagować na zagrożenie wywołane przez afrykańskiego wirusa.

Marek Budzisz



Bitwa o zdrowie

Republikański gubernator Florydy Ron DeSantis zakazał sprzedaży mięsa pochodzącego z laboratorium. Podobny zakaz szykują władze Alabamy. Firmy produkujące syntetyczne mięso uznały to za zamach na wolność człowieka i domagają się zniesienia ograniczeń.

Podpisując w maju ustawę, DeSantis tłumaczył, że zakaz jest konieczny, aby ochronić hodowlę bydła przed presją globalnych elit biznesowych. Zdaniem gubernatora międzynarodowe koncerny chcą doprowadzić tradycyjne rolnictwo do upadku i przejąć rynek żywności. „Zabierzcie swoje sztuczne, laboratoryjnie hodowane mięso gdzie indziej” – powiedział DeSantis.

Jeden z producentów sztucznego mięsa, firma UPSIDE Foods z Kalifornii, złożyła w odpowiedzi pozew do sądu federalnego, domagając się wycofania wprowadzonego zakazu. Prawnicy reprezentujący firmę twierdzą, że zakaz narusza konstytucję Stanów Zjednoczonych i ogranicza wolność wyboru. „Jeśli konsumentom nie podoba się pomysł hodowanego mięsa, istnieje proste rozwiązanie: nie muszą go jeść” – stwierdził jeden z prawników Paul Sherman.

Odwolywanie się do wolności wyboru trąci jednak fałszem. Nawet najbardziej gorliwi fanatycy weganizmu zdają sobie bowiem sprawę z tego, że większość ludzi nie chce jeść sztucznego mięsa. Dlatego m.in. w Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii pracuje się dzisiaj nad zakazem reklamy produktów mięsnych oraz karnym podatkiem, który ograniczy sprzedaż mięsa i wyrobów zwierzęcych. Wysokość daniny, szacowana na 20–40 proc., byłaby zależna od „szkod klimatycznych” wyrządzanych przez hodowlę zwierząt.

Zamiast mięsa na nasze stoły mają trafić jego substytut. Jak powiedział współ-

założyciel Microsoftu, a zarazem sponsor kampanii na rzecz walki ze zmianami klimatycznymi Bill Gates, wszystkie bogate kraje powinny w 100 proc. przerzucić się na syntetyczne mięso. „Do różnicy w smaku można się przyzwyczaić” – stwierdził Gates. Oczywiście Gates ma własny interes w promocji syntetycznego mięsa. Wspólnie z właścicielem Amazona Jeffem Bezosem zainwestował w firmę biotechnologiczną Memphis Meat, która produkuje mięso z próbek. Pozyskuje się je z komórek macierzystych pobranych od żywych zwierząt, a następnie hoduje w laboratoriach.

Specjaliści od żywienia kwestionują właściwości zdrowotne wielu alternatywnych produktów, które podlegają wielokrotnemu przetworzeniu. Zwraca się uwagę, że znaczna część innowacji w tej branży pochodzi od start-upów z Doliny Krzemowej, dążących do jak najszybszych i największych zysków, nawet kosztem bezpieczeństwa konsumentów. Od ostatecznego wyniku bitwy o mięso zależy więc nie tylko przetrwanie rolnictwa, lecz także nasze zdrowie.

**Konrad
Kołodziejewski**

Futbol, palec, islam

Prokuratura w Berlinie umorzyła śledztwo przeciw Julii Reicheltowi, byłemu naczelnemu dziennika „Bild”, a obecnie redaktorowi portalu Nius. Powództwo przeciwko niemu wniósł Niemiecki Związek Piłki Nożnej i zawodnik reprezentacji tego kraju Antonio Rüdiger, który poczuł się zniesławiony publicznym komentarzem dziennikarza.

Zaczęło się od tego, że 11 marca z okazji rozpoczęcia ramadanu futbolista zamieścił w internecie zdjęcie, na którym ubrany w białą szatę kłęczy na modlitewnej macie i wskazującym palcem celuje w niebo. Obok umieścił podpis „Niech Wszechmogący przyjmie nasz post i nasze modlitwy”. Czarnoskóry obrońca Realu Madryt, którego matka pochodzi ze Sierra Leone, jest bowiem praktykującym muzułmaninem. Wykonany przez niego gest zwany palcem Tawhid symbolizuje islamskie wyznanie wiary, jednak w ostatnich latach jest on nagminnie używany przez dżihadystów. Dlatego komentując post Rüdigera, Reichelt zinterpretował go jako poparcie dla islamizmu.

Na niekorzyść piłkarza przemawiał fakt, że w 2020 r. oznaczył polubieniem post rosyjskiego mistrza MMA Chabiba Nurmagomedowa, który zamieścił na Instagramie zdjęcie Emmanuela Macrona z odciskiem buta na twarzy i podpisem: „Niech Wszechmogący zniekształci oblicze tego potwora i wszystkich jego wyznawców, którzy pod hasłem wolności słowa zranili uczucia ponad półtora miliarda wyznawców muzułmanów. Niech Wszechmogący upokorzy ich w tym życiu i w następnym”. Była to reakcja na słowa Macrona o „islamskich atakach terrorystycznych” we Francji. Rüdiger tłumaczył, że polubił ów post przez pomyłkę, ponieważ nie do końca zrozumiał jego sens pisany cyrylicą.

Ostatecznie prokuratura przyznała rację Reicheltowi, uznając, że jego wypowiedź jako dziennikarza są objęte prawem do wolności słowa. Dokonana przez niego interpretacja gestu piłkarza została z kolei uznana za jak najbardziej uprawnioną, skoro nawet Federalny Trybunał Sprawiedliwości nazwał uniesiony prawy palec wskazujący „typową symboliką Państwa Islamskiego”.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Z zasobów pamięci...



**Jan
Pietrzak**

Po kolizji samochodowej, która mi się przydarzyła, uświadomiłem sobie, że jeżdżę autem 70 lat, od 1954 r., i nigdy nie spowodowałem żadnego wypadku. Mówiąc precyzyjnie, uczestniczyłem w paru, ale nie były przeze mnie zawinione. Korzystając z okazji, odezwali się producenci hejtu, obrzucając mnie brzydkimi wyrazami, ale to ich problem. Ja mam swoje – związane z ubezpieczeniem, szkoda itp., co przerabiali wszyscy kierowcy. Pozwólcie zatem, że skorzystam dzisiaj z zasobów pamięci. Garść newsów z przeszłości zamiast bieżącego felietonu...

- W odpowiedzi na powołanie Rady Bezpieczeństwa Narodowego powstała Rada Niebezpieczeństwa Narodowego w składzie: Dziad, Persching, Szczur, Rympalek, Muł, Zagrycha, Lewus, Cielęcina... itd.
- Szef rosyjskiej firmy gazowej polecił Polakom, by nie bali się Rosji. Bo jak się będą bali, mogą dostać w zęby.
- Minister zdrowia odwiedza szpitale. Był m.in. w szpitalu psychiatrycznym. Witając się z pacjentem, przedstawił się: „Jestem ministrem”. Pacjent na to: „Jak ja tu przyszedłem, byłem premierem. Patrz, co ze mnie zrobili”.
- Zjazd partii Palikota zgromadził w Sali Kongresowej siły postępu w osobach zażywnego Kalisza, feministki Środy, wściekłego Kutza. Uchwalono, że Kalisz kuca w środę.

- Sędzia pyta oskarżonego o defraudację urzędnika: „Czy wszystko odbyło się tak, jak przedstawił prokurator?”. Ten odpowiedział: „Niezupełnie, ale jego plan też jest dobry”.
- Donald Tusk delegował do Europejskiej Rady Mędrców Lecha Wałęsę. Po pierwszym posiedzeniu Rada postanowiła nie zbierać się nigdy więcej!
- Kiedy minister finansów twierdzi, że chce dobra obywateli, obywatele powinni te dobra ukryć!
- Amber Gold udawał bank. Mówi się o nim parabank. Jest takich instytucji więcej: parasąd, paraprokurator, parapremier i pararząd... Prędzej czy później ta para wyparuje.
- Prof. Legutko dostał wyrok za określenie „rozwydrzeni smarkacze” w stosunku do rozwydrzonych smarkaczy. Wyrok wydał rozwydrzony sąd. Uwaga! Grasują wydry!
- UE zaprasza miliony głodnych imigrantów do Europy, równocześnie ograniczając produkcję rolną z powodu klimatyizmu. Będzie śmiesznie!
- Trwa obniżanie poziomu edukacji. Chodzi o to, by dzieci nie były mądrzejsze od ministrów.
- Leży facet na ławce w parku. Podchodzi policjant: „Co to, hotel?”. Na co ten: „A co to, informacja?”.

O wyższości Sikorskiego nad Ciążyńskim

Gdy w mediach pojawiła się informacja o wiceministrze sprawiedliwości, który służbową kartą zapłacił za prywatny wyjazd, wystarczyło mi sprawdzić, z której partii był, żeby wiedzieć, że czeka go dymisja. Sam przeciek był zresztą całkowicie zgodny ze starą zagrywką Donalda Tuska, którą stosował w relacji z mediami już za pierwszych rządów PO-PSL. Najpierw zbieramy kwity na koalicjantów, następnie przekazujemy je odpowiednim mediom, które nagłaśniają sprawę. One mają korzyść, bo mogą zaprezentować się w końcu jako „patrzące władzy na ręce”, a premier może spokojnie uruchomić szopkę pt. „Tusk się wściekł” i postawić koalicjanta do pionu. Ponieważ wtedy był tylko PSL, a teraz doszła jeszcze Lewica i Polska 2050, to powinniśmy się spodziewać więcej takich wrzutek.

Gdyby to był wiceminister z Platformy Obywatelskiej – o, to już inna bajka. Wtedy byłoby oskarżanie ujawniających dziennikarzy o propisowskość, szczucie na nich Silnych Razem albo relatywizowanie, że nic się nie stało – wszystko zgodnie z doktryną Neumanna, że jak jesteś z PO, będziemy



**Samuel
Pereira**

cię „bronić jak niepodległości”. Nie trzeba daleko patrzeć, przecież to ministrowie rządu Donalda Tuska – Radosław Sikorski i Jan Rostowski załatwiali swoje prywatne i partyjne interesy przy drogich kolacjach opłacanych służbowymi kartami w słynnych warszawskich restauracjach. Gdy sprawa wyszła na jaw, Sikorski pozostał nietknięty, a nawet po kilku miesiącach awansowano go na marszałka Sejmu. Mimo afery taśmowej i kilometrówkowej. Tylko że on był w Platformie, a Bartłomiej Ciążyński, do niedawna wiceminister sprawiedliwości, w niej nie jest, więc zrzućcie go z sań jest bardzo

korzystne dla Donalda Tuska. Wzmacnia go jako szeryfa, który wypala afery żelazem, a Włodzimierza Czarzastego osłabia i skraca krótką polityczną smycz, na której jest od grudnia ub.r., co widać choćby po lewicowych projektach, które nie przechodzą, i tych, które są procedowane mimo ich sprzeciwu.

Ta taktyka Tuska to mistrzostwo hipokryzji: jednych poświęca dla pozorów prawości, żeby jeszcze mocniej bronić swoich, którzy od lat noszą worki pełne afer na swoich plecach.

Inne postrzeganie bezpieczeństwa

Po kompromitującym wycofaniu się wojsk amerykańskich z Afganistanu w sierpniu 2021 r., a w ostatnich miesiącach w obliczu zawirowań związanych z konfliktem izraelsko-palestyńskim, Chiny zintensyfikowały swoje wysiłki dyplomatyczne i dotyczące bezpieczeństwa na Bliskim Wschodzie.

Zaangażowanie Pekinu na Bliskim Wschodzie od lat dotyczy energetyki i gospodarki, ale jest ono kontynuowane w ramach szeroko zakrojonej wizji nowego globalnego porządku, opartego na nowo powołanych instytucjach międzynarodowych, sojuszach i ramach bezpieczeństwa stworzonych w celu ochrony i wspierania strategicznych interesów Chin. W tej wizji kluczowy jest właśnie Bliski Wschód. Opracowana w 2016 r. strategia Arab Policy Paper podkreślała „współpracę w zakresie broni, sprzętu i różnych specjalistycznych technologii” oraz „rozwój obrony narodowej i sił zbrojnych państw arabskich”. Państwa Bliskiego Wschodu zostały włączone do inicjatyw kierowanych przez Chiny, takich jak BRICS i Szanghajska Organizacja Współpracy (SCO), w związku z wdrożeniem ogłoszonej we wrześniu 2022 r. Nowej Architektury Bezpieczeństwa dla Bliskiego Wschodu.

Inicjatywy dyplomatyczne i gospodarcze Pekinu są uzupełniane sprzedażą broni, programami szkoleniowymi w zakresie wojskowości i bezpieczeństwa oraz rozwojem portów podwójnego zastosowania. Pekin zainwestował ok. 10 mld dol. w omkański port Duqm. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich Chińczycy zbudowali rurociągi naftowe, rozbudowali terminale kontenerowe i centra logistyczne.

Jednym z największych chińskich partnerów w zakresie sztucznej inteligencji na Bliskim Wschodzie jest Arabia Saudyjska, która przyciągnęła Huawei i Ali Babę do wspólnych inwestycji o wartości blisko 1 mld dol.

Warto wiedzieć, że pod koniec zimnej wojny Chiny stały się czwartym co do wielkości eksporterem broni na świecie, a znaczna część eksportu była kierowana na Półwysep Arabski. W latach 2013–2023 sprzedaż chińskiego sprzętu wojskowego na Bliski Wschód wzrosła o 80 proc. W 2019 r. Chiny i Arabia Saudyjska przeprowadziły pierwsze wspólne ćwiczenia morskie na Morzu Czerwonym, a w październiku ub.r. operację Blue Sword 2023. W sierpniu 2023 r. Pekin i Zjednoczone Emiraty Arabskie przeprowadziły wspólne ćwiczenia sił powietrznych.

Trzeba zaznaczyć, że perspektywa Pekinu odnośnie do światowego bezpieczeństwa jest dalece odmienna od tej, która została ugruntowana w XX w. w zachodnim dyskursie strategicznym. Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych i Europy bezpieczeństwo jest postrzegane jako dążenie do zapewnienia pokoju definiowanego jako brak konfliktu. Chiny zdają się zaś postrzegać argument zagwarantowania bezpieczeństwa jako pretekst do stosowania nadzwyczajnych środków także w sferach, które w powszechnym rozumieniu nie uchodzą za mające związek ze sprawami dotyczącymi bezpieczeństwa. Pokrywa



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

się to z teorią sekurytyzacji stosunków międzynarodowych, wedle której każdy problem społeczny, gospodarczy czy inny może zostać uznany za zagrożenie uzasadniające uruchomienie nadzwyczajnych środków mających na celu zaradzenie im. W myślowej teorii celem nadrzędnym nie jest zatem unikanie konfliktów, ale ochrona podstawowych interesów najsilniejszego podmiotu.

W 2014 r. prezydent Xi Jinping wprowadził koncepcję „kompleksowego bezpieczeństwa narodowego”, która obejmuje 16 obszarów uznawanych za istotne dla podstawowego interesu KPCh. Zawierają się w nich zapewnienie przetrwania państwa-partii poczynając od bezpieczeństwa terytorialnego i zasobów po bezpieczeństwo kulturalne i zagraniczne. To pojęcie jest ściśle powiązane z zasadniczym celem, który ma być osiągnięty do 2049 r., kiedy Chiny mają zająć rzekomo należne im miejsce światowego „centrum” – jako „Państwo Środka”. Sugeruje to porządek światowy skoncentrowany na Chinach z pozostałymi państwami w roli petentów. Bliski Wschód ma zaś stanowić region o kluczowym znaczeniu dla legitymizacji i urzeczywistnienia koncepcji „Państwa Środka”.



*Wyraży głębokiego żalu i współczucia
Panu*

**PAWŁOWI
GRZESIKOWI**

*oraz całej rodzinie
z powodu śmierci*

SYNA

*składają Rada Nadzorcza, Zarząd
oraz Pracownicy Kasy Krajowej*



Walizka Marcina Bąka

trenera personalnego, zawodnika muai thai, kaskadera, właściciela klubu Sparta Gym w Warszawie



Ze sportem jestem związany od najmłodszych lat. Obecnie jest to moja pasja i sposób na życie. Swoją pierwszą klub sportów walki otworzyłem w 2009 r., aktualnie pod nazwą Sparta Gym prowadzę go razem z Danielem Prokuratą. Podróżowanie kojarzy mi się przede wszystkim z aktywnością. Nawet gdy dysponuję wolnym weekendem, pakuję rower na dach samochodu i wyruszam na mazurskie szlaki. Chociaż swoją przygodę ze sportem zacząłem od pływania, to do mazurskich jezior wchodzę niezwykle rzadko. Może w młodości za dużo się jej opilem? Uwielbiam także Kaszuby, Bieszczady, Sudety, Beskidy czy Roztocze. Przebywanie w otoczeniu zieleni sprawia, że mogę odzyskać równowagę i trochę zwolnić tempo życia. Cisza i spokój to też dobry czas na refleksję oraz sięgnięcie po wartościową lekturę. Dzięki sportowi poznałem wielu wspaniałych ludzi i odwiedziłem wiele zapierających dech w piersiach miejsc, a sprawność fizyczna, którą nabyłem podczas lat treningu, dała mi możliwość pracowania jako kaskader na planach filmowych zlokalizowanych w całej Polsce. To jedno z tych podróży, które zapadają w pamięć na długie lata – pasja i adrenalina połączone w całość.



REKAWICE BOKSERSKIE

Gdy startowałem w zawodach, był to nieodzowny element mojego każdego wyjazdu, w ciągu swojej aktywności sportowej zużyłem ponad 20 par rękawic. Ciekawostka – siła ciosu w rękawicy profesjonalnego boksera jest porównywalna do uderzenia drewnianym młotkiem.



MEDALE I PUCHARY

Niezliczona liczba wyjazdów na zawody kończyła się pozycją medalową, co po latach wiąże się z obowiązkiem odkurzenia licznych krążków. Ale najbardziej cenię wyjazdy, podczas których stawałem na podium.

PAS TRENERA

„Kill the body and the head will fall” („Zabij ciało, a głowa upadnie”) to motto sztabu Joe Fraziera przed trzecią walką z Muhammadem Alim. Na ringu uderzenia na korpus odbierają najwięcej woli walki przeciwnikowi, dlatego podczas treningu nie może zabraknąć takich ciosów.



ŁAPY TRENERA

Podczas treningów trener na dłonie przyjmuje setki uderzeń boksera, dlatego odpowiednie łapy, które wytłumiają wstrząsy i chronią ręce, są bardzo wskazane.



DREWNIANE PARALETKI

Swoją przygodę ze sportem zaczynałem od pływania i skoków do wody, stąd również umiowanie do kalisteniki. Paraletki są poręczne, mieszczą się w walizce i dzięki nim można zrobić trening w każdym miejscu.



STOPER

Dobry trening musi mieć swoje ramy czasowe. Ten model jest akurat wielkości tosterka, z cyframi czytelnymi z końca sali.



SZCZĘKA BOKSERSKA

Przykro byłoby wrócić z zawodów bez górnej jedynki, dlatego ochraniać na zęby jest obowiązkowym punktem na liście bokserów. W dalszym ciągu przydaje mi się podczas sparingów z podopiecznymi. Gdy byłem młodszy, zawsze nosiłem ją w kieszeni.



OWIJKI

Bandaż, którymi owijają się dłonie i nadgarstki, zanim założą się rękawice. Brak odpowiedniego usztywnienia może doprowadzić do złamania kości nadgarstka lub kości śródręcza, zwichnięcia, a nawet uszkodzenia paliczków. Owijki mają też walory higieniczne.



OKRĄGŁA TARCZA TRENERSKA

Do przyjmowania mocnych ciosów w myśl zasady, że „prawdziwa siła techniki się nie boi”.



Ponieważ na zgrupowaniach czy obozach nie zawsze były worki bokserskie, tarcze ratowały trening.

LEKTURY

Oprócz książek pomagających mi w pracy trenera sięgam po lekturę traktującą o szeroko pojętym rozwoju osobistym czy psychologii. Pomagają mi pracować nad sobą i otwierać się na nowe możliwości, które daje mi otaczający świat. Są również niezbędne w poprawie komunikacji zarówno w związku, jak i na płaszczyźnie biznesowej.



PLANY FILMOWE I ZDJĘCIOWE

Sprawność fizyczna pozwoliła mi realizować się poza ringiem w roli kaskadera na wielu planach filmowych. Od filmu do sesji fotograficzno-historycznych był już tylko krok. Ktoś powie, że jestem człowiekiem renesansu, ale skromność nie pozwala mi się zgodzić.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

„Sanatorium pod Klepsydrą” w Wenecji

Z Izabelą Kiszka-Hoflik, polską producentką filmu „Sanatorium pod Klepsydrą” braci Quay, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Podczas 81. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji zostanie pokazany bardzo ważny dla nas film – „Sanatorium pod Klepsydrą” w reżyserii braci Quay. W jakim konkursie?

Izabela Kiszka-Hoflik: Zostanie zaprezentowany w prestiżowej sekcji Giornate degli Autori skupionej na kinie autorskim, gdzie co roku pokazywanych jest tylko 10 filmów.

Stephen i Timothy Quay, niezwykle cenieni twórcy filmowej animacji, amerykańscy reżyserzy bliźniacy, nie po raz pierwszy sięgają po polską literaturę. W 1986 r. nakręcili krótkometrażową „Ulicę krokodyli” według prozy Brunona Schulza, 14 lat temu „Maskę” na podstawie opowiadania Stanisława Lema, w 2020 r. „Vademecum” poświęcone Cyprianowi Kamilowi Norwidowi. Teraz wrócili do Schulza. W jaki sposób zrealizowali najnowszą produkcję?

„Sanatorium pod Klepsydrą” jest trzecim pełnometrażowym filmem braci. Trwa 73 min. Dla reżyserów to projekt życia. Realizację planowali od wielu lat. Także w tym przypadku sięgnęli do techniki, z którą kojarzona jest ich twórczość, czyli bardzo czasochłonnej animacji lalkowej. Połączyli ją z elementami life action. Część animowana była realizowana w studiu w Wielkiej Brytanii, natomiast w Polsce odbyły się zdjęcia aktorskie. W kolejnych etapach realizowaliśmy w naszym kraju post-synchrony, ponieważ ścieżka dialogowa filmu jest w języku polskim. Taka od początku była artystyczna decyzja braci, żeby utrzymać język prozy Schulza.

O planach zrealizowania „Sanatorium pod Klepsydrą” bracia Quay mówili już w 2010 r., podkreślając, że nie chcą, by ich adaptację nazywać remakiem filmu Wojciecha Hasa, który uważają za „absolutne arcydzieło”. Kiedy i w jakich oko-

licznościach zaczęła się współpraca przy najnowszym projekcie? Jaki jest polski udział w tej produkcji?

Do mnie projekt trafił w 2021 r. Sporo czasu zajęło nam sfinalizowanie formalności, ponieważ film jest koprodukcją brytyjsko-polsko-niemiecką. Koprodukcje są w ogóle czasochłonne i trudniejsze do realizacji ze względu na odrębne przepisy w każdym z krajów. Ze strony polskiej sfinansowały go Telewizja Polska SA oraz Instytut Adama Mickiewicza. Agentem sprzedaży jest Match Factory, jedna z największych i najbardziej rozpoznawalnych firm europejskich, i to ona odpowiada za festiwalową drogę filmu. Od samego początku było wiadomo, że takim dziełem mogą być zainteresowane najważniejsze festiwale filmowe. Wenecja była pierwszym, na jaki film został zgłoszony, ale w kolejce czekają już kolejne, których nie mogę jeszcze ujawnić ze względów proceduralnych.

Kiedy i gdzie realizowana była polska część?

Zdjęcia powstały w czerwcu ub.r. w Warszawie, w największej hali ATM. Ich autorem jest Bartosz Bieniek. Warto również podkreślić ogromny wpływ polskiej ekipy na cały kształt artystyczny filmu. Za kostiumy odpowiada Dorota Roqueplo, za scenografię

Agata Trojak, a za charakteryzację Anna Buttny. Cała polska ekipa była oczywiście anglojęzyczna, żeby sprawnie przeprowadzić proces produkcji. Mamy w Polsce wspaniałych profesjonalistów, którzy realizowali film na każdym etapie, ponieważ ogromna część postprodukcji obrazu i dźwięku również powstała w Polsce. Ponieważ film powstaje w języku polskim, postanowiliśmy zrobić jego dwie wersje, także międzynarodową, w której dialogi są po polsku, ale czołówka i tyłówka, a także tzw. śródtytuły po angielsku. Było to bardzo czasochłonne przedsięwzięcie, ponieważ napisy są integralną częścią filmu, czasami ręcznie wykonywaną przez braci.

Jakich aktorów poszukiwali reżyserzy, czy mieli konkretne życzenia?

Bracia od samego początku wiedzieli, że główną rolę męską chcą powierzyć Tadeuszowi Janiszewskiemu, znakomitemu aktorowi Teatru Ōsmego Dnia z Poznania. Pozostałe role zostały obsadzone w procesie castingu. Na ekranie zobaczymy także Andrzeja Kłaka i Wioletę Kopańską.

Prapremiera odbędzie się 29 sierpnia, dzień po oficjalnym otwarciu festiwalu w Wenecji. Kiedy planowana jest polska premiera filmu?

Jesteśmy na zaawansowanym etapie rozmów z polskim dystrybutorem, mogę powiedzieć, że film na pewno trafi do naszych kin, ale jeszcze nie w tym roku. 



POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PREMIER DONALD TUSK DOTRZYMAŁ SŁOWA!
15 TYS. BYŁYCH ESBEKÓW ODZYSKA PEŁNE
EMERYTURY, CO BUDŻET PAŃSTWA BĘDZIE
KOSZTOWAĆ BAGATELA OK. 4,5 MLD ZŁ.



Każde pokolenie ma własny czas...

Uwielbiam ten przebieg ze-
społu Kom-
bii. Jako przedstawiciel
pokolenia BB (baby
boomers, urodzone
w latach 1946–1964)
łatwiej dogaduję się
z pamiętającym PRL
pokoleniem X (1965–1980)
niż z tzw. milenial-
sami Y (1981–2000),
że o generacji Z (która
przyszła na świat w XXI w.)
nie wspomnę. Różnice
mentalne wynikają z
uwarunkowań, w jakich
się wychowywaliśmy,
tzn. ustroju politycznego,
poziomu życia, edukacji
szkolnej, przekazywanych
w domu wartości czy
rewolucji technologicznej.



Zdarza się sporadycznie, że przynależność do general generation (Polaków urodzonych jeszcze w II RP) nie wyklucza z dostępu do wirtualnego świata. Mój śp. teść, człek inteligentny i dociekliwy, nadzwyczaj sprawnie poruszał się w internetowej rzeczywistości i pierwszy rozkminił instrukcje obsługi najnowszych elektronicznych gadżetów. Ale to był wyjątek! Paradoksalnie to pandemia uaktywniła boomersów. Z konieczności, najczęściej przy fachowym instruktazie dzieci czy wnuków, starszkom udawało się np. opłacać umiejętność łączenia się z bliskimi w sieci (Skype, WhatsApp i tym podobne komunikatory). Ale może już wkrótce nadarzy się szansa do rewanżu.

Cywilizacyjny armagedon wywołany wdrożeniem Zielonego Ładu zmusi współczesnych do czerpania ze skarbnicy doświadczeń zaprawionego w hardcorowym survivalu pokolenia GG. Najstarsi z żyjących pamiętają, że życie bez gazu i elektryczności (czyli bez ogrzewania, kuchenki, wody w kranie, żarówki, komputera, telefonu komórkowego, Instagrama, samochodu, sprzętu RTV i AGD) było możliwe. Przepisy na ocieplanie okien, domowy wyrób świec, mydła, karbidówek będą przekazywane pocztą pantoflową. Do łask wrócą lampy naftowe, balie i tary do prania. Umiejętności zbudowania studni, cerowania zniszczonej odzieży, kopcowania ziemniaków, kisenia kapusty w beczkach i wekowanie zapasów na zimę będą na wagę przetrwania. A kartę kredytową zastąpi handel wymienny i praca w barterze. Wszak nasi przodkowie żyli tak od setek lat...

Lech Makowiecki

SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWAŁSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYDZICA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ, JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: BEATA ZAWRZEŁ, REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, DOMENA PUBLICZNA,
MATERIAŁY PRASOWE ORLEN, SHUTTERSTOCK/V.G. SCHANK, DOUG MOLEMAN, NIKOLAY100,
DANIEL JEZDURA, CERI BREEZE, OLENA S. NATALI, MIS, DMITRY SHOHJAN, IGOR LINK

300 milionów dziennie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Według naszych ostrożnych szacunków 9 miesięcy rządów Donalda Tuska kosztowało Polaków astronomiczną kwotę blisko 73 mld zł. W przeliczeniu daje to 300 mln dziennie. A wszystko wskazuje na to, że obecny rząd dopiero się rozpędza

Kilkanaście dni temu Donald Tusk oskarżył swoich poprzedników z PiS, że stworzyli „układ zamknięty”, który zajmował się okradaniem podatników. „Kwota wydatkowanych środków publicznych, ta podejrzana kwota [...] wymagająca zbadania – bo zachodzi podejrzenie, bo są powody, aby sądzić, że te środki były wydatkowane niezgodnie z prawem, z naruszeniem procedur, przepisów, albo na szkodę interesu społecznego – to jest kwota, która, w tej chwili osiągnęła 100 mld zł” – oszacował Tusk.

W tej wypowiedzi chodziło o jedno – aby rzucić bardzo wysoką, a zarazem łatwą do zapamiętania kwotę. 100 mld miało wbić się ludzkom do głów i kojarzyć z pisowskim złodziejstwem. Oczywiście premier nigdy nie odcina sobie drogi odwrotu, stąd asekuracyjne słowa o tym, że „zachodzi podejrzenie”, „są powody, aby sądzić” itd. Wiadomo jednak, że wielu słuchaczy nie zwraca uwagi na takie niuanse i nie śledzi już dalszego ciągu. Wystarczy im, że usłyszeli o 100 mld i właśnie ta kwota poszła w świat zgodnie z zamiarem Tuska.

Potem okazało się wprawdzie, że nie 100 mld, lecz 5 mld, a nawet 3 mld, ale mało kogo to już interesowało. Wszyscy zapamiętali bowiem to, co powiedział Tusk. Podana przez niego kwota nie wzbudziła żadnych podejrzeń, pracownicy mediów związanych z obozem władzy przyjęli ją

bez zastrzeżeń. Źródłem jego wyliczeń były jakoby audyty Krajowej Administracji Skarbowej, a minister finansów precyzował, że 100 mld to kwota „objęta badaniem”. Przy czym badaniem można objąć każdą kwotę, nawet wziętą z sufitu i o niczym to jeszcze nie świadczy.

Polityczny zamiar tej akcji jest oczywisty dla każdego uważnego obserwatora. Chodzi o to, aby wokół PiS wytworzyć atmosferę złodziejstwa i niejasnych finansów. W ten sposób znacznie łatwiej jest niszczyć opozycję.

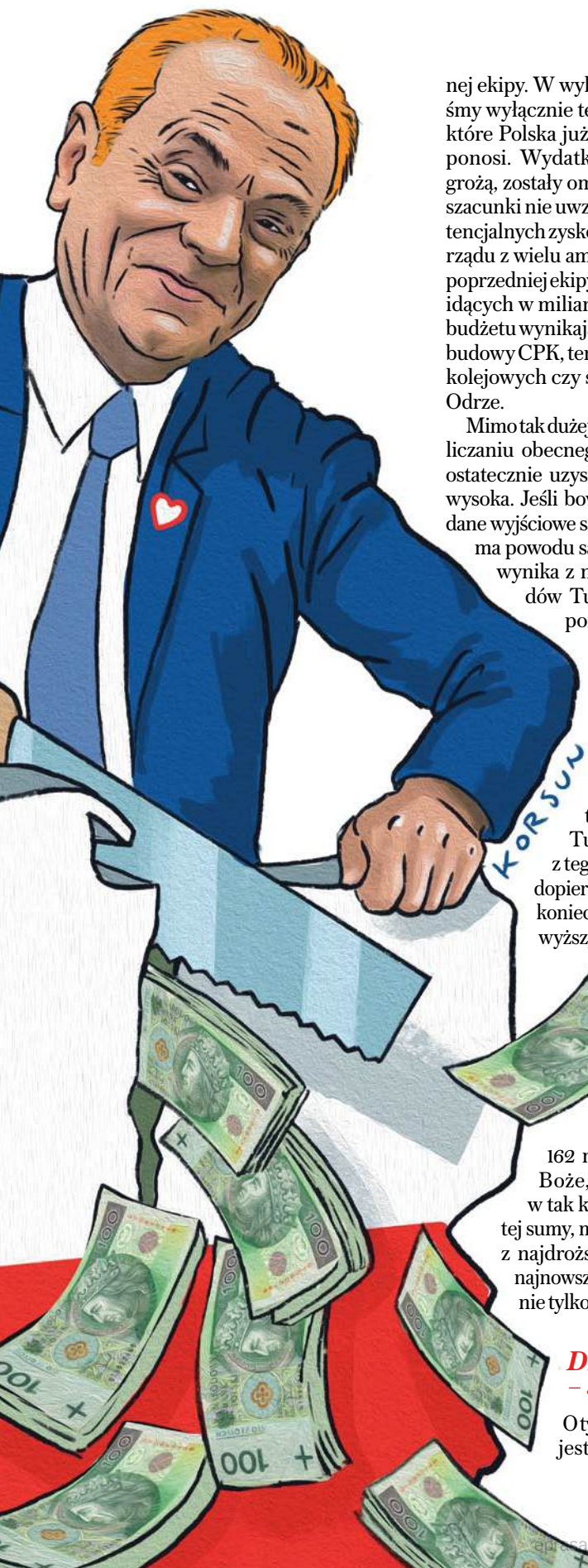
Jak liczyliśmy?

Skoro jednak Donald Tusk postanowił podliczyć PiS na 100 mld zł, postanowiliśmy wziąć z niego przykład i poszukać odpowiedzi na pytanie, ile kosztują nas jego rządy.

Podobnie jak premier, nie rościmy sobie prawa do nieomyślności, nasze wyliczenia są tylko szacunkami. Wykorzystaliśmy wyłącznie ogólnodostępne dane. Oczywiście mogą być one niepełne, zwłaszcza że opinia publiczna nie jest o wszystkim informowana. Mamy jednak powody, aby sądzić, że nasze szacunki nie są zbyt odległe od rzeczywistości.

Nie braliśmy pod lupę wszystkiego, sięgnęliśmy jedynie po najgłośniejsze i najlepiej omówione posunięcia obec-





nej ekipy. W wyliczeniach uwzględniliśmy wyłącznie te koszty rządów Tuska, które Polska już poniosła albo właśnie ponosi. Wydatki, które nam dopiero grożą, zostały omówione osobno. Nasze szacunki nie uwzględniają też utraty potencjalnych zysków z powodu rezygnacji rządu z wielu ambitnych przedsięwzięć poprzedniej ekipy. Nie dorzuciliśmy więc idących w miliardy potencjalnych strat budżetu wynikających np. z zatrzymania budowy CPK, terminali portowych, linii kolejowych czy szlaku żeglugowego na Odrze.

Mimo tak dużej powściągliwości w podliczaniu obecnego rządu, kwota, którą ostatecznie uzyskaliśmy, jest szokująco wysoka. Jeśli bowiem przyjąć, że nasze dane wyjściowe są poprawne (a chyba nie ma powodu sądzić, że jest inaczej), to wynika z nich, że 9 miesięcy rządów Tuska kosztowało do tej pory Polskę 72,7 mld zł.

W przeliczeniu daje to 300 mln zł na każdy dzień. Albo 3305 zł na każdego Polaka w wieku produkcyjnym.

Niestety ta liczba będzie rosła. Nie tylko dlatego, że rządy Tuska trwają, lecz także z tego powodu, że jego ekipa dopiero się rozpędza. Wynik na koniec roku może być znacznie wyższy i zachodzi podejrzenie, że mocno przekroczy kwotę 100 mld.

Nasze najbardziej pesymistyczne rachuby mówią o nawet 162 mld. Gdyby, co nie дай Boże, wskaźnik kosztów w tak krótkim czasie dotarł do tej sumy, mielibyśmy do czynienia z najdroższym rządem w naszej najnowszej historii. A może nawet nie tylko najnowszej.

Dziura VAT – 35 mld

O tym, że sytuacja naprawdę jest poważna, powinien

świadczyć sygnał alarmowy, jakim jest wysokość deficytu budżetowego. W pierwszej połowie br. zamknął się on kwotą 70 mld zł. Dla porównania w tym samym okresie ub.r., gdy jeszcze rządził PiS, deficyt wyniósł 12,6 mld, a dwa lata wcześniej mieliśmy nadwyżkę budżetową w wysokości 27,7 mld zł. Oznacza to, że pod władzą obecnej ekipy deficyt podskoczył aż o 57 mld zł. To nie wróży optymistycznie na przyszłość.

To prawda, sytuacja jest trudna, wydatki są duże, za miedzą mamy wojnę, ale w ub.r. było tak samo. A pieniędzy było jednak więcej. Co się więc dzieje z budżetem państwa?

Pewnym wyjaśnieniem może tu być rosnąca dziura vatowska. „VAT to najważniejszy podatek dla polskiego budżetu, bo to na nim jest on budowany. VAT jest jak tlen. Bez niego budżet zaczyna się dusić. A wpływy są dużo niższe, niż zakładano w budżecie” – pisał w czerwcu portal wyborcza.biz. Zdaniem portalu do spięcia budżetu brakuje 35 mld zł.

Tę samą kwotę podaje Sławomir Dudek, główny ekonomista Instytutu Finansów Publicznych. „W okresie styczeń–maj dochody z VAT wzrosły o 19 proc. rok do roku” – pisze Dudek. Tymczasem „aby wykonać prognozę budżetową VAT na 2024 r. w kolejnych miesiącach dochody te musiałyby rosnać o 37 proc. rok do roku”. Zdaniem ekonomisty to mało prawdopodobne. Przy obecnej ściągalskości VAT w budżecie zabraknie na koniec roku 25 mld zł, a jeśli będzie jeszcze niższa, to dziura vatowska sięgnie 35 mld zł.

Inaczej mówiąc, nasze pieniądze prawdopodobnie znikają w czyichś kieszeniach. Oznacza to szacunkową stratę 35 mld zł i właśnie tę kwotę jako pierwszą naliczamy na poczet kosztów obecnego rządu.

Podwyżka VAT na żywność – 10 mld

Karuzela vatowska i przekręty na tym podatku były bodaj główną przyczyną permanentnych problemów budżetowych pierwszego rządu Tuska. To właśnie z tego powodu Jacek Rostowski bezradnie rozkładał ręce, mówiąc, że „pieniędzy ni ma i nie będzie”. Oszuści i spryciarze wysłali wtedy z budżetu państwa kwotę od 200 do 250 mld zł. Nic więc dziwnego, że „pieniędzy” nie było i trzeba było latać dziurę w budżecie z kieszeni mniej zamożnych Polaków.

Dzisiaj robi się podobnie. W kwietniu rząd Tuska przywrócił 5-proc. stawkę VAT na żywność, którą dwa lata wcześniej obniżył do zera ówczesny szef rządu Mateusz Morawiecki. Według obliczeń resortu finansów wyższa stawka podatku ma przynieść dodatkowych 12 mld zł rocznie, a ponieważ obowiązuje od kwietnia, w br. będzie kosztować nas nieco mniej – ok. 10 mld zł. Na tę kwotę składa się jednak nie tylko VAT, lecz także podwyżka cen żywności.

Według danych GUS ceny towarów i usług konsumpcyjnych w czerwcu wzrosły rok do roku o 2,6 proc. Ekspert banku Pekao SA w dużej mierze obwiniają za to podwyżkę podatku VAT na żywność. Wśród towarów, które podrożały najbardziej, wymieniana się pieczywo, masło, herbatę, soki i wody mineralne, a więc w większości produkty pierwszej potrzeby.

Na rachunek rządu Tuska dopisujemy więc 10 mld zł, o które w br. uszczuplą się nasze portfele wskutek podwyżki VAT i wzrostu cen żywności.

Podwyżka cen energii – 15 mld

Skoro już jesteśmy przy podwyżkach, nie sposób nie zauważyć wzrostu cen energii – gazu i prądu. Jest ona wynikiem Zielonego Ładu, który obłożył energię pochodzącą z paliw kopalnych wysokim haraczem w postaci opłat emisyjnych. Jednocześnie obecny rząd nie śpieszy się z nadto z budową elektrowni jądrowych, których powstanie mogłoby znacząco poprawić niekorzystny mikś energetyczny Polski i tym samym zahamować wzrost cen. Co więcej, rząd Tuska zlikwidował Tarczę Energetyczną – program osłonowy rządu PiS, który przez trzy lata chronił obywateli przed wysokimi cenami energii najpierw dzięki obniżce podatku VAT, a potem dzięki zamrożeniu cen energii.

Dzisiaj o tego rodzaju pomocy możemy zapomnieć. „Ministra” klimatu Paulina Hennig-Kloska zaleca marzącym zakładanie ciepłych kurtek, a osobom niezamożnym, których nie będzie stać na opłacenie rachunków, sugeruje przeprowadzkę do baraków.

Koszty tegorocznej podwyżki cen energii jest trudno uśrednić, bo zależą od jej zużycia, powierzchni, rodzaju budynku oraz

wielu innych czynników. Można się jednak posłużyć bardzo poręcznymi wyliczeniami zawartymi w zlikwidowanym programie Tarczy Energetycznej. Według tych szacunków roczne oszczędności przypadające dzięki Tarczy na jedno gospodarstwo domowe wynosiły średnio 3 tys. zł. Przeliczając to na liczbę gospodarstw domowych (ponad 10 mln według ostatniego spisu powszechnego), uzyskujemy sumę 30 mld zł. Niemal ta sama kwota (dokładnie 31 mld) pojawia się również w wyliczeniach niezrealizowanego projektu Tarczy Energetycznej na 2024 r. przedstawionym w grudniu

Koszty rządów Tuska, które dziś szacujemy na 72,7 mld zł, w ciągu kilku najbliższych miesięcy mogą wzrosnąć o 89,6 mld i osiągnąć łącznie 162,3 mld zł

przez Annę Łukaszewską-Trzeciakowską, która była ministrem klimatu w trzecim rządzie Morawieckiego.

Ceny energii zostały odmrożone w lipcu, a więc dzielimy tę kwotę na pół i otrzymujemy 15 mld zł, a więc tyle, ile wszyscy Polacy będą musieli dodatkowo zapłacić w br. za energię. I właśnie tę sumę dorzucamy do rachunku kosztów obecnego rządu.

Administracja – 2 mld

Konieczność łatania dziury vatowskiej z naszych portfeli nie oznacza jednak, iż rząd zaciska pasa. Przeciwnie, wydatki obecnej ekipy stale rosną.

Objęmując władzę, Tusk odziedziczył po poprzedniku budżet kancelarii premiera przekraczający 2 mld zł. Problem w tym, że gdy był w opozycji, ostro krytykował rząd Morawieckiego za rozrzutność. „Czy wyście tam powariowali? Wy sobie fundujecie dla kancelarii premiera 800 mln zł. Za moich czasów to był koszt 120 mln. Podwyższacie sobie te koszty o 700 proc. Ta władza dyskwalifikuje się każdego dnia” – mówił dwa lata temu Tusk.

W tej sytuacji akceptacja 2-mld budżetu kancelarii premiera byłaby dla Tuska problemem wizerunkowym. Jak jednak pisała w kwietniu „Rzeczpospolita”, szef rządu znalazł sposób, aby zarazem zjeść ciastko i mieć ciastko.

Budżet kancelarii zostanie odchudzony o 1,3 mld zł – będzie więc można opowiadać o skromności nowej władzy. „Przyczyną nie będą jednak drakońskie oszczędności, lecz przesunięcia środków w ramach rządu. Umożliwić ma to ustawa o zmianie niektórych ustaw związanych z funkcjonowaniem administracji rządowej” – pisała „Rzeczpospolita”. Ustawa, o której mowa, weszła w życie w czerwcu. Zaoszczędzone pieniądze pozostały więc w rządzie, tyle że przesunięto je wraz z częścią kompetencji do innych urzędów.

Krótko mówiąc, 2 mld jak były w rządzie, tak w nim pozostały, tyle że rozparcelowane w różnych miejscach. Dopisujemy więc tę kwotę do naszych kosztów.

Spadek zysków ORLEN – 6 mld

W rubryce kosztów rządu powinien się również znaleźć ORLEN, do niedawna okręt flagowy polskiej gospodarki. Choć firma nadal przynosi zyski, to ich wielkość po kilku miesiącach urzędowania nowej ekipy gwałtownie spadła. Według danych spółki w I kwartale br. zysk netto Grupy ORLEN wyniósł 2 mld 785 mln zł i był niższy o 6 mld 686 mln zł w porównaniu z analogicznym okresem ub.r.

A więc wyparowało ponad 6 mld zł. ORLEN to firma państwowa i rząd ma nad nią kontrolę. Dlatego wpiszemy te 6 mld na jego konto.

Emerytury dla esbeków – 4,5 mld

Pod koniec maja rząd Tuska zdecydował o obniżce 14. emerytury do 1780 zł brutto. To dokładnie tyle, ile wynosi najniższe świadczenie emerytalne. Rok temu, za Morawieckiego, 14. emerytura wynosiła 2650 zł brutto.

Obecny rząd najchętniej zlikwidowałby zarówno 13., jak i 14. emeryturę, podobnie jak program 800+, jednak na razie nie może tego uczynić ze względu na weto prezydenta Dudy. Jedyne więc, co na ra-

nie może zrobić w tej kwestii, to obcinać wysokość świadczenia i ograniczać liczbę uprawnionych – w przypadku 14. emerytury chodzi o ponad 1 mln osób, które na mocy nowych zasad zostały pozbawione tego dodatkowego zastrzyku pieniędzy.

Zastrzyku pieniędzy, i to całkiem pokaznych, nie zabraknie natomiast dla byłych esbeków, którzy otrzymają zwrot emerytur obciętych im na mocy ustawy dezubekizacyjnej. Tusk wynagradza ich w ten sposób za poparcie, którego udzielili mu i jego partii podczas ostatnich wyborów.

Według szacunków nagroda dla ubeków będzie kosztować budżet państwa ok. 4,5 mld zł. A skoro zrzućmy się na nią wszyscy, to trzeba wpisać tę kwotę na rachunek rządu.

Branża beauty – 200 mln

Na koniec wyliczanki bieżących kosztów rządu musimy dorzucić inny drobny prezent od premiera Tuska, jakim była obniżka podatku VAT na usługi branży beauty. Od kwietnia podatek za usługi kosmetyczne obniżono ze stawki 23 proc. do 8 proc.

Trudno dociec, jakimi motywami kierował się rząd, obniżając ceny w gabinetach kosmetycznych. Czy chodziło o skuteczny lobbying pań wstrzykujących sobie botoks, czy może ktoś w rządzie uznał, że warto spełnić przynajmniej jedną z przedwyborczych obietnic PO? Niezależnie od tego, jak było, w uśmiechniętej Polsce branża kosmetyczna okazała się strategiczną gałęzią gospodarki, która wymaga solidnego wsparcia ze strony państwa. A nas wszystkich kosztować to będzie 200 mln zł rocznie.

Dopisujemy więc do rachunku i podliczamy całość. Wynik to wspomniane 72,7 mld złotych. Szybko poszło, zaledwie w dziewięć miesięcy.

Już wkrótce – 162 mld

72,7 mld zł to dotychczasowy bilans rządów Tuska. Jednak jeśli tak dalej pójdzie, to do końca roku ta kwota może się nawet podwoić. Dzieje się bowiem bardzo wiele, i to nie tylko w Polsce.

Nasz „król Europy” przegrywa bowiem kosztowne bitwy na forum unijnym. Jeszcze podczas grudniowego szczytu Unii, na

którym dyskutowano nad rewizją wieloletniego budżetu UE, Tusk zgodził się na wprowadzenie trzech unijnych podatków. Jeden z nich przewiduje, że 25 proc. środków pobieranych z opłat emisyjnych ETS będzie trafiać do Unii. Inaczej mówiąc, każdy z nas będzie bezpośrednio finansował politykę klimatyczną UE.

Mowa tu o kwocie min. 6 mld zł. Wyliczyliśmy ją na podstawie wysokości opłat emisyjnych w 2023 r., gdy do budżetu państwa trafiło z tego tytułu ok. 24 mld zł. Jedna czwarta to właśnie 6 mld. Przy czym jest to wyliczenie optymistyczne, ponieważ opłaty emisyjne stale rosną.

Premier Morawiecki zwraca tu uwagę na jeszcze jedno poważne niebezpieczeństwo związane z poborem unijnych podatków w Polsce. Jego zdaniem dzięki zmianom, na które zgodził się Tusk, będzie teraz można „nałożyć każdy rodzaj podatku, wziąć go jako wspólny dochód do budżetu UE i zrealizować na tej podstawie cele, które są nam bardzo obce. Ani zło-

O tym, że sytuacja jest poważna, powinien świadczyć sygnał alarmowy, jakim jest wysokość deficytu budżetowego. W pierwszej połowie br. zamknął się on kwotą 70 mld zł

tówka, ani euro z tego polskiego podatku może nie wrócić do Polski. Nie będziemy mogli tego oprotestować, nie będziemy mogli zawetować” – ostrzegali Morawiecki.

Nowe podatki to jednak nie wszystko. Wygląda bowiem na to, że za sprawą unijnego rozporządzenia bateryjnego Polska zostanie wkrótce całkowicie wyeliminowana z dochodowego rynku baterii. Straty dla naszej gospodarki mogą być ogromne, jesteśmy bowiem drugim w świecie producentem baterii litowo-jonowych, a według danych z 2022 r. wartość sektora baterii w Polsce przekracza 38 mld zł. Wszystko to zostanie wkrótce stracone, ponieważ rząd

Tuska, zajęty nieustannymi bijatykami politycznymi w kraju, nie dostrzegł w porę zagrożenia i nie potrafił mu się skutecznie przeciwstawić.

Tusk nie zamierza również walczyć o przyszłość kopalni Turów, która wskutek protestów niemieckich ekologów będzie musiała od 2026 r. zaprzestać działalności. Straty, które poniesie z tego powodu Polska, są szacowane przez Pawła Śliwę, byłego wiceprezesa PGE, na 13,5 mld zł.

Jeśli już jesteśmy przy likwidacjach – warto przypomnieć, że w tej chwili wazą się losy strategicznego polskiego przewoźnika kolejowego, jakim jest PKP Cargo. Wartość rynkowa firmy wynosi 852 mln zł. Te pieniądze również mogą wkrótce pójść na straty. Tak samo jak środki wyłożone do tej pory na budowę CPK, jeżeli obecny rząd szybko nie rozpocznie budowy portu. Według słów obecnego pełnomocnika rządu (czy raczej likwidatora) ds. CPK Macieja Łaska mowa o kwocie 1,2 mld zł. Oczywiście nie liczymy tutaj utraty 200 mld zł poten-

cjalnych zysków rocznie, jakie, według raportu firmy doradczej EY, za sprawą braku lotniska przejdą nam koło nosa.

Do końca roku rozstrzygną się też zapewne losy składki zdrowotnej. Pojawiają się głosy, że NFZ jest na skraju bankructwa, a luka w budżecie funduszu może wynieść w najbliższych trzech latach nawet ponad 100 mld zł. Różnica między PO a PiS jest tu taka, że o ile Prawo i Sprawiedliwość zrobiłoby wszystko, aby ratować służbę zdrowia, o tyle Platforma proponuje dziś „reorganizację” szpitali, a jej koalicjanci – obcięcie składki zdrowotnej. Gdyby bowiem przyjąć propozycje w tej sprawie zgłaszane przez Ryszarda Petru, to deficyt w publicznej służbie zdrowia mógłby wzrosnąć o dodatkowe 63 mld zł, a w najlepszym razie o 30 mld zł – na tyle bowiem Ministerstwo Finansów szacuje koszt rozwiązań zaproponowanych ostatnio przez formację Szymona Hołowni.

Jeżeli teraz podsumujemy to wszystko, okaże się, że koszty rządów Tuska, które dziś szacujemy na 72,7 mld zł, w ciągu kilku najbliższych miesięcy mogą wzrosnąć o 89,6 mld i osiągnąć łącznie 162,3 mld zł. Za te pieniądze można by było zbudować dwa lotniska CPK. A przecież nie doliczyliśmy do rachunku Tuska reparacji od Niemiec (6,2 bln zł), które odrzucił szerokim gestem podczas lipcowej wizyty Olafa Scholza. ▀

Kłeska neo-TVP

Siłowe przejęcie mediów publicznych usprawiedliwiano obietnicą, że nowa TVP będzie lepsza. Nie jest. Merytorycznie słaba, politycznie powtarzająca linię TVN, rozdzierana intrygami i dramatami pracowników, z nieudacznikami u sterów. Nawet zwolennicy Tuska jej nie bronią



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Widzowie dawnej TVP pamiętają, że budynki mediów publicznych zajmowano z użyciem siły, policyjnych radiowozów, napierania ochrony, a czasem nocnego wdzierania się do gmachów. Bezprawie przypominało bardziej rosyjskie realia wczesnego Putina, ale do wielu Polaków tamte obrazy zwyczajnie nie dotarły. Jednak i bez opisywania zamachu na Telewizję Polską klęska uzurpatorskiej ekipy jest widoczna, jednoznaczna i rażąca.

LICZBY NIE KŁAMIĄ

Żenujący stan telewizji pokazuje jej oglądalność. TVP Info, które jeszcze w ub.r. było się o pierwszeństwo z TVN24, dziś nie jest nawet na podium. W lipcu br. TVP Info oglądało w ciągu doby średnio 64 639 widzów. To dramatyczny spadek w porównaniu z poprzednim rokiem, kiedy ten wynik wynosił ponad ćwierć miliona ludzi (263 282). Comiesięczne wyniki oglądalności nie pozostawiają najmniejszych złudzeń – aż trzy czwarte widzów odeszło od publicznego programu informacyjnego, często przerywając się na konserwatywne telewizje. Ale nie tylko na nie – zyskały też programy in-

formacyjne Polsatu, z których aż dwa, Polsat News i Wydarzenia24, wyprzedziły telewizję z Woronicza.

Największym medium informacyjnym pozostaje więc TVN24, na drugim miejscu na razie jest Telewizja Republika, później dwie stacje Polsatu i na końcu państwowy moloch, który jest bezskutecznie pompowany miliardami złotych z budżetu państwa.

Choć obecna ekipa rządząca zapewniała, że pieniądze na TVP są przekazywane kosztem onkologii dziecięcej, tylko w pierwszym kwartale tego roku ludzie Tuska przeznaczyli na Telewizję Polską dodatkowo 1 mld zł, a obecnie szykuje się kolejny przelew na kwotę, jak twierdzi „Dziennik Gazeta Prawna”, ok. 320 mln zł. Widzów coraz mniej, wpływów z reklam tym bardziej, pozostaje więc żebranie u premiera.

Liczby podajemy na początku listy zarzutów wobec TVP, bo z nimi nie da się polemizować. Ale fatalne wyniki telewizji publicznej nie wzięły się znikąd. Największe tuzy przejętej siły TVP przyszły na Woronicza wprost z medialnego projektu Nowa TV. Duch nieudanej telewizji, która musiała zamykać swoje mało oglądane programy, panuje dziś w państwowym molochu. Tomasz Sygut był redaktorem naczelnym Nowa TV, dziś jest dyrektorem generalnym TVP, Marek Czyż prowadził publicystykę w Nowa TV, dziś prowadzi neo-Wiadomości w TVP. Z tej małej stacji pochodzą także Beata Tadla, Jarosław Kulczycki czy Jarosław Kret. Dziś już nie muszą się martwić o oglądalność – wszystkie braki pokryją pieniądze z budżetu państwa.

Z innego środowiska pochodzi szef neo-Wiadomości Paweł Pluska, ale jego świadectwo pracy też jest dziwne. Dziennikarz przez dwie dekady był w jednym zespole „Faktów” TVN, realizując te same politycznie i warsztatowo treści. Ale i w nowej roli nie okazał się nowatorski.

CZYSTA BYLEJAKOŚĆ

Już samo wyłączenie sygnału w momencie siłowego przejęcia gmachu telewizji jest demolowaniem własnych mediów – widzowie tracą programy, wybierają inne media, nadawanie traci ciągłość. Gdy włączono program, pojawił się Marek Czyż, którego słownictwo bardziej przypomina PZPR-owskie komunikaty niż profesjonalne dziennikarstwo. Jego obietnica, że nowa TVP będzie „czystą wodą” w przeciwieństwie do starej, gdzie była „zupa”, przylgnęła już do niego jako szyderstwo.

Oświadczenia, zapewnienia i komunikaty brzmią w TVP jak drewniana mowa komunistycznych aparaczków. Gdy ukarano Przemysława Babiara za to, jak podczas igrzysk olimpijskich skomentował piosenkę „Imagine” jako wizję komunizmu, Czyż powiedział na antenie (uwaga, mowa-trawa): „Mamy państwu jeszcze do zakomunikowania oświadczenie Telewizji Polskiej. Wzajemne zrozumienie, tolerancja, pojednanie to nie tylko podstawowe idee olimpijskie, to także fragment i fundament, którymi kieruje się nowa Telewizja Polska. Nie ma zgody na jej łamanie”. Nie wiadomo o co chodzi, ale w partyjnej nowomowie PRL, by jakoś uszło.



Krytykowany za puste i głupio składowane obietnice Czyż reaguje agresją: „Jeśli ktoś uważa, że Czyż obiecał czystą wodę i czystej wody nie ma, i jest kłamcą, to nie chcę z nim rozmawiać, bo jest głupkiem” – mówił w jednym z wywiadów.

Od samego początku neo-TVP jest przylapywana na dziesiątkach i setkach wpadek, które nie przystoją nawet studentom dziennikarstwa. Gdy dziennikarze mówią np. o Kościele katolickim, to zupełnie nie rozumieją tematu. Marek Czyż opowiadał o „Dyskanterii” zamiast „Dykasterii” i o „doktrynie” zamiast o „deklaracji”, a Maciej Gąsiorowski ogłosił święto Trzech Króli „świętem państwowym”.

W innych tematach nie jest lepiej. TVP Info myli podstawowe fakty, nazwiska, nazwy własne. Raz Rzecznika Praw Obywatelskich prof. Marcina Wiącka przedstawiono jako Macieja Wąsika, 60-tys. Zamość opisano jako „kilkunastotysięczne miasto”, zrobiono błąd w nazwie kraju, pisząc „Papua” zamiast Papua. Od oglądania tych błędów aż bolą oczy, ale ta bylejakość telewizji jest tam zjawiskiem systemowym.

Siłowe przejęcie TVP przyniosło jej problemy strukturalne – konflikt z Krajową Radą Radiofonii i Telewizji oraz

status spółki w likwidacji uniemożliwiają mediom publicznym normalne funkcjonowanie. Pracownicy Telewizji Polskiej S.A w likwidacji (taka jest teraz oficjalna nazwa stacji) nie mogą wziąć kredytu z banków, które nie mają pewności co do takiego zatrudnienia, a ciągle pogłoski o finansowych problemach napędzają u zwykłych dziennikarzy strach o ich zawodową przyszłość. Strachu napędza też sam dyrektor Sygut, który ostatnio w jednym z wywiadów sugerował zwolnienia. „Ogromnym problemem tej firmy jest przerost zatrudnienia” – mówił. I od razu wskazał potencjalnego kozła ofiarnego: „Najlepiej obrazuje to przykład 16 ośrodków regionalnych, gdzie mamy 770 pracowników, ale razem ze współpracownikami jest to prawie 3 tys. osób. To kosmos!”. Błąd strach padł więc na wszystkie regionalne ośrodki, którym odbiera się kluczowy sens ich pracy – misyjność działania w społeczności lokalnej. Nikt w stolicy nie zrobi reportażu o tradycjach na Śląsku, kuchni na Podlasiu czy podkarpackich kapliczkach przydrożnych, ale jak widać obecne władze gardzą prowincją niczym najgorszy sort liberałów.

Październowości tej telewizji dodaje fakt, że kierownictwo porzuciło najno-

wocześniejsze studia telewizyjne w tej części Europy – te z gmachu przy pl. Powstańców Warszawy. Część sprzętu przewieziono i zainstalowano na Woronicza, ale potężny mechanizm newsroomu zorganizowanego przez poprzednią ekipę na światowym poziomie świeci dziś pustkami. Słaba jakość neo-TVP to suma setek błędów. Ale nie tylko błędów.

ZAPACH DZIWNYCH INTERESÓW

Autorzy siłowego przejęcia TVP uzasadniali, że owa „czysta woda” Marka Czyża będzie przynajmniej moralnie konieczna i będzie etycznym oczyszczeniem. Dziś nikt poważny nie broni telewizji publicznej. TVP bez poczucia żenady realizuje cele niepublicznych interesów. Korespondentka w Berlinie Magdalena Gwóźdź-Palokat pracuje jednocześnie dla polskiej telewizji i... niemieckiego Deutsche Welle. Ostatnio dziennikarka swojego newsa o nowym ambasadorku RP przekazała jednak nie polskiej stacji, a niemieckiemu pracodawcy. Ta sama dziennikarka potrafiła przekazać do „neo-Wiadomości”

materiał, który już wcześniej wyemitowała w Deutsche Welle, a był on o stosunku Polski do Niemiec...

Niemieckie interesy widać też w innych miejscach. W materiałach jednostronnie pokazujących projekt CPK jako szkodliwą gigantomanie, w opisie zimowych wichur, które stały się pretekstem do promowania elektrowni wiatrowych, w jednoznacznym potępieniu uzyskania od Niemiec reparacji za II wojnę światową.

Może państwo myślał, że nie ma tam chociaż wpływów rosyjskich? Szefem TVP World został Michał Broniatowski, który aż przez sześć lat (2003–2009) był wiceprezesem rosyjskiej agencji informacyjnej Interfax. To trzeba podkreślić: wizerunkiem Polski w anglojęzycznej telewizji zarządza człowiek, który kształtował przekaz w kraju ludobójcy Putina w czasie, gdy likwidowano tam demokrację, zamordowano Annę Politkowską, zapowiadano restytucję ZSRS i przeprowadzono inwazję na Gruzję. Być może Broniatowski nie widzi nic nadzwyczajnego w przejmowaniu telewizyjnej siły – w Rosji to standardowa praktyka.

Ostatnio w TVP pojawił się nowy rosyjski wątek. W grudniowym zamachu na telewizję publiczną brała udział Magdalena Chodownik, partnerka płk. Pawła Rubcowa, funkcjonariusza rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU. To jego Putin osobiście witał na lotnisku po międzynarodowej wymianie więźniów między Wschodem a Zachodem. Jeśli partnerka wysokiego rangą rosyjskiego szpiega wiedziała o planach ataku na TVP, to czy szefowie Rubcowa w Moskwie przeczytali o tym w raporcie?

Ale oprócz wielkich interesów wkraczających do telewizji publicznej są też interesiki. Od razu po przejściu stacji widzowie wyłapali obecność lobby różnej maści. W programie śniadaniowym pozwalano promować się flipperce. To rodzaj „inwestowania” w mieszkania w celach remontowych i droższego odsprzedażania. Jednak często kryje się za tym nieuczciwa praktyka kupowania mieszkań, w których już żyją lokatorzy, aby się ich pozbyć. Sama flipperka

tłumaczyła, że takie „nieruchomości są tańsze, bo trzeba w nich posprzątać”. Dziwne słownictwo wobec mieszkańców, prawda?

Nie mogło zabraknąć także interesów tęczy. TVP natychmiast zaczęło idealizować środowiska LGBT+, zapraszać kolejne pary z radością opowiadające, jak bardzo cieszą się z nowej telewizji. W sumie mają powody, by się cieszyć – dostają konkretne korzyści. W TVP Poznań swój program dostał

Fatalne wyniki telewizji publicznej nie wzięły się znikąd. Największe tuzy przejętej siłą TVP przyszły na Woronicza wprost z medialnego projektu Nowa TV. Duch nieudanej telewizji, która musiała zamykać swoje mało oglądane programy, panuje dziś w państwowym molochu

Maciej Sulwiński, tęczy aktywista z organizacji Stonewall, i tak już hojnie obdarowanej ze środków miasta. Jego pierwszym gościem była „Twoja stara”, to znaczy lokalny drag queen, zniewieściał mężczyzna w wyrazisty sposób przebijający się za kobietę i epatujący swoją seksualnością. Jedynym powodem zaproszenia „Twojej starej” nie były jakieś zasługi, reprezentowanie nowych wartości, lecz pokazanie, jak wygląda wąsaty mężczyzna w damskim kapeluszu i żakiecie. Nawet jeśli ktoś popiera specjalne prawa dla osób LGBT+, to czy naprawdę w tak żalosny sposób chce przekonywać do siebie społeczeństwo? Chyba że chodzi o promocję tego gejowskiego klubu w Poznaniu – owego Stonewall. Wtedy program spełnia swoje założenia. Tylko czy to ma być ta jakościowa zmiana w TV?

KLĘSKA MORALNA

Mediom publicznym zawsze zarzuca się stronniczość, ale nie o każdej ekipie w TVP da się powiedzieć, że wjechała do nowego miejsca pracy siłą i w asyście policji. Kto zaczyna w mediach od przemocy i łamania prawa, ten kładzie wadliwy fundament – zawsze już będzie zależny od kłamstw, siły i kaprysów władzy. Jednak obecne kierownictwo zrobiło w mediach rzecz bezprecedensową. Usunięcie kilkuset tysięcy wcześniej napisanych tekstów ze strony tvp.info to gwałt na debacie publicznej. Zniknęły przecież nie tylko wypowiedzi polityków czy urzędników państwowych, lecz także zapis dziesiątek tysięcy zwykłych codziennych wydarzeń: wypadków, uroczystości, wywiadów z artystami czy naukowcami. Oprócz rozmachu tej cenzorskiej operacji doszła degradacja portalu tvp.info, który dzięki takiemu zabobowi informacyjnemu był wysoko pozycjonowany w internecie. Nowy portal startował z dużo niższego pulapu.

Właściwie nie ma tygodnia, by nie komentowano nowej wpadki albo arogancji dziennikarzy TVP. Ostatnio Dorota Wysocka-Schnepf przeprowadziła wywiad z prowokatorskim aktywistą Arkadiuszem Szczurkiem, zakłócającym uroczystości upamiętniające katastrofę smoleńską. Redaktorka zaprosiła go jako „wybitną” osobistość. Wkrótce potem pogardliwie określiła wozy strażackie przekazywane ochotniczym strażom pożarnym jako „rzekomo przydatne nie wiadomo właściwie do czego”, a pomoc dla kół gospodyń wiejskich Marek Czyż nazwał w swoim videoblogu „dziadostwem”.

Już tylko wisienką na torcie jest oficjalna duma, jaką zaprezentowała neo-TVP, kiedy w marcu jej główny serwis informacyjny otrzymał Nagrodę Mariusza Waltera. Patron nagrody był przecież założycielem konkurencyjnej stacji – TVN, a nagrodę odbierał szef programu „19:30”, czyli Paweł Pluska, jego były pracownik. Trudno o lepszy symbol tego, że obecna TVP stała się przystawką stacji TVN.

Prezydent na miarę

*Prawo i Sprawiedliwość ma trzy grupy kandydatów na prezydenta RP.
Kogo wybierze?*

Kandydata Prawa i Sprawiedliwości w wyborach na prezydenta RP w 2025 r. (najpóźniej w maju) oficjalnie mamy poznać 11 listopada 2024 r., czyli w Narodowe Święto Niepodległości. W takim terminie ogłoszono też w 2015 r. kandydaturę Andrzeja Dudy. I to jest chyba jedyne podobieństwo między tymi decyzjami.

Dlaczego? Bo sytuacja jest diametralnie różna, przede wszystkim dlatego, że głową państwa wybraną na dwie kadencje, czyli na lata 2015–2025, został Andrzej Duda wywodzący się z obozu PiS. Nigdy po 1990 r., czyli od pierw-



STANISŁAW JANECKI

szych powszechnych wyborów prezydenckich, ta sama formacja nie wygrała tej elekcji po tym, jak jej przedstawiciel przez 10 lat sprawował tę funkcję. Przypomnijmy, że wcześniej głową państwa przez dwie kadencje był tylko Aleksan-

der Kwaśniewski z postkomunistycznej lewicy (w latach 1995–2005). Do walki po nim stanął Marek Borowski (wskutek intrygi z udziałem tajnych służb, która wpłynęła na spadek notowań w sondażach, z kandydowania wycofał się Włodzimierz Cimoszewicz), ale otrzymał tylko 10,33 proc. głosów (czwarty wynik), więc nie wszedł nawet do drugiej tury. A w strategii PiS jej kandydat ma nie tylko przejść do drugiej tury, lecz także ją wygrać. Musi to być zatem ktoś dopasowany do rywalizacji z jednym z trzech potencjalnych kandydatów Koalicji Obywatelskiej



(Donaldem Tuskiem, Rafałem Trzaskowskim, Radosławem Sikorskim) oraz kandydatem Trzeciej Drogi (najpewniej Szymonem Hołownią) lub osobno Polski 2050 i Polskiego Stronnictwa Ludowego (najpewniej Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem).

W 2015 r. Andrzej Duda przygotowywał się do poważnej konfrontacji tylko z urzędującym prezydentem Bronisławem Komorowskim i dopiero w drugiej turze okazało się, że musi brać pod uwagę Pawła Kukiza (a właściwie jego wyborców), który w pierwszej turze niespodziewanie osiągnął trzeci wynik (20,80 proc. głosów). I wygrała Andrzej Duda w drugiej turze była minimalna (51,55 proc. do 49,45 proc. głosów).

W 2025 r. w grę wchodzi trzy warianty. Po pierwsze, kandydatem PiS może zostać ktoś taki jak w 2015 r. Andrzej Duda, a może nawet osoba jeszcze mniej znana niż wtedy obecny prezydent. Po drugie, kandydat będzie już znany i wcześniej uczestniczący w różnych próbach wyborczych lub sprawujący ważne samodzielne stanowiska. Po trzecie, kandydat będzie bardzo dobrze znany i pełniący wcześniej wysokie funkcje państwowe, czyli też pewien balast. W każdym wariantie kandydat PiS musi wykonać ogromną pracę w kampanii: albo żeby dać się poznać i zdobyć uznanie, albo żeby przekonać wyborców, że ma wielki potencjał, sprawdził się bowiem na zajmowanych wcześniej stanowiskach, choć nie były one z najwyższej państwowej półki, albo że sprawdził się na stanowiskach najwyższych. W każdym wariantie potrzebny jest rozmach kampanii, co byłoby bardzo trudne, gdyby Państwowa Komisja Wyborcza znacząco obcięła dotację i subwencję dla PiS w związku z wyborami parlamentarnymi 15 października 2023 r.

TRZY WARIANTY

W pierwszym wariantie (z kandydatem wymagającym wypromowania) może się nie udać powtórzenie scenariusza z 2015 r. z Andrzejem Dudą. Tym bardziej że najbardziej brany pod uwagę kandydat przymierzany do tego wariantu jest wprawdzie młody, ma wiele zalet, wzorcową rodzinę, zacnych

przodków i nie posiada żadnego negatywnego bagażu z przeszłości (choćby z tytułu sprawowania istotnych funkcji państwowych), ale Polacy poznają go dopiero 11 listopada 2024 r. i będzie miał zaledwie pół roku, żeby stać się nie tylko rozpoznawalnym, lecz także docenionym. Taki pretendent będzie miał przeciwko sobie bardzo znanych kandydatów: kogoś z piątki Tusk, Trzaskowski, Sikorski, Hołownia lub Kosiniak-Kamysz, a także zapewne Sławomira Mentzena i Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Taka partia jak PiS nie może sobie pozwolić na odpadnięcie jej wybrańca w pierwszej turze. A przy tylu znanych konkurentach i nowicjuszu do wypromowania praktycznie od zera trzeba to brać pod uwagę. Paradoksalnie w takim przypadku pierwsza tura mogłaby być trudniejsza od drugiej.

Nie wiadomo też, na ile Polacy, także ci o wyrazistych preferencjach, chcieliby kogoś zupełnie nowego, choć popieranego przez bardzo silny brand, jakim jest PiS. I na ile kandydat, który nie tak dawno przekroczył próg wieku (35 lat), od którego można się ubiegać o prezydenturę Polski, może liczyć na młodych wyborców. To powinno być wszechstronne zbadane przed 11 listopada 2024 r., bo ryzyko jest duże.

W drugim wariantie (kandydat znany, choć niesprawujący bardzo wysokich funkcji w państwie) istnieje problem przebicia sufitu średniego poparcia. Tu kandydaci są już właściwie znani. To Zbigniew Bogucki, poseł, były wojewoda zachodniopomorski, drugi w wyścigu o prezydenturę Szczecina w kwietniu 2024 r. To Tobiasz Bocheński, eurodeputowany, były wojewoda łódzki, a potem mazowiecki, drugi w wyborach na prezydenta Warszawy w kwietniu 2024 r. To Karol Nawrocki, prezes Instytutu Pamięci Narodowej, były dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Każdy z nich, także dzięki silnemu brandowi PiS, może przejść do drugiej tury, ale tam mogą się zacząć schody, właśnie z powodu sufitu średniego poparcia. Można to oczywiście nadrobić w intensywnej kampanii wyborczej, ale konfrontacja z kimś z trójki Tusk, Trzaskowski, Sikorski byłaby walką na wyniszczenie i chyba tylko Karol Nawrocki mógłby jej

sprostać. Dlatego, że był pod nieustannym ostrzałem jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i jest jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej. Ponadto Bocheński (w momencie wyborów 37 lat), Bogucki (45 lat) i Nawrocki (42 lata) są o pokolenie lub prawie o pokolenie młodszy od Tuska (w momencie wyborów 68 lat) i Sikorskiego (62 lata), czyli wedle określenia ich własnego środowiska to „dziadzi”, oraz o ok. dekadę młodszy od Trzaskowskiego (53 lata).

Ale w pierwszej turze czynnik młodości nie musi być atutem, bowiem w trakcie wyborów Mentzen będzie miał 37 lat, Dziemianowicz-Bąk 41 lat, Kosiniak-Kamysz 43 lata, a Szymon Hołownia 47 lat. Istnieje więc ryzyko, że kandydat spełniający kryteria drugiego wariantu też mógłby nie wejść do drugiej tury.

W trzecim wariantcie (kandydat świetnie znany, sprawujący wcześniej najwyższe funkcje państwowe) najważniejszym problemem może być wieloletnie uczestnictwo we władzy na najwyższych stanowiskach. Ale w maju 2025 r. może to być problem pozorny. Tu też kandydaci są właściwie znani: to były premier Mateusz Morawiecki oraz były wicepremier i szef MON Mariusz Błaszczak. Fakt, że przez wiele lat sprawowali wysokie funkcje państwowe, za dziewięć miesięcy może nie być problemem z prostego powodu: tamte rządy mogą się stać (i już się stają) „złotą erą” w dziejach współczesnej Polski.

Obiektywnie „złota era” są osiągnięte wtedy poziomy wzrostu PKB, tempa bogacenia się Polaków w stosunku do innych narodów w ramach UE, wzrostu świadczeń socjalnych (głównie dla dzieci) i emerytalno-rentowych, poziomu i jakości usług cyfrowych (mających np. wielkie znaczenie w ochronie zdrowia), jakości życia i praktycznego zniwelowania podziału na Polskę A i B, poziomu bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego (ogromny wzrost zakupów najnowszej broni oraz powiększanie armii), rezerw NBP i zapasów złota, utrzymania spójności kulturowej i narodowej tożsamości, czyli „normalności” Polski w porównaniu do tego, co się dzieje w innych państwach, czy wreszcie najniższego bezrobocia

w historii III RP. To wszystko jest poza zasięgiem rządu Donalda Tuska.

Dlatego obecny gabinet tak wiele czasu i zasobów (właściwie niczym innym się nie zajmuje) poświęca na prześladowanie poprzedniej władzy, przypisując jej okropną gębę „zorganizowanej grupy przestępczej”. Dlatego rządowi PiS przypisuje się, w oderwaniu od jakichkolwiek realiów, sprzeniewierzenie, a właściwie kradzież 100 mld zł. Tusk i liderzy koalicji 13 grudnia wiedzą, że legenda „złotej ery” już zaczyna funkcjonować, więc chcą to zdusić w zarodku. Ale to syzyfowa praca, jeśli wziąć pod uwagę tempo pogarszania się poziomu i jakości życia w Polsce za rządów koalicji 13 grudnia.

W maju 2025 r. marka „złotego wieku” może być bardzo silnym czynnikiem decydującym o wyborczych preferencjach i wtedy cała „atomowa” narracja koalicji 13 grudnia o rządach „zorganizowanej grupy przestępczej” najprawdopodobniej rozsypie się jak domek z kart, a nieudolność rządu Tuska i jego porażki będą bić w oczy.

TALENT I FIZYCZNA WYDOLNOŚĆ

Żeby być zaakceptowanym przez jak największą liczbę wyborców, potrzeba jest umiejętności łatwego nawiązywania kontaktu z ludźmi oraz odpowiedni język i konstrukcja wystąpień publicznych (w zależności od charakteru i liczebności audytorium). W 2015 r. Andrzej Duda wykazał tu wyjątkowe talenty. Wszyscy rozważani obecnie przez PiS kandydaci na prezydenta mają tu pewne mankamenty (najmniejsze zapewne Karol Nawrocki), ale to wszystko można udoskonalić. Nie chodzi o to, żeby sprawnie przemawiać, tylko żeby porywać ludzi. Nie może to być zatem technokratyczna biegłość, która z reguły wiąże się z pewną oschłością, lecz uwodzenie słowami i emocjami, jakie te słowa wydobywają. A przy tym nie może to być emocjonalne zwodzenie ludzi czy wręcz manipulowanie nimi, co bardzo często praktykuje Donald Tusk. To trafia wyłącznie do już przekonanych.

Tu nawet mający duże doświadczenie w publicznych wystąpieniach Mateusz Morawiecki i Mariusz Błaszczak mieliby wiele do zrobienia. I nie powinno się liczyć na intuicyjne podejście, bowiem ono sprawdza się tylko w wypadku wyjątkowych samorodnych talentów, a takim niewątpliwie jest dwukrotnie wybierany prezydent Andrzej Duda.

Pod tym względem największe ryzyko wiąże się z kandydatem całkiem nowym. Może on mieć wiele zalet, ale dla odbiorców będzie przejrzysty, czyli nijaki.

W maju 2025 r. marka „złotego wieku” może być bardzo silnym czynnikiem decydującym o wyborczych preferencjach i wtedy cała „atomowa” narracja koalicji 13 grudnia o rządach „zorganizowanej grupy przestępczej” najprawdopodobniej rozsypie się jak domek z kart, a nieudolność rządu Tuska i jego porażki będą bić w oczy

Kandydat nie może mieć także żadnych łatwo zauważalnych wad artykulacji, np. dziwnego akcentu, „podwórkowych” naleciałości, nadmiernej śpiewności czy piskliwości, monotonii, odstręczającej barwy głosu, akademijnej deklamacji czy natrętnego kaznodziejstwa. Na co dzień wyborcy o tym nie myślą, ale wady się podświadomie kumulują, a w efekcie nastawiają obojętnie lub wręcz negatywnie do kandydata.

Jeśli Prawo i Sprawiedliwość zdecydowałoby się na kandydata zupełnie świeżego, musiałby on wykonać gigantyczną pracę, także w sensie fizycznym. Podobnie jest zresztą z kandydatami rozważanymi w drugim wariantcie. I tu pojawia się problem nie tylko rozpozna-

walności i akceptowalności, lecz także fizycznej wydolności. W ciągu sześciu miesięcy poprzedzających pierwszą turę wyborów prezydenckich kandydat Prawa i Sprawiedliwości, kimkolwiek by był, powinien dotrzeć do nawet dwa razy większej liczby miejsc i ludzi niż w 2015 r. Andrzej Duda. Powinien uściśnąć nie setki tysięcy, a może nawet kilka milionów dłoni. Powinien być właściwie wszędzie, bowiem w wielu miejscowościach taka osoba pojawi się po raz pierwszy i to może być docenione jako wyróżnienie mieszkańców tych miejscowości. Oni muszą się poczuć wyjątkowo i jednocześnie polubić oraz uszanować takiego kandydata.

Im większą rangę ma ten kandydat, np. z powodu sprawowanych wcześniej funkcji, tym łatwiej może funkcjonować w roli VIP-a, który nie ma najmniejszych problemów z dotarciem wszędzie oraz rozmową i uściśnięciem dłoni każdego. Dla wyborców to ważne. Tu może się pojawić sygnalizowany już problem zwyczajnej fizycznej wydolności.

Właściwie jedynym kandydatem, który wielokrotnie przechodził takie testy wydolności, jest Mateusz Morawiecki. Czy to jako premier, czy jako jeden z liderów kampanii wyborczych potrafi on wydajnie funkcjonować nawet 20 godzin na dobę. Fizycznie wydaje się niezniszczalny, a przy tym pozostaje w pełni sprawny intelektualnie.

Podczas kampanii wyborczej to nie będzie błąhą czynnik.

Przymierzając się do wyłonienia tego jednego kandydata, można brać pod uwagę takie czynniki, jak świeżość, brak obciążeń z przeszłości, wrodzone czy nabyte talenty, spontaniczność, asertywność albo kreatywność, ale najczęściej wybór jest bardzo racjonalny i oparty na sprawdzonych kryteriach. Jest z tym podobnie jak z wyborem do piłkarskiej reprezentacji Polski. O wyniku rzadko decydują jakieś utalentowane meteory, tylko gracze pewni, solidni, robiący bardzo mało błędów. Nie chodzi bowiem o nawet błyskotliwą kampanię, tylko o pewność awansu do drugiej tury i twardą konfrontację w finale, nawet gdyby rozstrzygnięcie padło w rzutach karnych.

10 rad na nowy rok szkolny



DOROTA ŁOSIEWICZ

Wakacje już za parę dni będą wspomnieniem, pamiątki staną na półce, a szkoła znów powita uczniów w swoich progach. Przed pierwszym dzwonkiem mam więc garść porad dla rodziców

1. ZAJĘCIA DODATKOWE – NIĘ SZALEJ

Chiński, gra na harfie, capoeira, taniec klasyczny, programowanie, balet, szachy, a może nauka śpiewu? Już myślisz, w jakich zajęciach dodatkowych powinno wziąć udział twoje dziecko? Przecież jako rodzic chcesz mu zapewnić wszystko, czego tobie brakowało, otworzyć przed nim wszystkie drzwi, zapewnić perfekcyjny start w wyścig szczurów. A może zanim zapiszesz pociechę na wszystkie te niesamowite zajęcia, z ofertą których pod szkołą już będą 2 września wystawać przedstawiciele różnych klubów i prywatnych placówek, zapytaj dziecko, co je interesuje i co chciałoby robić? Nie realizuj marzeń własnych, tylko te dziecięce. I nie szalej!

Dziecko nie musi gnać z kursu na kurs, zasypiając w samochodzie czy autobusie. Czasem po prostu potrze-

buje odpocząć, posiedzieć w domu, spotkać się ze znajomymi czy poczytać książkę. Nie myśl, że w ten sposób na pewno zmarnuje życie i szanse, daj mu pożyć! Np. moja najmłodsza po ogrodzie najchętniej przemieszcza się, robiąc gwizdy, podobnie zresztą wchodzi do basenu. Raczej więc nie pójdziesz na zajęcia z szydełkowania, tylko na gimnastykę artystyczną.

2. KOREPETYCJE – W POSZUKIWANIU ZŁOTEGO ŚRODKA

Nie radziłeś sobie, rodzicu, w szkole z matematyką, fizyką lub polskim? Nie myśl już teraz, że twoje dziecko na pewno będzie potrzebowało korepetycji z przedmiotów, w których ty byłeś nogą i nie rezerwuj dodatkowych lekcji ze wszystkich możliwych zajęć. Może akurat twój syn czy córka będą wybitni

z tego, z czym ty miałeś pod górkę. Daj się przekonać dziecku. Ale gdy pociecha przyzna, że potrzebuje korepetycji z jakiegoś przedmiotu, nie odmawiaj, twierdząc, że to koniec świata, a dziecko zapewne wyrośnie na głąba. Po prostu pomóż w znalezieniu odpowiedniego korepetytora, jeśli jest taka potrzeba.

3. NIE WYRĘCAJ

Kto choć raz tego nie słyszał w późnych godzinach wieczornych, niech pierwszy rzuci kamieniem: „Mamo, potrzebuję na jutro 20 kasztanów”; „Mamo, muszę na jutro na biologię przynieść żywą dżdżownicę”; „Mamo, miałam na jutro zrobić zielnik, ale zapomniałem”; „Mamo, miałam na jutro wyhodować rzeżuchę”. Wszyscy to znamy. Jednak jeśli pobiegiesz w nocy do parku po





kasztany lub zaczniesz kopać w ziemi w poszukiwaniu rosówki, to nie nauczysz dziecka odpowiedzialności. To ono dostało takie zadanie, i to z pewnością nie dzień wcześniej. To ono powinno o nim pamiętać. Ty już skończyłeś szkołę, teraz pozwól na to dziecku.

Nie odrabiaj też za nie zadań domowych (choć tych od kwietnia właściwie już nie ma). Jeśli mama czy tata zrobią i załatwią wszystko, dziecko nigdy nie zrozumie, że to jego praca.

4. PRACA DOMOWA

Ale skoro jesteśmy przy pracach domowych, to przypomnijmy, że od kwietnia 2024 r. w klasach I–III szkoły podstawowej nauczyciele nie mogą zadawać prac domowych do wykonania przez ucznia w czasie wolnym od zajęć dydaktycznych. Wyjątek stanowią prace

dotyczące usprawniania motoryki małej, czyli ćwiczeń polegających na rozwijaniu umiejętności ruchowych dłoni. W klasach IV–VIII szkoły podstawowej uczniowie nie mają już obowiązku wykonywania prac domowych zadawanych w czasie wolnym od zajęć. Wykonanie lub niewykonanie pracy domowej nie jest oceniane. Tyle rozporządzenie.

A rodzice? Nic się nie stanie, jeśli zachęcisz dziecko do powtórzenia materiału. Przecież czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał.

5. NIE PRZEKUPUJ

Odradzam rodzicom przekupywanie dzieci. Np. „Jak dostaniesz szóstkę ze sprawdzianu, kupię ci klocki lub wymarzoną lalkę”. To stopień powinien być nagrodą za pracę, a młody człowiek powinien mieć przekonanie, że zdobyta

wiedza to jego kapitał, który kiedyś zaprocentuje. Ale jeśli jakiś wyjątkowo trudny sprawdzian pójdzie młodemu człowiekowi dobrze, to czemu nie powiedzieć: „Świetnie ci poszło, możemy pójdziemy na lody to uczcić”? A jak nie pójdzi świetnie, to powiedz: „Następnym razem będzie lepiej, i tak jestem z ciebie dumny. Pamiętaj też, że dla niektórych ocena dostateczna jest dużym osiągnięciem!

6. NIE KRYTYKUJ I NIE PODCINAJ SKRZYDEŁ

„Zostaw to, i tak zrobisz to źle”; „Nie bierz się za to, nic z tego nie wyjdzie”; „Nie uda ci się”; „Ale brzydki rysunek”; „Przyłóż się” – to tylko niektóre zdania najczęściej powtarzane przez podcinających skrzydła rodziców. Warto uczyć dziecko odwagi i pewności siebie. Niech wierzy w swoje możliwości. Ale żeby tak

się stało, muszą w nie wierzyć rodzice. Jak syn czy córka usłyszą: „Dasz radę, wierzę w ciebie”, to też uwierzą i poradzą sobie w życiu. Nie krytykuj, doceniaj i chwal.

7. NIE ŻAŁUJ CZASU

I tak dochodzimy do punktu najtrudniejszego dla zapracowanych rodziców: miej czas dla dziecka. Po to, żeby go wysłuchać, pogadać, wspólnie się pośmiać. Czy często pytacie: „Co dziś cię rozbawiło lub zmartwiło?”

Pewnie część czytelników zna tę pouczającą historyjkę, ale nie mogę się oprzeć, by jej nie przytoczyć. „– Tato, czy mogę zadać ci pytanie? – Tak, oczywiście, a o co chodzi? – Tato... ile zarabiasz na godzinę? – To nie jest twoja sprawa, a w ogóle dlaczego pytasz o takie rzeczy. – Ja tylko chciałem wiedzieć, ile zarabiasz na godzinę, nie gniewaj się. – Jeśli musisz to wiedzieć, zarabiam 250 zł na godzinę. – Ochhh... – Syn spuścił wzrok i ze smutkiem zapytał: – Tato, czy mógłbym od ciebie pożyczyć 50 zł? Ojciec się zdenerwował. – Synu, jeśli tylko dlatego pytasz, że chcesz pożyczyć pieniądze, aby kupić głupią zabawkę lub inne bzdury, to w tej chwili maszeruj prosto do swojego pokoju i wskakuj do łóżka. Pomyśl o tym, dlaczego jesteś taki samolubny. Czy ja ciężko pracuję każdego dnia dla takiego dziecinnego i egoistycznego zachowania jak twoje?!” Chłopiec cicho odszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi. Mężczyzna usiadł i zaczął się jeszcze bardziej nakręcać, myśląc o pytaniach małego chłopca. „Jak on śmie pytać, żeby tylko wyciągnąć pieniądze?”. Minęła godzina, emocje opadły i mężczyzna zaczął się zastanawiać: „Może mały rzeczywiście potrzebował tych 50 zł na coś niezwykle ważnego, przecież do tej pory nie za często prosił o pieniądze”. Wstał, ruszył spokojnym krokiem w stronę pokoju synka i otworzył drzwi. „Synu, śpisz?” – zapytał. – Nie, tato, nie śpię. – Pomyślałem, że trochę za ostro zareagowałem na twoje wcześniejsze pytania. Wiesz, że ciężko pracuję, a to był szczególnie męczący i długi dzień. Wyjął banknot.

– Oto 50 zł, o które prosileś. Chłopiec usiadł i uśmiechnął się. – Och, dziękuję, tatusiu! Następnie, sięgając pod poduszkę swoją małą rączką, wyciągnął kilka zgniecionych banknotów i pokazał je ojcu. Mężczyzna zobaczył, że syn miał już pieniądze i złość zaczęła powracać. Chłopiec powoli liczył swoje pieniądze, a potem spojrzał na ojca z wyrazem radości na twarzy. – Dlaczego chcesz mieć więcej pieniędzy, jeśli już jakieś masz? – zapytał ojciec. – Ponieważ nie miałem dość, ale teraz już mam – odpowiedział

Zanim zapiszesz pociechę na zajęcia dodatkowe, z ofertą których pod szkołą już 2 września będą wystawiać przedstawiciele różnych klubów i prywatnych placówek, zapytaj dziecko, co je interesuje i co chciałoby robić. Nie realizuj marzeń własnych, tylko te dziecięce

ucieszony chłopiec. – Tatusiu, zbierałem już 250 zł. Czy mogę teraz kupić godzinę twojego czasu? Proszę, wróć jutro wcześniej do domu, żebym mógł z tobą zjeść wspólnie kolację”.

8. NIE AWANTURUJ SIĘ NA ZEBRANIACH

Na każdym zebraniu szkolnym pojawi się rodzic, który potrafi wszystkich doprowadzić do szału. „A czy pani od chemii nie jest zbyt wymagająca?”; „A czy pani od angielskiego nie jest zbyt mało wymagająca, przecież niczego się nie nauczą”; „A moja Kasia została niesprawiedliwie oceniona na polskim”; „A dlaczego ta wycieczka jest na Zamek Królewski, Zosia woli kino”.

Znacie tych maruderów? Przez nich zebrania potrafią się ciągnąć w nie-

skończoność. Nie bądź jednym z nich. Przecież każdy spieszy się do domu. To nie ty, a twoje dziecko ma sobie poradzić z panią od chemii, biologii czy polskiego. Czy gdy przyszedł szef twojej pociechy będzie zbyt wymagający, pójdziesz do biura, w którym pracuje twoje dziecko, by go zbesztać lub napiszesz ostrego maila na librusie (szkolny dziennik elektroniczny), że zbyt wysoko lub zbyt nisko stawia poprzeczkę?

9. UWIERZ CZASEM

Dopóki nie dostaniesz dowodu, że dziecko kłamie, staraj się mu wierzyć, co wcale nie znaczy, że musisz je widzieć przez różowe okulary lub idealizować. Dzieciom zdarza się kłamać, by uniknąć konsekwencji swoich działań. Bywa jednak i tak, że złośliwy kolega czy koleżanka chętnie zwali winę na twojego syna czy córkę.

Zdarzyło mi się, i to więcej niż raz, że moje dziecko zostało o coś posądzone, a zaklinało się na wszystko, że tego nie zrobiło. Dwukrotnie więc wystąpiłam z prośbą o zapis monitoringu ze szkolnego korytarza, by dowiedzieć się, jak było, i dwukrotnie okazywało się, że to moje dziecko mówi prawdę, a winowajcą jest to drugie. Nie znaczy to, że zawsze powiem: „Mój aniołek nigdy by tego zrobił”, ale warto mieć dowód, nim przesądzi się o winie.

10. NIE STRASZ I NIE KRZYCZ

Nie strasz dziecka, np. takimi słowami: „Jak będziesz tak bazgrolić, to przyleci Baba Jaga i cię zabierze”. Po pierwsze, ta Baba Jaga może stać się potem sennym koszmarem małego człowieka, a po drugie, jak dziecko podrośnie i okaże się, że żadnej Baby Jagi nie ma, to straci do ciebie zaufanie i nie uwierzy ci w znacznie poważniejszych sprawach.

No i nie wrzeszcz. Jeśli zamiast rozmawiać, będziesz krzyczeć, nigdy nie usłyszysz niczego ważnego, bo dziecko nie będzie chciało z tobą gadać. Ono też jest człowiekiem i zdarzają mu się gorsze dni czy wpadki.

Zagadka wysadzenia Nord Stream

Ukraina, Rosja, a może Stany Zjednoczone?

Kto naprawdę stoi za zniszczeniem obu nitek bałtyckiego Gazociągu Północnego?

Rosjanie są pewni, że to Amerykanie wysadzili gazociąg Nord Stream. Władimir Putin, rozmawiając w ub.r. z Tuckerem Carlsonem, na tak postawione pytanie odpowiedział krótko: „Wy to zrobiliście”. Ale w amerykańskich mediach właśnie pojawiła się inna wersja.

ANDROMEDA I 300 TYS. DOLARÓW

Bojan Pancevski z „The Wall Street Journal”, długoletni korespondent tego dziennika w Berlinie, powołując się na wyniki śledztwa niemieckiej prokuratury, a także własne dochodzenie dziennikarskie, napisał przed kilkunastoma dniami, że za dywersją stoją Ukraińcy. Decyzja o operacji miała zapaść w maju 2022 r. w wąskim kręgu wyższych dowódców Ukraińskich Sił Zbrojnych. Aby przeprowadzić atak, zawiązano coś



MAREK BUDZISZ

na kształt partnerstwa publiczno-prywatnego, skłaniając nieujawnionych z nazwiska biznesmenów do zgromadzenia 300 tys. dol. niezbędnych, aby przeprowadzić zamach. Za te pieniądze wynajęto jacht turystyczny Andromeda i grupę sześciu nurków, którym cztery miesiące później udało się wysadzić obydwie nitki Nord Stream.

Pancevski napisał, że całą operację organizował i autoryzował gen. Załużny, ówczesny dowódca ukraińskich sił zbrojnych, obecnie objęty immunitetem dyplomatycznym ambasador

w Londynie. Zgodę na jej przeprowadzenie miał też „ustnie” udzielić prezydent Zelenski, ale później, po tym, jak dowiedziały się o tych planach służby specjalne państw zachodnich, najpierw holenderski wywiad wojskowy, a potem CIA, wycofał swoje przyzwolenie. Jednak miało być już ponoć na to zbyt późno, z wysłaną ekipą nie było kontaktu albo Załużny po prostu zignorował polecenie swego przełożonego.

Już latem ub.r. Pancevski pisał na łamach „The Wall Street Journal”, że wiosną 2022 r. CIA otrzymała informację od Holendrów, że Ukraińcy utworzyli grupę dywersyjną i w jednym z państw mających dostęp do Bałtyku starają się wynająć jacht, by przeprowadzić akcję sabotażową. Amerykańskie służby miały o planowanym działaniu uprzedzić siedem państw sojuszników, choć, jak napisał dziennikarz, przekazane raporty różniły się szczegółowością.

Berlin dostał najprawdopodobniej najobszerniejsze informacje od Amerykanów, którzy w świetle relacji medialnych zaczęli też wywierać presję na Kijów, aby ten wstrzymał rozpoczęte działania. „The Wall Street Journal” przypomniał też słowa Williama Burnsa, szefa CIA, który po wysadzeniu gazociągów pytany o to, czy to Ukraina stoi za tą akcją, miał odpowiedzieć dwuznacznie: „Mam nadzieję, że nie”.

UKRAIŃSKIE DEMENTI

Ekspert ukraiński, delikatnie rzecz ujmując, wyśmiali tego rodzaju tezy. Wiktor Jagun, generał rezerwy, wieloletni funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, mówi, że każdy, „kto ma elementarną wiedzę” na temat funkcjonowania sił specjalnych w jego kraju, wie, iż żadnej operacji specjalnych tajnych służb nie nadzoruje Żaluzny. Co więcej, realia są takie, że służby, w tym wywiad, od lat rywalizują z siłami zbrojnymi o pozycję, wpływy i środki, co oznacza, iż ewentualna rozmowa na ten temat zostałaby wykorzystana przeciw temu, kto zgłosiłby tego rodzaju propozycję. Jagun zauważył też, że jacht Andromeda nie nadaje się do tego rodzaju akcji. Choćby z tego powodu, że nurkowanie na głębokości kilkudziesięciu metrów wymaga długiej dekompresji w specjalnej, ważącej 550 kg kabinie, która „nie zmieściłaby się” na tej niewielkiej jednostce, a nawet gdyby w jakiś sposób została tam upchnięta, to jak można by było ukryć ten fakt, zwłaszcza że jacht zawiązał przed akcją do kilku bałtyckich portów?

Tę wersję potwierdza notabene eksperyment niemieckich mediów, bo dziennikarze wynajęli podobnej wielkości jacht i z grupą nurków chcieli sprawdzić, czy da się przeprowadzić tego rodzaju akcję. Z ich eksperymentu wyszło, że jest to niemożliwe, a co najmniej obarczone olbrzymim ryzykiem niepowodzenia, a wręcz śmierci uczestników.

Inne ukraińskie ośrodki, w tym Centrum Komunikacji Strategicznej i Bezpieczeństwa Informacyjnego Spravdi, zwracają uwagę, że jedynie Rosja dys-

ponowała na Bałtyku technicznymi zdolnościami do przeprowadzenia tak skomplikowanej operacji i przypominają, że śledztwa duńskie i szwedzkie koncentrowały się wokół tezy o sprawstwie Kremla, tym bardziej że przed wybuchem obserwowano dużą aktywność rosyjskich statków badawczych i rybackich w rejonie eksplozji. W przeddzień publikacji artykułu „The Wall Street Journal” premier Szwecji Kristersson powiedział w rozmowie z tygodnikiem „Time”, że Sztokholm, który zamknął własne dochodzenie w sprawie eksplozji, „nie ma zamiaru” wznowiać prac.

Nie kwestionując faktu, że Andromeda, wynajęty jacht, miał ukraińską załogę, niektórzy komentatorzy na Ukrainie dowodzą, że właśnie na tym

Moment, kiedy nastąpiło wysadzenie gazociągu, może mieć decydujące znaczenie dla zrozumienia tego, komu tego rodzaju operacja była na rękę

mogła polegać operacja Rosjan. Skupili uwagę śledczych na udziale nurków mających obywatelstwo ukraińskie, ale wybuch spowodował kto inny, może nawet detonując ładunki zainstalowane w czasie budowy gazociągu.

NIEMIECKIE OSKARŻENIA

W tym samym czasie, gdy opublikowano artykuł przypisujący Ukrainie zorganizowanie operacji sabotażowej, niemiecka prasa ujawniła, że prokurator generalny wystawił nakaz aresztowania ukraińskiego instruktora nurkowania mieszkającego w Pruszkowie pod Warszawą. Szwedzki dziennik „Expressen” ujawnił, że chodzi o Wołodymyra Zurawłowa, który miał być oskarżony o „antykonstytucyjny sabotaż i spowodowanie eksplozji”. Niemieccy śledczy mieli zrekonstruować całą trasę żeglugi jachtu Andromeda, zidentyfikować sa-

mochód, którym przewożono sprzęt, a nawet odnaleźć zdjęcie z fotoradaru na wyspie Rugia, na podstawie którego możliwe było oskarżenie Zhurawłowa, który był pasażerem tego samochodu. Prokuraturze pomogło też to, że spiesząc się, rzekomi dywersanci niedokładnie wyczyścili pokład jachtu, co umożliwiło znalezienie zarówno śladów biologicznych, jak i po materiałach wybuchowych.

Pisząc o wysadzeniu Nord Stream i ustaleniach śledztwa, niemieckie media oprócz opisu jego wyników koncentrują się jeszcze na dwóch wątkach. Po pierwsze, rozważają, czy rząd Scholza został uprzedzony przez sojuszników i dlaczego nie reagował. Po drugie, jakie są przyczyny odmowy współpracy ze strony Warszawy, która najpierw blokowała przekazanie nagrań z portu w Kołobrzegu – a tam również cumował jacht Andromeda – a potem tak opieszale zareagowała na nakaz oskarżenia, że objęty nim Zurawłow mógł spokojnie wyjechać?

W czasie niedawnej wizyty Scholza w Warszawie, który przyjechał do naszej stolicy z gronem ministrów, sprawa współpracy w tej kwestii miała być ponoć kilkakrotnie podnoszona przez niemiecką stronę, ale spotkała się z lodowatą reakcją ze strony premiera Tuska. To, że Berlin nie ma co na współpracę w tej kwestii liczyć, potwierdził wpis szefa polskiego rządu, który reagując na pojawiające się oskarżenia Warszawy o bezczynność, napisał, że ci, którzy wspierali i uzasadniali budowę obydwa gazociągów, „powinni przeprosić i siedzieć cicho”.

Niemieccy eksperci, którzy rozmawiali z dziennikiem „Welt am Sonntag”, formułowali opinię, iż z faktu, że w skład zidentyfikowanej grupy dywersyjnej wchodziło obywateli Ukrainy, nie wynika, iż mieliśmy do czynienia z operacją autoryzowaną i zleconą przez najwyższe władze tego kraju. Ukraińscy eksperci zwracają też uwagę na fakt, że najgłośniejszy na temat udziału Kijowa mówią skompromitowani oficerowie Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, zaangażowani za czasów Janukowycza w walkę z protestującymi na Majdanie.

„Politico” napisało, że teza o „operacji pod fałszywą flagą” jest też najpopularniejsza w polskich służbach specjalnych i dlatego Warszawa opieszale zareagowała na niemiecki nakaz aresztowania Zurawlowa, nie wierząc w jego udział.

Najdalej w oskarżeniach poszedł chyba August Hanning, były szef niemieckiego wywiadu, który w rozmowie z „Die Welt” mówił o współodpowiedzialności Polski za operację przeciw Nord Stream i porozumieniu na szczytach władzy między prezydentami Dudą i Zełenskim. Problemem jest jednak to, że Hanning, mianowany na swoją funkcję przez kanclerza Schrödera, dziś płatnego lobbysty Putina i zwolennika zakończenia wojny na rosyjskich warunkach, jest postacią całkowicie niewiarygodną, choćby w związku z dziwnymi powiązaniami z rosyjskimi oligarchami.

Inni europejscy politycy bagatelizują kwestię tego, kto wysadził gazociąg. Petr Pavel, prezydent Czech, w wywiadzie dla portalu Novinky powiedział, że „nawet jeśli” Ukraińcy stoją za sabotażem, to i tak atak na rosyjskie instalacje był uzasadniony w czasie wojny, a rząd Holandii, państwa, które też było zaangażowane w budowę gazociągów, w specjalnym oświadczeniu sformułował pogląd, że medialne oskarżenia „nie wpłyną na pomoc dla Ukrainy”.

Cała sprawa ma też wymiar wewnętrzniemiecki. We wrześniu odbędą się wybory do trzech wschodnich landtagów – w Saksonii, Turyngii i Brandenburgii. We wszystkich największe poparcie mają partie opowiadające się za wstrzymaniem pomocy dla Ukrainy i porozumieniem się z Rosją. W górę idą notowania nowej formacji utworzonej przez Sahrę Wagenknecht, byłą polityk lewicowej Die Linke. W Niemczech uważa się, że bez jej akceptacji nie będzie możliwe utworzenie stabilnych rządów w żadnym z trzech wschodni-niemieckich landów. Wagenknecht już wezwała do powołania w Bundestagu specjalnej komisji, która miałaby wyjaśnić beczynność Scholza po tym, jak dostał on informacje od Amerykanów.

W tle jest znacznie poważniejsza sprawa. SPD niedawno zaakceptowała porozumienie w sprawie dyslokacji amerykańskich rakiet średniego za-

sięgu (2,5 tys. km) do Niemiec. Wagenknecht, podobnie jak AfD, jest wielką przeciwniczką amerykańskich rakiet. Gdyby w najbliższych wyborach SPD nie dostała się do wschodni-niemieckich landtagów, to pozycja Scholza, zwłaszcza na rok przed wyborami ogólnokrajowymi, mogłaby zostać zakwestionowana, co otwierałoby dyskusję zarówno na temat kontynuowania wsparcia dla Ukrainy, jak i być może celowości stacjonowania amerykańskich rakiet.

W CZYM INTERESIE?

Jest też cały kontekst sytuacyjny, o którym warto przypomnieć, bo pamięć bywa zawodna, a dziś nie wystarcza powtarzanie tez zbudowanych wokół retorycznego pytania, jaki interes miałoby Rosjanie, wysadzając własny gazociąg. Przypomnijmy zatem, co się działo jesienią 2022 r.

Na początku września siły ukraińskie znalazły luki w rosyjskiej obronie w okolicach Iziumu i niespodziewanym uderzeniem odepchnęły Rosjan. Zdobyto Kupiańsk, przekroczono rzekę Oskoł, a Ukraińcy forsownym marszem przesuwali się na wschód, pokonując nawet 90 km od miejsca, w którym przełamali siły rosyjskie. Niektórzy analitycy byli wówczas zdania, że zagrożona jest cała flanka Rosjan i jeśli uderzenie będzie się rozwijać w dotychczasowym tempie, siły ukraińskie mogą zagrozić nawet Ługańskowi, stolicy jednego z separatystycznych regionów.

Jednak ok. 20 września tempo ukraińskiego uderzenia uległo osłabieniu. Pierwotnie uważano, że powodem była chęć podciągnięcia zapasów i konsolidacji zdobyczy terytorialnych. Dziś wiadomo też – odpowiedzialny wówczas za to uderzenie gen. Syrski obecnie dowodzący ukraińskimi siłami zbrojnymi mówił o tym w wywiadzie po rozpoczęciu operacji kurskiej – że alianci, obawiający się eskalacji ze strony Rosji, a nawet uderzenia nuklearnego, zaczęli wywierać silną presję na Zełenskiego, aby ten wykazał się powściągliwością i zatrzymał ofensywę. Zdaniem wojskowych specjalistów, jeśli Ukraina miała w toku tej wojny szanse na pokonanie Moskali, rozcięcie ich sił na dwie części

i dojście nawet do Morza Azowskiego, to właśnie jesienią 2022 r., kiedy Rosjanie byli słabi, nie mieli ducha walki, a mobilizację ogłoszono zbyt późno, aby przyniosła szybkie efekty.

Warto przypomnieć jeszcze to, o czym w swej książce napisał Jarosław Trofimow, dziennikarz „The Wall Street Journal”. Otóż powołując się na wiele niezależnych relacji z otoczenia Joe Bidena, ujawnił on, że właśnie we wrześniu 2022 r. w związku z ukraińską ofensywą istniało największe zagrożenie rosyjskim atakiem jądrowym. Kreml nie tylko groził użyciem taktycznej broni nuklearnej, lecz także ówczesny minister obrony Szojgu najwyraźniej w panice wydzwaniał do szefa Pentagonu, informując, że Rosja może nie mieć innego wyjścia, jeśli ukraińska ofensywa nie zostanie powstrzymana.

W takiej sytuacji pokazanie przez Moskwę determinacji, a nawet tego, że Kreml może zdecydować się na irracjonalne kroki, wzmacnia siłę argumentacji tych, którzy grożą jądrową eskalacją. Wysadzenie gazociągów Nord Stream trudno uznać za zwykłą, oderwaną od kontekstu strategicznego operację dywersyjną. Wydaje się nawet, że moment, kiedy nastąpiły wybuchy, może mieć decydujące znaczenie dla zrozumienia tego, komu tego rodzaju operacja była na rękę, choć oczywiście nie unieważnia przeciwnych tez.

Niemieckie lewicowe media zwracają też uwagę choćby na to, że po wybuchu wzrosło uzależnienie Berlina od dostaw amerykańskiego gazu skroplonego, co Waszyngton wykorzystał, wzmacniając swoją presję na Niemcy. Gabinet Scholza potrzebował czasu, aby zacząć na serio pomagać Ukrainie. W świetle tej interpretacji uzależnienie Niemiec od dostaw z Ameryki mogło być czynnikiem przyspieszającym rewizję niemieckiej polityki, a brak perspektywy wznowienia dostaw z Rosji bodźcem, którego nie można było zignorować.

Czy możemy zatem napisać, że jesteśmy pewni, iż za wysadzeniem Nord Stream 1 i 2 stoi Ukraina, Rosja, a może Stany Zjednoczone, jak w pierwszym odruchu sugerował nasz obecny minister spraw zagranicznych? Wiemy na ten temat więcej, ale cała historia daleka jest od rozwikłania.

Radykalny wybór Ameryki

W listopadzie Amerykanie będą wybierać między skrajnie odmiennymi wizjami Stanów Zjednoczonych – lewicową, nawet lewacką Kamali Harris a konserwatywną Donalda Trumpa, zrywającą ze zdobyczami kulturowego postępu i politpoprawności



DARIUSZ MATUSZAK

Ameryka jest po wyborczych półfinałach – prawyborach (w przypadku demokratów okazały się one oszustwem, a przynajmniej farsą) i po narodowych konwencjach obu partii, na których wybrały one nominatów do Białego Domu. W wielkim finale 5 listopada zmierzą się skrajnie różni kandydaci – były prezydent i obecna wiceprezydent. Nigdy w historii amerykańskich wyborów pretendenci nie różnili się tak bardzo, co pokazuje nawet ich fizyczność i pochodzenie. Era pojedynków białych panów w średnim bądź poważnym wieku minęła.

Harris i Trump wyrosli na dwóch krańcach Ameryki – ona w Kalifornii i w Kanadzie, on w Nowym Jorku – oraz w zupełnie odmiennych środowiskach. Trump w rodzinie przedsiębiorcy budowlanego, Harris w świecie akademickim. Łączy ich to, że pochodzą z zamożnych rodzin i należą do warstwy, którą lewica z nienawiścią nazywa „uprzywilejowaną”.

Tak jak różni są oni sami, tak też całkowicie odmiennie są ich propozycje dla Ameryki. Jeszcze nigdy prezydenckie programy wyborcze nie różniły się tak bardzo jak w finale 2024 r. Ona proponuje Ameryce skrajne pobudzenie ideologiczne – woke i marksistowskie pomysły na gospodarkę, on powrót do korzeni, konserwatyzm i wolną przedsiębiorczość, co niektórzy uznają za wolną amerykanke.



PUSZKA PANDORY Z ROBAKAMI

Tak naprawdę trudno porównać programy kandydatów, bo ten Kamali Harris właściwie pozostaje nieznany. Czy z tego powodu, że jest tak niedorzeczny, iż lepiej go nie ujawniać? Co do tego, by utrzymać go w tajemnicy, ile się da, zgadzają się wszystkie główne, a pracujące na rzecz demokratów media. Czasami efekty są groteskowe. I tak na konwencji demokratów, na której Harris dostała nominację, przedstawiano dokumenty programowe przygotowane, kiedy jeszcze Biden miał być kandydatem. O jego II kadencji wspomniano w nich 20 razy, za to ani razu o samej Harris. Dosadniej wyjaśnił to dyrektor polityczny CNN David Chalian, który stwierdził, że „majstrowanie przy starej platformie programowej [dla Bidena] i zmienianie

jej dla Harris byłoby jak otwarcie puszek z robakami”. Używając polskiego idiomu napisalibyśmy, że oznaczałoby to otwarcie puszek Pandory.

Powodów trzymania wszystkiego w tajemnicy jest kilka. Wszyscy wiedzą, że prezydentura Bidena była katastrofalna, choć po jego wizytach i pomocy dla Ukrainy Polacy patrzą na nią inaczej. Po czterech latach jego rządów 40 proc. Amerykanów ma problem z płaceniem rachunków, ceny żywności wzrosły o 20 proc., a paliw i energii pozostają na poziomie niebotycznym, choć niższym niż w Unii. To efekt zaprowadzania zielonego nieładu i blokowania inwestycji w wydobywanie oraz przesył paliw, a także tradycyjną energetykę.

Administracja Bidena nie potrafiła albo nie chciała chronić granicy z Meksykiem, więc szacuje się, że w ciągu 4 lat do USA przedostało się ponad 10 mln nielegal-

nych imigrantów. System społeczny wielu hrabstw, w których się znaleźli, choćby Chicago, jest na skraju katastrofy. Dług federalny sięgnął niewyobrażalnej kwoty 35,2 bln dol., czyli 104 tys. na każdego Amerykanina czy 270 tys. na podatnika. Na papierze gospodarka ma się dobrze – korporacje i bogaci się bogacą, ale klasa średnia znika, a w tej pracującej, wśród niebieskich kolnierzyków i w małym bi-

Baraka Husseina Obamy Partia Demokratyczna bardzo przesunęła się na lewo i wyhodowała sobie lewackie oraz antysemitowskie skrzydło agresywnych fanatyków.

Od 1948 r. jednym z fundamentów polityki zagranicznej Ameryki było niewzruszone poparcie dla Izraela. Tymczasem lewackie i antysemitowskie frakcje demokratów domagają się zaprzestania pomocy Jerozolimie i wspierają Hamas. W czasie



znesie, jest owe 40 proc., które ma problemy z obsługą rachunków.

Nie dość, że do wyborów Harris idzie z bardzo ciężkim bagażem Bidena, to sama była jeszcze najgorzej ocenianym wiceprezydentem w historii USA. Senator Elizabeth Warren, towarzysząca partyjna – ta, która udawała Indiankę, by punkty dostawać preferencyjne, bez ironii oznajmiła, że największym osiągnięciem Harris było to, że jako pierwszy wiceprezydent odwiedziła klinikę aborcyjną, czyli zakład zabijania nienarodzonych. Kandydatce trudno wypierać się swojej przeszłości. Lepiej ją skrywać, podobnie jak program, bo w nim nie może powielać pomysłów Bidena ani stać w jawnej donich opozycji. Musi tak manewrować, by mogła powiedzieć – „to nie ja, to Biden” i jednocześnie nie zrazić do siebie centrum demokratów. Harris jest pomiędzy młotem a sierpem, bo od czasów prezydentury

konwencji przez Chicago przewalały się tysięczne demonstracje antyizraelskie.

„Poza ogrodzeniem, które demokraci wzniesli wokół terenu swojej konwencji, dziesiątki tysięcy protestujących maszeruje ulicami Chicago, rozdzierając Harris na strzępy i porównując do morderczej, ludobójczej maniaczki, ponieważ jest częścią rządu Bidena, który wysłał broń do Izraela” – opisywał obrazowo portal Breitbart.

Harris obawia się, że straci poparcie lewaków i antysemitów, a do tej pory demokraci mogli liczyć na ich głosy. Wiceprezydent od dawna usiłuje odciąć się od proizraelskiej polityki, czego wyrazem była m.in. odmowa poprowadzenia sesji połączonych izb Kongresu, kiedy premier Netanjahu przemawiał przed senatorami i deputowanymi. W tej grze nie chodzi o poglądy Harris, bo niewiele wskazuje na to, by je miała, tylko o groźbę utraty elektoratu.

MINISTERSTWO CEN

Ale są i kolejne powody skrywania programu. Pierwszy wiąże się z paradoksem. Otóż Harris ukrywa coś, co właściwie nie istnieje, zaś w najlepszym razie jest zlepkiem nieprzemyślanych obietnic, wiecowych haseł. Kolejny powód to coś, co możemy nazwać efektem Kidawy-Błońskiej. Jak już Harris się odezwie, to klękajcie narody – jednym zbiera się na śmiech, drugim na płacz. Teraz ujawnimy to, co zostało pokazane z jej programu. Jako prezydent zamierza ona kontrolować ceny żywności. Skoro w ciągu czterech lat rządów Bidena rodzinny obiad czy kolacja na Święto Dziękczynienia podrożały o 20 proc., to Harris zatroszczy o się to, by było co włożyć do garnka i ustali: indyk po tyle, mleko i bułki po tyle, a sery nadające się tylko do uszczelniania okien po tyle. Wiceprezydent będzie współpracować z Kongresem, aby wprowadzić „federalny zakaz zawyżania cen żywności i artykułów spożywczych”. Pomysł marksistowski i być może akurat w tej sprawie błysnęła własną inwencją, bo jej ojciec, potomek właścicieli plantacji i niewolników na Jamajce, był profesorem ekonomii i marksistą. Media podały, że powstanie Ministerstwo Cen i tyle było śmiechu oraz wylanych łez nad pomysłem Harris, że pewnie już nigdy o nim nie wspomni.

Skoro nie może sprawić, by było co włożyć do garnka, to może chociaż zapewni dach nad głową. Ogłosiła więc, że wybuduje 3 mln mieszkań, a każdej rodzinie dopłaci 25 tys. dol. na pierwszy dom. Oczywiście nie ze swoich pieniędzy tylko tych, którzy domy kupili za własne, czyli podatników. To jedna z miar upadku Ameryki. Jeszcze dwie dekady temu własny dom był w zasięgu każdej pracującej rodziny. To był standard od lat 50. Socjaliści zachwycą się mieszkaniem za cudze pieniądze, a wszystko skończy się jak zwykle wielkim nic i gigantycznym marnotrawstwem.

Ale to nie koniec. W ramach programu Krajowej Infrastruktury Pojazdów Elektrycznych (NEVI) obiecano budowę 500 tys. stacji do ładowania elektryków. Wydano (rozdano) na to 7,5 mld dol. i po 2,5 roku zbudowano ich – uwaga – 8.

Nie wiadomo, z czego miałyby być finansowane budowa mieszkań i dopłaty do domu. Może z kolejnego długu. Trochę da się zaoszczędzić, likwidując ICE – straż

celną i graniczną, co proponuje Harris. Po co takie coś, skoro nielegalne przekroczenie granicy przestałoby być łamaniem prawa, a imigranci otrzymają prawa wyborcze? Z wdzięczności miliony przybyszów zgłoszą na demokratów i o to w tym chodzi. Taki import elektoratu. Do tego pakiet świadczeń socjalnych w postaci zasiłków czy ulg podatkowych, głównie dla rodzin z dziećmi. To właściwie cały program Harris i sami państwo potwierdza, że lepiej, by nic o nim nie mówiła.

Trzeba przyznać, że to się jej udaje – konsekwentnie nie udziela wywiadów i wykręca się od debaty z Trumpem. Być może Harris dorzuci coś w czasie wystąpienia w piątek w nocy naszego czasu na konwencji w Chicago, ale ze względów technicznych nie uwzględniamy tego w tym tekście.

WIERĆ, KOCHANIE, WIERĆ

Tymczasem Trump przygotował program kontrrewolucji społecznej i kulturowej, a nawet ustrojowej. Wizja znalazła się w dokumencie Agenda 47 (liczba od kolejnej prezydentury), a być może też w 2025 Presidential Transition Project Fundacji Heritage, w którym na 900 stronach jest opisany plan przebudowy USA. Powiązania Trumpa z fundacją są znane. O tym projekcie będzie głośno, kiedy wygra wybory. Póki co nieco się od niego odcina, bo też trudno dziś w Ameryce startować po prezydenturę np. z pomysłem zniesienia małżeństw jednopłciowych.

Propozycje Trumpa są odwrotnością pomysłów Harris. Ona chce wpuszczać imigrantów, on masowych deportacji i likwidacji pomocy społecznej dla nich. Ona chce ograniczenia uprawnień i finansowania policji (słynne hasło czarnoskórych rasistów i lewaków – defund police), on wykorzystywania Gwardii Narodowej do zaprowadzania porządków w miastach o wielkiej przestępczości. Spójrzmy od tej strony: w Chicago więcej osób zginęło w strzelaninach niż w tym samym czasie na wojnie w Afganistanie.

Harris z Bidenem blokowała inwestycje w surowce paliwowe, Trump zapowiada „koniec wojny z amerykańską energią” i ponowne odzyskanie przez Amerykę energetycznej niezależności. Za jego pre-

zydentury USA po raz pierwszy od dekad były eksporterem energii i paliw (netto). Trump nie tylko nie wyda 7,5 mld dol. na 8 stacji ładowania, lecz także zniesie dopłaty do elektryków i ich uprzywilejowanie. Dodatkowo wypowie porozumienia klimatyczne. Wszystko można określić hasłem republikanów z 2008 „drill, baby, drill” („wierć, kochanie, wierć”), które często przywoływał na wiecach, obiecując ponowne rozpoczęcie inwestycji w wydobywanie gazu i ropy oraz odejście od szaleństw Zielonego Ładu.

Propozycje Trumpa są odwrotnością pomysłów Harris. Ona chce wpuszczać imigrantów, on masowych deportacji i likwidacji pomocy społecznej dla nich. Ona chce ograniczenia uprawnień i finansowania policji, on wykorzystywania Gwardii Narodowej do zaprowadzania porządków w miastach o wielkiej przestępczości

CHRZEŚCJAŃSKI NACJONALIZM

W sferze obyczajowej i kulturowej Trump zapowiada walkę z ideologią LGBT+ czy jakoś tak. Szkoły promujące genderową ideologię, zmiany płci itp. stracą fundusze federalne. W instytucjach federalnych, a w szczególności w wojsku, zostaną zakończone programy „afirmacji płciowej” ideologii LGBT+ i indoktrynacji klimatycznej. Nauczyciele bez zgody rodziców nie będą zwracać się do dziewczynek jak do chłopców, mężczyźni podający się za kobiety rywalizować z nimi w zawodach sportowych. Rodzice będą wybierać dyrektorów szkół i bez ich wiedzy zewnętrzne organizacje nie będą miały do nich wstępu. Specjalna komisja przy agencji żywności i leków (US Food

and Drug Administration) zbada, czy podawanie chemii i hormonów osobom „zmieniającym” płeć zwiększa ryzyko depresji, agresji i przemocy oraz czy powszechnie stosowane leki psychiatryczne i legalne narkotyki powodują problemy psychotyczne. Amerykę zżera plaga uzależnienia nie tylko od narkotyków, lecz także psychotropów.

Darujemy sobie analizę pełnych bufonady zapewnień o zaprowadzeniu pokoju na Ukrainie, ale jak Trump dojdzie do władzy, to bójcie się narody, w tym europejskie. Nałóż symetryczne cła na towary importowane – czyli jeśli Unia cli samochody amerykańskie, to Ameryka cli niemieckie itd. Tak z każdym towarem z każdego obszaru. Dodatkową niespodzianką dla Europy jest to, że Trump zażąda od niej zwrotu kosztów pomocy dla Ukrainy.

Nie mają się też z czego cieszyć Chińczycy. Trump zapowiada ograniczenie importu od nich i wprowadzi zakaz zawierania przez instytucje federalne kontraktów z firmami, które zlecają produkcję w Państwie Środka.

Obiecuje radykalne zwiększenie budżetu wojskowego i budowę tarczy przeciwrakietowej na kształt izraelskiej Żelaznej Kopuły. W siłach zbrojnych nie tylko znikną programy genderowe, lecz także nastąpi radykalny powrót do tradycji. Tradycyjnie Trump zapowiada obniżki podatków, choć nie tak śmiało jak Fundacja Heritage, która chce zniesienia podatku dochodowego. To ledwie kilka punktów z Agendy 47, a jej rozwinięcie, w tym przewidujące zmiany ustrojowe, jest rozpisane na 900 stronach Projektu Tranzycji Prezydenckiej 2025.

* * *

W listopadzie Amerykanie wybiorą jedną z dwóch skrajnie różniących się Ameryk. Ta od Harris ma być postępową, radykalnego pobudzenia ideologicznego wszystkich tych teorii afirmacji rasowych i płciowych, wszelakiej równości, wielkiego socjału i otwartych granic. Ta od Trumpa ma się cofnąć w kontrrewolucji społecznej i obyczajowej do czasów sprzed 1968 r. oraz wrócić do wartości w gospodarce i polityce, które według prawicy i konserwatystów zbudowały Amerykę. Lewica nazywa ten program chrześcijańskim nacjonalizmem i myśli, że takim określeniem wystraszy Amerykanów. 

Dzielnica Venice na zachodzie Los Angeles słynie z malowniczych kanałów, szerokiej nadmorskiej promenady i równie szerokiej plaży. Koszty życia są tu o 114 proc. wyższe niż w innych rejonach stolicy Kalifornii. W samym sercu Venice stoi dom przypominający modernistyczne czarne pudło. To tutaj 46-letni Bryan Johnson, przedsiębiorca z branży technologicznej, pracuje nad tym, by zatrzymać czas. Ostatnie kilka lat swojego życia Johnson spędził na dążeniu do jednego celu: posiadaniu ciała 18-latką i odwróceniu procesu starzenia.

Biznesmen wydaje ponad 2 mln dol. rocznie na program o nazwie Blueprint, który sam opracował. Codziennie łyka 111 tabletek, ćwiczy 67 min pod okiem zespołu 30 lekarzy, stosuje dietę wegańską, kładzie się spać o godz. 20.30 i śpi podpięty do maszyn, które monitorują m.in. jego fale mózgowe oraz nocne erekcje. Przez sześć miesięcy robił sobie także zastrzyki z osoczem krwi pobranym od jego 18-letniego syna Amage'a i innego nastoletniego dawcy, by odmłodzić swoje komórki. Własne osocze dawał zaś 77-letniemu ojcu.

Miloner, który zarobił fortunę na sprzedaży firmy Braintree przetwarzającej płatności dla platformy eBay (za 800 mln dol.), wierzy, że śmierć jest „opcjonalna”. On sam, jak podkreślił w jednym z wywiadów, nie zamierza umierać. Według niego da się to osiągnąć, żyjąc w warunkach laboratoryjnych i zmieniając definicję tego, „co znaczy być człowiekiem”. Jak twierdzi, program „Blueprint” dał mu kości 30-latką i serce 37-latką. Johnson jest przystojny, bogaty i ma niemal wszystko. Teraz chce sobie kupić także wieczność. Tu, na ziemi, w Venice.

OSOCZE DLA MŁODOŚCI

Johnson nie jest jedynym bogaczem z Doliny Krzemowej w średnim wieku, który próbuje zatrzymać czas.

Właściciel Amazon Jeff Bezos, do 2021 r. najbogatszy człowiek świata, oraz Peter Thiel, założyciel PayPal,

Monterrey są tajne, ale wiadomo, że firma oferuje transfuzje ludzkiego osocza (zwaną parabiosis): 1,5 l jednocześnie, pompowanego przez dwa dni i pobieranego wyłącznie od młodych dorosłych. Altos Labs, inny start-up biotechnologiczny specjalizujący się w badaniach nad długowiecznością komórek, ma wśród swoich inwestorów m.in. rosyjskiego miliardera Jurija Milnera, byłego prezesa firmy internetowej Mail.ru oraz założyciela firmy inwestycyjnej DST Global, który od chwili rosyjskiej inwazji na Ukrainę żyje w Izraelu.

Gigant technologiczny Alphabet (spółka matka Google), którego budżet przeznaczony na badania i rozwój przekracza PKB wielu krajów, również rozpoczął szalony wyścig ze śmiercią za pośrednictwem własnej firmy biotechnologicznej Calico (California Life Company). Według „MIT Technology Review” prezes OpenAI Sam Altman zainwestował 180 mln dol. w Retro Biosciences, firmę, której misją jest „dodanie 10 lat do długości życia zdrowego człowieka”. Jak twierdzi magazyn „Time”, Altman podobnie jak Johnson je zdrowo, ćwiczy i się wysypia. Bierze także metforminę, lek zmniejszający stężenie glukozy we krwi, który zda-

niem wielu badaczy zapobiega także powstaniu innych chorób związanych z wiekiem.

Życ wiecznie

Amerykańskie przysłowie mówi, że w życiu pewne są tylko śmierć i podatki, ale miliarderzy z Doliny Krzemowej zamierzają zadbać o to, aby nikt nie mógł wyrwać im pieniędzy z ich zimnych, martwych rąk. Recepta na wieczne życie wydaje się pozornie prosta – wystarczy wyeliminować czynniki powodujące śmierć



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

byli pierwszymi inwestorami w Unity Biotechnology, firmę założoną 13 lat temu w Kalifornii zajmującą się odwróceniem procesu starzenia komórkowego.

Nazwiska inwestorów start-upu Ambrosia Plasma w kalifornijskim

100 LAT I WIĘCEJ

Retro Biosciences zatrudnia 50 osób, które pracują w małych zespołach m.in. nad autofagią – usuwaniem uszkodzonych komórek, a także odmładzaniem plazmy krwi oraz procesem znanym jako częściowe przeprogramowanie komórek, podczas którego starsze komórki można poddać obróbce w celu przekształcenia w młodsze. „To niesamowity dar dla ludzkości. Warto nad

tym pracować. Ludzie nie chcą umierać” – powiedział Altman w rozmowie z agencją Bloomberg. Jego zdaniem śmierci nie da się wprawdzie zapobiec, ale życie można znacząco wydłużyć.

Uważa tak również Peter Thiel, który oprócz badań nad starzeniem komórkowym zainwestował w Alcor Life Extension Foundation z siedzibą w Arizonie, która zajmuje się krio-prezerwacją ciał lub mózgów osób, u których stwierdzono zgon z nadzieją na ich ożywienie, gdy nauka osiągnie poziom umożliwiający wyliczenie przyczyny śmierci pacjenta oraz naprawę szkód wywołanych przez zamrożenie.

Założyciel Oracle Larry Ellison także wydał fortunę na badanie „tajemniczego zjawiska śmierci”. 80-letni dziś miliarder powiedział kiedyś swojemu biografowi: „Śmierć nigdy nie miała dla mnie żadnego sensu. Jak ktoś może tu być, a potem po prostu zniknąć?” W 1997 r. założył Ellison Medical Foundation, która „wspiera podstawowe badania biomedyczne nad starzeniem się istotne dla zrozumienia procesów rozwoju długości życia oraz chorób związanych z wiekiem”.

Mark Zuckerberg, prezes spółki Meta, także ma obsesję na punkcie pokonania śmierci. W rozmowie ze zmarłym w 2018 r. fizykiem Stephenem Hawkingiem przyznał, że chciałby znaleźć klucz do wiecznego życia, algorytm nieśmiertelności. W 2016 r., po tym, jak on i jego żona Chan przeznaczyli miliony na leczenie chorób zakaźnych w ramach inicjatywy filantropijnej, powiedział: „Zanim dostrzemy do końca tego stulecia, dożycie 100 lat będzie całkiem normalne”.

NIEŚMIERTELNICY

Nir Barzilai, genetyk, autor książki „Stażyć się później” („Age Later”) i dyrektor instytutu badań nad starzeniem się w Albert Einstein College of Medicine w Nowym Jorku, nazywa miliarderów big tech „nieśmiertelnikami”: ludźmi, którzy wierzą, że śmierć jest jedną z opcji, a nie koniecznością. Czymś, czego da się uniknąć, jeśli tylko ludzkość zdobędzie odpowiednie narzędzia. Niektó-

rzy wierzą w to, że ludzkie życie da się wydłużyć do 5 tys. lat, inni, jak Peter Thiel, że można uzyskać nieśmiertelność. „Dlatego nie ma dziś problemu dla badaczy, by znaleźć fundusze na takie eksperymenty, jak wielkie, globalne wyzwanie Narodowej Akademii Medycznej, podczas którego chirurgicznie połączono młodą mysz ze starą, tworząc jeden krwioobieg. Stara mysz stopniowo stawiała się z powrotem młoda” – mówił Barzilai w rozmowie z „New York Post”.

Według niego w nie tak dalekiej przyszłości zastrzyki z genami odwracającymi proces starzenia będą podawane wszystkim ludziom po 30. roku życia. „Siwe włosy znikną. Rany będą się szybciej goić. Zmarszczki zostaną zniwelo-

Prezes OpenAI Sam Altman zainwestował 180 mln dol. w Retro Biosciences, firmę, której misją jest „dodanie 10 lat do długości życia zdrowego człowieka”

wane. Jak Benjamin Button, będziemy młodnieć” – dodał.

Inni uważają bogaczy z Doliny Krzemowej za transhumanistów – ludzi, którzy wierzą, że technologiczne i biologiczne ulepszenia znacznie wydłużą życie, pozwolą migrować na inne planety i łączyć nasze mózgi bezpośrednio z komputerami, aby nasza indywidualna świadomość mogła żyć wiecznie.

Recepta na długowieczność wydaje się pozornie prosta – wystarczy wyeliminować czynniki wywołujące śmierć. Tymczasem spadek kosztów badań genetycznych otwiera niedostępne do tej pory obszary medycyny. To, jak duże są inwestycje w tę dziedzinę, pokazuje raport Bank of America. Wynika z niego, że wartość rynku „odraczania śmierci” w 2025 r. wyniesie aż 600 mld dol. Część start-upów zajmuje

się wyeliminowaniem biologicznych markerów procesów starzenia. Kolejne wczesnym zapobieganiem chorobom genetycznym, znów inne żywnością przyszłości (future food), z której mają zostać wyeliminowane czynniki ryzyka wielu chorób. Niektórzy badacze, jak prof. George Church z Uniwersytetu Harvarda i założyciel firmy Rejuvenate Bio, stosują terapie genowe wydłużające życie u myszy. Church twierdzi, że udało mu się osiągnąć podobne wyniki u psów. Jego zdaniem nie daje to gwarancji wiecznego życia, ale dożycia (znaczej) starości bez chorób.

NIE DLA WSZYSTKICH?

Amerykańscy miliarderzy zamierzają zadbać o to, aby „nikt nie mógł wyrwać im pieniędzy z ich zimnych, martwych rąk” – złośliwie napisał portal Mother Jones. Kupić można bowiem dosłownie wszystko – tylko tej rzeczy nie, o czym przekonał się założyciel Apple Steve Jobs, który w 2011 r. zmarł na raka trzustki.

Krytycy zarzucają miliarderom big tech egoizm, inwestowanie w rozwiązania, które będą dostępne wyłącznie dla bogatych. „Powstaną nowe nierówności społeczne. Jednych będzie stać na ponadprzeciętnie długie życie bez chorób, innych nie” – zaznaczyła w rozmowie z francuskim dziennikiem „Le Figaro” Cécilia Calheiros, socjolog z uniwersytetu w Rouen. Według niej śmierć wynika nie tylko z naturalnego procesu starzenia się czy chorób, lecz także wypadków, głodu, uzależnień czy wojen. „Ale na rozwiązaniu tych problemów jakoś im nie zależy” – dodała. Miliarder Bill Gates nazwał wysiłki swoich kolegów z Doliny Krzemowej „egocentrycznymi”. „Mamy epidemie malarii i gruźlicy na świecie, ludzie umierają, bo nie mają dostępu do czystej wody” – podkreślił. Tymczasem w Dolinie Krzemowej toczą się „igrzyska odmładzające”, w których wygrywa się, „nigdy nie docierając do mety”.

Zresztą nie tylko giganci big tech są zainteresowani długowiecznością. W start-up Tally Health genetyka z Harvardu Davida Sinclaira zainwestowały gwiazdy muzyki oraz Hollywood: John Legend, Pedro Pascal i Zac Efron. Nie-



k którzy naukowcy uważają zresztą, że większość tego, w co kalifornijscy bogacze wkładają swoje pieniądze, jest niewiele warte. „Nie da się odwrócić procesu starzenia się. Badania, które są prowadzone w tych start-upach, mówią nam coś o tym, jak się starzejemy, co samo w sobie jest ciekawe. Ale to, że coś działa u myszy, nie oznacza, że będzie również działało u ludzi” – uważa Stuart Jay Olshansky, epidemiolog z uniwersytetu w Illinois. Według niego przemysł anti-age to „druga najstarsza profesja na świecie”. „Już 2000 lat temu sprzedawano eliksiry młodości. Teraz źródło młodości jest napędzane przez ludzi, którzy już mają bardzo dużo pieniędzy i chcą na tym zarobić jeszcze więcej pieniędzy” – dodał.

Według futurysty Grahama Ravena Thiel, Altman i cała reszta powinni skupić się na problemach, które można

łatwo rozwiązać, jak dostęp do edukacji, opieki zdrowotnej, infrastruktury czy sanitariatów. „Lepsza opieka paliatywna pomogłaby milionom ludzi. A co z osamotnieniem, izolacją, rozpaczą umierających ludzi? Kiedy ten problem rozwiążemy?” – pyta na łamach portalu „Wired” chirurg i autor książki „Bycie śmiertelnym” („Being mortal”) Atul Gawande.

EPILOG

Poprawić jakość życia oraz śmierci zamiast dążenia do niemożliwej nieśmiertelności. Nie wszyscy są jednak tak krytyczni. Steve Horvath, genetyk z Uniwersytetu Kalifornijskiego, który niedawno dołączył do zespołu Altos Labs, w niewielkim badaniu klinicznym znalazł dowody na to, że hormon wzrostu przyjmowany z dwoma

lekami przeciwcukrzycowymi może zregenerować grasicę i odwrócić wiek biologiczny. Według niego badania finansowane przez miliarderów z Doliny Krzemowej mogą się okazać przydatne w znalezieniu sposobów na zapobieganie powstawaniu nowotworów i innych chorób, jak parkinson czy alzheimer. „Jeśli coś działa na demencję – ogromny problem zdrowia publicznego, możesz to następnie zastosować w przypadku chorób układu krążenia, udarów czy chorób zwyrodnieniowych stawów. Nic nie idzie tu na marne” – przekonywał w rozmowie z magazynem „Time”.

Według naukowców transfuzje osocza od młodych dawców na razie mają tylko jeden mierzalny efekt u osób, które je przyjmują: lepiej śpią. Głęboko i spokojnie. Niczym wampiry w swoich trumnach.

Kto w Watykanie chroni Rupnika?

Sztuka byłego jezuita, wobec którego Kościół prowadzi śledztwo w sprawie oskarżeń o wykorzystywanie seksualne zakonnic, wciąż jest popularna w Watykanie



GORAN ANDRIJANOVIĆ

Tegoroczne święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny naznaczyło ciekawe wydarzenie w Watykanie.

Oficjalna strona internetowa Stolicy Apostolskiej postanowiła zilustrować swój główny tekst na temat święta zdjęciem mozaiki autorstwa Marka Rupnika, byłego jezuita, wobec którego Watykan prowadzi śledztwo w sprawie oskarżeń o wykorzystywanie seksualne zakonnic.

APEL POKRZYWDZONYCH

Słoweńiec Rupnik, do niedawna niezwykle wpływową osobą w kręgach Stolicy Apostolskiej, który swoimi mozaikami wypełniał zbudowane w ostatnim dziesięcioleciu kościoły na całym świecie (w samym Rzymie są 43 kaplice, w których Rupnik pozostawił swoją sztukę), znalazł się w centrum seksualnego skandalu w drugiej połowie 2022 r.

Mimo że śledztwo przeciwko niemu trwa, a oskarżenia są bardzo poważne i według niektórych informacji dotyczą wykorzystywania seksualnego kilka sióstr zakonnych oraz jednego mężczyzny, Rupnik nadal występuje publicznie i promuje swoją sztukę.

Oficjalna strona internetowa Watykanu przyłączyła się do promocji księdza,

przeciwko któremu postawiono poważne oskarżenia. I to nie pierwszy raz, co nadaje wszystkiemu dodatkowego znaczenia.

W ciągu ostatnich miesięcy portal często publikował zdjęcia mozaik Rupnika, a także umieszczał je na swoich portalach społecznościowych. Stało się tak mimo że kilka kobiet i zakonnic, które twierdzą, że były obiektem manipulacji oraz wykorzystywania seksualnego Rupnika, wysłało publiczny apel o usunięcie dzieł Słoweńca z przestrzeni publicznej. Jak napisały, publiczna wystawa tej sztuki jest dla nich bolesnym przypomnieniem wszystkiego, co je spotkało.

Ich opinii nie podziela Paolo Ruffini, prefekt watykańskiej Dykasterii ds. Komunikacji, która jest odpowiedzialna za treści publikowane w oficjalnych watykańskich mediach. Na czerwcowej konferencji medialnej w USA włoski dziennikarz został zapytany przez kolegów, czy ma zamiar posłuchać apelu osób twierdzących, że zostały pokrzywdzone przez Rupnika i przestać medialnie wykorzystywać jego sztukę.

„Nie byłaby to chrześcijańska reakcja na tę sytuację. Nie sądzę, że musimy rzucać kamieniami, myśląc, że jest to sposób na uzdrowienie kogoś. Wiara chrześcijańska mówi co innego. Jezus mówił inne rzeczy” – oświadczył wtedy Ruffini.

Na te słowa zareagował amerykański kardynał Sean O'Malley, przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Młodzieży. Franciszkanin z Bostonu, jedna z głównych postaci Kościoła katolickiego w walce przeciwko przestępstwom seksualnym w Kościele, napisał list, w którym odwołał się do „pastoralnej roztropności” w sprawie Rupnika



Mark Rupnik

i wysłał go do Stolicy Apostolskiej oraz stosownych instytucji.

„Papież Franciszek wzywał nas do wrażliwości i solidarności z osobami skrzywdzonymi przez wszelkie formy nadużyć. Proszę, abyście o tym pamiętali, wybierając zdjęcia, które będą towarzyszyć publikacji wiadomości, artykułów i refleksji za pośrednictwem różnych dostępnych nam kanałów komunikacji” – napisał kardynał w liście, dodając, że trzeba domniemywać niewinność oskarżonego, czyli Rupnika, ale także być świadomym potrzeby solidarności z jego możliwymi ofiarami.

OBRAZ W MIESZKANIU PAPIEŻA

Mimo jego apelu watykańskie media nie zrezygnowały z ilustrowania swoich tekstów mozaikami Rupnika.

Co ciekawe, Ruffini nie jest osamotniony w swojej obronie sztuki Słoweńca w Watykanie, co wyjaśnia ignorowanie apelu amerykańskiego kardynała. Jak twierdzą niektóre media, sam papież Franciszek nadal ma obraz Rupnika, wprowadzającego się z tego samego zakonu co Ojciec Święty, w swoim mieszkaniu w Santa Maria, co potwierdza opublikowany niedawno film z rozmowy z nim, nakręcony przez argentyńską stację telewizyjną Canal de la Ciudad właśnie w tym mieszkaniu.

Sposób, w jaki Kościół rozwiązał problem oskarżeń wobec Rupnika, od początku był naznaczony wątpliwościami.

W wyniku śledztwa prowadzonego przez zakon jezuitów Słoweńcowi na początku 2020 r. udzielono kary automatycznej ekskomuniki po tym, jak ustalono, że dopuścił się przestępstwa



Mozajki zaprojektowane przez Rupnika w łagiewnickim sanktuarium

Fot. Dyo/Shutterstock.com

zagrożonego *latae sententiae* (rozgrzeszył zakonnicę z grzechu seksualnego, który z nią popełnił). Stało się to w 2015 r., kiedy Rupnik przebywał w Rzymie jako dyrektor jezuickiego Centrum Naukowego im. Ezia Aletti.

Słoweńiec został ekskomunikowany w styczniu 2020 r., ale karę zdjęto w maju tego roku, kiedy żałował za swój grzech, bo tak przewiduje prawo kanoniczne. Później ogłoszono, że w marcu 2020 r., będąc jeszcze ekskomunikowanym, prowadził rekolekcje wielkopostne w Watykanie, na których uczestniczył także papież (nie jest jasne, czy Franciszek był świadomy, że Rupnik jest ukarany).

Wszystko wyszło na jaw dopiero w grudniu 2022 r. po wycieku informacji do mediów. Następnie jezuici ogłosili, że oskarżenia o molestowanie seksualne przez Rupnika dotyczą w większości lat 80. XX w., kiedy jezuita przewodził Wspólnocie Loyola w ówczesnej komunistycznej Słowenii. Stwierdzono ponadto, że sprawy te uległy przedawnieniu.

Kilka włoskich mediów opublikowało zeznania molestowanych sióstr, które opowiadały o tym, jak Rupnik nimi manipulował, wykorzystując swój duchowy autorytet, aby nakłonić je do seksu. Następnie jezuici zaprosili do ujawnienia się wszystkie osoby wykorzystywane seksualnie przez Rupnika, po czym w lutym 2023 r. zakon wszczął kolejne dochodzenie przeciwko niemu.

Jezuici nakazali Rupnikowi nieopuszczanie Rzymu, na co ten odmówił posłuszeństwa, pozostając na różne

sposoby aktywny społecznie. Jego nieposłuszeństwo doprowadziło do wydalenia go z zakonu w czerwcu 2023 r., po czym Rupnik schronił się w rodzinnej Słowenii, gdzie został przyjęty przez biskupa Kopru jako prezbiter.

W październiku tego samego roku papież Franciszek oznajmił, że „poprosił Dykasterię Nauki Wiary o ponowne rozpatrzenie sprawy Rupnika i podjął decyzję o zniesieniu przedawnienia, aby umożliwić przeprowadzenie procesu”.

W ten sposób dotarliśmy do miejsca, w którym jesteśmy teraz.

POD OCHRONĄ

Obecnie toczą się dwa śledztwa przeciwko Rupnikowi, ale nadal jest on aktywny jako ksiądz i artysta. W samym Rzymie jest najwyraźniej kilku wpływowych pralatów przekonanych o jego niewinności (najczęściej wymienia się emerytowanego biskupa pomocniczego Rzymu Angelo De Donatisa), a w jego obronie stanęło także wielu jego współpracowników.

To wcale nie jest zaskakujące. Słoweńiec od dziesięcioleci ma ogromne wpływy w Watykanie. Jego reputacja ugruntowała się jeszcze w czasach św. Jana Pawła II, gdy głównym mentorem artysty był kard. Tomáš Špidlik, czeski jezuita bliski duchowo Wojtyła i cieszący się opinią najlepszego znawcy prawosławnej myśli teologicznej.

W 1995 r. Słoweńiec został mianowany kierownikiem działu artystycznego

Centrum Aletti, którego zadaniem było wzmacnianie duchowych więzi między Kościołem zachodnim i wschodnim. To nie dziwi, bo w jego mozaikach widoczne są teologiczne i estetyczne wpływy Wschodu. W pewnym momencie dzieła Rupnika stały się bardzo popularne w Kościele i każdy nowy, ambitniejszy projekt (zwłaszcza w Europie Środkowej) stawał się bez nich nie do pomyślenia.

W Polsce jego prace można zobaczyć w sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie. W mojej rodzinnej Chorwacji mozaiki Rupnika są na ścianach kościołów w Zagrzebiu i Splicie. Wciąż trwały prace w kościołach na wyspie Hvar, a także uchorwackich franciszkanów w Mostarze w Bośni i Hercegowinie, choć oskarżenia przeciwko Rupnikowi stały się publiczne.

Co się stanie z jego pracami, które według niektórych szacunków znajdują się w ponad 200 kościołach na całym świecie? Zdecydują o tym wyniki toczącego się śledztwa. Jednak w niektórych świątyniach (w Lourdes i Waszyngtonie) już usuwa się lub zakrywa jego dzieła. W Watykanie są obecne do dziś.

Czy byłoby tak samo, gdyby Rupnik został oskarżony o pedofilię, a nie o przestępstwa na tle seksualnym wobec zakonnic? Trudno na to odpowiedzieć.

Może ci, którzy bronią Rupnika w Watykanie, robią dobrze, nie poddając się atmosferze polowania na czarownice? A może robią to po prostu dlatego, że podlegają kościelnym strukturom władzy, które bronią byłego jezuity?

Czas pokaże.

Premier Węgier uważa, że dziś dokonuje się największa zmiana światowego porządku od 500 lat i dlatego jego kraj musi się odpowiednio spozycjonować w nowej globalnej rzeczywistości

Geopolityczna wizja Viktora Orbána

W maju 2009 r. odwiedziłem Viktora Orbána w jego domu w Budapeszcie, by przeprowadzić z nim długi wywiad. Lider Fideszu był wówczas w opozycji, ale szykował się do przejęcia władzy, co nastąpiło rok później. Podczas naszej rozmowy dużo miejsca poświęciliśmy geopolityce.

GLOBALNA HEGEMONIA ZACHODU

Węgierski polityk mocno dystansował się od idei strategicznego partnerstwa między Rosją a Unią Europejską. Mówił: „Europa ma jednego strategicznego partnera i są nim Stany Zjednoczone”. Dodawał: „Uważam za niebezpieczne pomysły pojawiające się w Europie Zachodniej, aby porozumiewać się



GRZEGORZ GÓRNY

z Rosją w konfrontacji wobec USA, a także te, które chcą budować europejską tożsamość w opozycji do Stanów Zjednoczonych”.

Zamiast tego Orbán postulował dalsze zacieśnianie współpracy między państwami naszego kontynentu. Przekonywał: „Trzeba więc koniecznie umacniać współdziałanie krajów Europy i kontynuować rozszerzanie Unii. Trzeba znaleźć sposób na przyjęcie do niej krajów bałkańskich, Ukrainy i zawiązać jakieś

historyczne porozumienie z Rosją. Jeśli to się nie dokona, wtedy wpływy polityczne, ekonomiczne i kulturowe Europy zmaleją w globalnej skali”.

Pytany o relacje z Moskwą, Orbán odpowiadał: „Jeśli chodzi o Rosjan, to warto prowadzić z nimi taką politykę, która jest precyzyjnie podzielona i dokładnie określona. Trzeba jasno stwierdzić, w czym się zgadzamy, w czym Rosja jest naszym sprzymierzeńcem, w czym nasze interesy się pokrywają, oraz to, w czym nie dochodzimy do porozumienia, bo nasze interesy są przeciwstawne. Jeśli tego jasno nie określimy, nasza współpraca z Rosją będzie pozbawiona mocnych podstaw. Nam w Europie Środkowej zależy na tym, by jasno zdefiniować, iż porozumienie świata zachodniego z Rosją jest możliwe tylko pod warunkiem, że kraje naszego regionu, a więc także Pol-

ska i Węgry, zachowają swoją polityczną niezależność i potrzebną do tego strategiczną samodzielność ekonomiczną. Nie pozwolimy, aby Rosja zdobywała w naszym regionie pozycje, które zagrażają tej niezależności. To musi być integralną częścią tego porozumienia. Jeśli tego nie będzie, to Europa Środkowa stanie się ceną owego układu. Staniemy się ofiarami porozumienia Zachodu z Rosją”.

Lider Fideszu krytykował Ferenc Gyurcsány, ówczesnego premiera Węgier, postkomunistę, za to, iż „prowadzi politykę prorosyjską i chce się dogadać z Rosją wbrew USA”, a także nie przeciwdziała temu, by „w regionie śródki-europejskim na nowo umacniały się rosyjskie wpływy”. Takiemu stanowisku Orbán przeciwstawiał zdecydowane wzmocnienie wspólnoty transatlantyckiej. Jego zdaniem w interesie całej Europy leżą silne Stany Zjednoczone, ponieważ jeśli upadnie globalna dominacja USA, wówczas dokona się upadek całej cywilizacji wyrosłej na gruncie chrześcijaństwa. „Dlatego – jak mówił – uważam za pozbawioną podstaw racjonalistycznych europejskich intelektualistów, którzy cieszą się osłabianiem USA. Osłabienie USA osłabia i nas”.

Z jego słów wynikało, że tylko Ameryka posiada jeszcze wewnętrzny potencjał, by odwrócić negatywne trendy kulturowe, społeczne i duchowe, które rozkładają cywilizację zachodnią od środka. Nie dostrzegał już w Europie Zachodniej takiej siły. Nie wykluczał jednak, że nawet Amerykanom może się nie udać to zadanie. Dlatego przewidywał, że być może „nadchodzi czas, w którym przeminie rola cywilizacji chrześcijańskiej i europejskiej oraz symbolizującej ją dominującą rolę USA. A wtedy staniemy przed całkowicie innym układem globalnym, w którym znaczenia nabiorą układy regionalne w Azji, Amerykach i Europie”.

Wydaje się, że ów czas, o którym mówił Orbán 15 lat temu, właśnie nadszedł. A przynajmniej tak to postrzega obecny premier Węgier, o czym świadczy jego niedawna mowa w Băile Tușnad.

ZMIANA SYSTEMU ŚWIATOWEGO

Co roku w Băile Tușnad w Siedmiogrodzie na terenie Rumunii Węgrzy

organizują imponujący obóz studencki połączony z letnim uniwersytetem. Stałym gościem wydarzenia od lat jest Viktor Orbán, który zawsze wygłasza tam w nieco luźnej atmosferze, w obliczu licznie zgromadzonej młodzieży, ważne przemówienia programowe. Nie inaczej było tego lata, gdy poświęcił swe wystąpienie trzem kwestiom: toczącej się obecnie wojnie rosyjsko-ukraińskiej, nowemu porządkowi, który wyłoni się na świecie po zakończeniu tego konfliktu oraz odpowiedzi na pytanie, jak Węgry powinny się przygotować na pojawienie się owego ładu międzynarodowego, którego kontury rysują się już na horyzoncie.

Wspomniana przebudowa globalnego układu odniesień nie jest bynajmniej wynikiem starcia na Ukrainie, jednak wojna przyspieszyła ten proces. Zdaniem Orbána jesteśmy świadkami zmian, jakich nie widziano na świecie od 500 lat, gdy cywilizacja zachodnia stała się dominującą siłą na naszym globie. W kolejnych wiekach zmieniali się kolejno jej liderzy (Hiszpanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy, Amerykanie), jednak wszystkie te przetarasowania odbywały się w obrębie Zachodu. Obecnie, jak zauważa węgierski premier, następuje detronizacja kolektywnego hegemonu. Cywilizacyjne, gospodarcze i naukowe centrum świata przesuwa się na Wschód.

Jak mówił Orbán w Băile Tușnad: „Myślę, że jest to proces nieunikniony, ponieważ Azja ma przewagę demograficzną, ma przewagę technologiczną w coraz większej liczbie obszarów, ma przewagę kapitałową, ma siłę militarną, która jest porównywalna z Zachodem, będzie miała, a może już ma, najwięcej pieniędzy, będzie miała największe fundusze finansowe, będzie miała największe firmy na świecie, będzie miała najlepsze uniwersytety, najlepsze instytucje badawcze na świecie, największe giełdy, będzie miała lub już ma najbardziej zaawansowane badania kosmiczne i najbardziej zaawansowaną medycynę”.

Za pomyślnością Azji, a zwłaszcza krajów, takich jak Chiny, Japonia, Korea Południowa, Tajwan czy Singapur, przemawia wiele czynników: wysokie kompetencje kognitywne tamtejszych społeczeństw, duża wydajność pracy,

liczba patentów w dziedzinie nowych technologii itp. Regionalnymi mocarstwami są posiadające broń atomową Indie i Pakistan. Rośnie geopolityczna waga państw, takich jak Turcja czy Iran. Na wschód przesuwa się także Rosja, która odkrywa swą eurazjatycką tożsamość.

SOFT POWER JAK BUMERANG

Zdaniem Orbána mamy więc do czynienia ze „zmianą światowego systemu”. Według niego jest to proces „niepowstrzymany i nieodwracalny”, który zaczął się w 2001 r., gdy Zachód zdecydował się zaprosić Chiny do Światowej Organizacji Handlu (WTO). To zjawisko ma jednak charakter nie tylko ekonomiczny. Jednym z głównych jego przejawów jest też, jak mówi premier Węgier, „intelektualna samotność Zachodu”. To, co było do tej pory esencją tzw. soft power, czyli przyciągająca siła kulturowa, zamieniło się w bumerang. Wartości zachodnie nie tylko przestały być atrakcyjne dla reszty świata, lecz także stały się odpychające.

Chińczycy, Hindusi, Turcy czy Afrykanie chcą się modernizować, ale bez przyjmowania ideologii, którą uważają za wrogą i destrukcyjną. Dotyczy to zwłaszcza postulatów środowisk LGBT+. Im Zachód mocniej próbuje narzucać ten program innym krajom, forsując swoistą kolonizację ideologiczną, tym bardziej wypycha je w objęcia Moskwy i Pekinu. W ten sposób paradoksalnie, jak zauważa Orbán, zachodnia soft power zamienia się w rosyjską soft power. To także jeden z powodów, dla którego tak wiele państw Globalnego Południa w obliczu wojny na Ukrainie nie przyjęło argumentacji Zachodu i odrzuciło pomysł politycznego izolowania Moskwy. Dziś większość świata muzułmańskiego postrzega Rosję nie jako wroga, lecz jako partnera.

ALTERNATYWA DLA EUROPY

Według premiera Węgier zwycięstwo Trumpa będzie prawdopodobnie ostatnią szansą, by utrzymać globalną supremację USA. Dokona się to jednak na nowych warunkach. By przezwyciężyć kryzys Ameryka zajmie się przede wszystkim swoimi sprawami

wewnętrzny: rozwojem zaniedbanej infrastruktury, badaniami nad innowacyjnością czy osiągnięciem energetycznej samowystarczalności. Nie porzuci swych interesów na świecie, ale będzie żądać od partnerów większego zaangażowania, np. płacenia rachunków za własne bezpieczeństwo. To oznacza, że przed Europą stoi wybór: albo zamieni się ona w skansen, czyli jeden z cudów świata, ale pozbawiony jakiegokolwiek dynamiki rozwojowej, albo weźmie udział w wyścigu, by zmienić system światowy, tak jak robi to Ameryka, ale zgodnie ze swoją własną logiką.

Lider Fideszu opowiada się za tym drugim rozwiązaniem, powołując się na Emmanuela Macrona, który wciąż powtarza o „autonomii strategicznej” Europy. Jak mówi Orbán: „Potrzebujemy europejskiego sojuszu wojskowego z silnym europejskim przemysłem obronnym, badaniami i innowacjami, musimy stworzyć europejską samowystarczalność energetyczną, która nie będzie działać bez energii jądrowej, i potrzebujemy nowego porozumienia z Rosją po wojnie. A to oznacza, że Unia Europejska jako projekt polityczny musi się poddać, jako projekt gospodarczy musi się wzmocnić, a jako projekt obronny musi się ugruntować”.

Podobna alternatywa czeka nasz kontynent, nawet jeśli Trump przegra, a USA nadal będą tracić swą globalną pozycję. Orbán stawia sprawę następująco: „Mamy dwie opcje dla tego nowego porządku świata. Czy jest on zagrożeniem dla Węgier, czy szansą dla naszego kraju? Jeśli jest zagrożeniem, to musimy prowadzić politykę obrony *status quo*, musimy płynąć razem ze Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską oraz musimy identyfikować nasze interesy narodowe z jedną lub obydwoma gałęziami Zachodu. Jeśli postrzegamy to nie jako zagrożenie, ale jako szansę, to musimy wytyczyć własną ścieżkę rozwoju, musimy się zmienić i być aktywni, innymi słowy, warto dalej prowadzić politykę narodową. Jestem zwolennikiem tego drugiego podejścia, należą do tej drugiej szkoły”.

WĘGIERSKA OSTPOLITIK

Przyjęcie takiej perspektywy oznacza, że Węgry będą musiały inaczej pozycjonować się w nowym układzie, w którym hegemonem będzie Azja, a zwłaszcza Chiny. Zawsze lepiej jest być po stronie zwycięzców niż przegranych, choć oczywiście nie da się zmienić swojego miejsca na mapie. Dlatego istotą nowej polityki będzie jednoczesne funkcjonowanie w obu systemach. Jak mówi Orbán: „Nie pozwolimy się zamknąć w żadnej z dwóch wyłaniających się półglobalnych gospo-

Chińczycy, Hindusi, Turcy czy Afrykanie chcą się modernizować, ale bez przyjmowania ideologii, którą uważają za wroga i destrukcyjną. Dotyczy to zwłaszcza postulatów środowisk LGBT+. Im Zachód mocniej próbuje narzucać ten program innym krajom, forsując swoistą kolonizację ideologiczną, tym bardziej wpycha je w objęcia Moskwy i Pekinu

darek. Nie ma wyłącznie zachodniej i wschodniej gospodarki światowej; musimy być w obu połówkach: zachodniej i wschodniej. Ma to swoje konsekwencje. Nie angażujemy się w wojnę ze Wschodem. Nie angażujemy się w blokadę technologiczną ani handlową przeciwko Wschodowi. Gromadzimy przyjaciół i partnerów, a nie wrogów ekonomicznych czy ideologicznych”.

To deklaracja, że jeśli Waszyngton wypowie wojnę gospodarczą Pekinowi, Węgrzy mogą nie stanąć po stronie Ameryki. Orbán przyznał zresztą

w Băile Tușnad, że podczas majowej wizyty prezydenta Xi Jipinga w Budapeszcie otrzymał od chińskiego przywódcy atrakcyjną ofertę uczestnictwa we wzajemnej modernizacji: Chińczycy są gotowi dokonać poważnych inwestycji kapitałowych na Węgrzech i jednocześnie otworzyć dla Madziarów swój rynek. Obie strony zacieśniłyby bardziej tę współpracę, jednak Budapeszt jest ograniczony wspólną polityką handlową UE. Oferta Pekinu stanowi więc maksimum tego, co można uzyskać w obecnych warunkach, ale te ostatnie mogą się przecież zmienić.

Jeśli chodzi o nasz region, to, jak mówi Orbán, „musimy być przygotowani na to, że Ukraina nie będzie członkiem NATO ani Unii Europejskiej, ponieważ my, Europejczycy, nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy. Ukraina powróci do pozycji państwa buforowego, a jeśli będzie miała szczęście, to z międzynarodowymi gwarancjami bezpieczeństwa, które zostaną zapisane w umowie między USA i Rosją, i w których my, Europejczycy, być może również będziemy mogli uczestniczyć”.

Wizja premiera Węgier wymaga dogłębnej i krytycznej analizy, na co zapewne przyjdzie czas. Jeden z głosów komentujących jego wystąpienie na gorąco należał do włoskiego filozofa Roberta de Mattei, który stwierdził, że „realizm Orbána przypomina Ostpolitik Nixona i Kissingera wobec Chin oraz Pawła VI i kard. Casaroligo wobec Związku Sowieckiego. Ci pierwsi nie przewidywali, że dzięki prowadzonej polityce odprężenia Chiny staną się głównym przeciwnikiem politycznym i gospodarczym Stanów Zjednoczonych. Ci drudzy nie przewidzieli upadku komunizmu i poświęcili na rzecz dialogu z Moskwą głowę prymasa Węgier Józsefa Mindszentyego. Strategia Orbána przypomina Watykan i amerykańską Ostpolitik nie tylko w »wyciągnięciu ręki« do rosyjskiego i chińskiego Wschodu, lecz także w błędnym przekonaniu o nieodwracalności biegu historii, przeciw któremu nie można nic zrobić, jak tylko się dostosować”.

Moc Camino

Camino, czyli szlak św. Jakuba do jego grobu w Santiago de Compostela, otwiera przed nami prawdziwą skrzynię skarbów chrześcijaństwa, której nie zawsze są świadomi nawet ci, którzy odbyli pielgrzymkę do sanktuarium. Droga do Boga zawsze odbywa się po ziemi, a pielgrzymowanie może nam pomóc w wyborze właściwej ścieżki. Kto podejmie wyzwanie?



MAŁGORZATA WOŁCZYK

Dziś jak nigdy przedtem chciałoby się puścić w eter wszystkich rozgłośni Starego Kontynentu apel Jana Pawła II wygłoszony podczas pielgrzymki do Santiago de Compostela w 1982 r.: „Ja, biskup Rzymu i pasterz Kościoła Powszechnego, z Santiago kieruję do ciebie, stara Europo,

wołanie pełne miłości: odnajdź siebie na nowo. Bądź sobą. Odkryj swoje korzenie”. Nawet jeśli szefowie państw i tzw. elity nie są zainteresowane powrotem do źródeł, to można jeszcze liczyć na zwyczajny głód *sacrum* i duchowego przeżycia u milionów pielgrzymów odwiedzających to święte dla wszystkich katolików miejsce.

Niestety Zbigniew Herbert miał wiele racji, pisząc, że „w każdej dojrzałej cywilizacji zejścia do piekieł są liczniejsze nawet od budek z piwem”. Tym bardziej więc współczesny człowiek potrzebuje Camino – aby odnaleźć więź z Bogiem, a Europa, by przypomnieć sobie o swoim początku. Wielu z nas odwiedziło grób

apostola w katedrze w Santiago, nawet nie przypuszczając, że w 2021 r. wielowiekowa rzeźba św. Jakuba (patrona Hiszpanii) stanie się „kontrowersyjna” nawet dla samych kanoników, którzy zdecydowali o jej przeniesieniu w mniej widoczne miejsce. Niemożliwe? Niestety w czasach poprawności politycznej nawet figura św. Jakuba może doczekać się „scancelowania”, dlatego spieszymy się go odwiedzić.

SYN GROMU EWANGELIZUJE HISZPANIĘ

Szlak i symbolizująca go muszla, której charakterystyczny zarys możemy odnaleźć



także w wielu miejscach Polski, to niesamowity rozdział dziejów Kościoła. W rolach głównych wystąpili: apostoł św. Jakub Starszy, królowie, mnisi, papieże, pątnicy, wojownicy i złodzieje.

Według ustnej tradycji to „Syn Gromu” (czyli temperamentny św. Jakub) po zmartwychwstaniu Chrystusa zapędził się aż na rzymski koniec świata, *finis terrae*, aby ewangelizować ówczesną Hiszpanię. Niestety Iberowie okazali się dość oporni na nauki, więc przynębionego porażką apostoła nawiedziła Matka Boża, aby podnieść go na duchu. Oczywiście to tradycja ustna – Kościół nigdy oficjalnie nie potwierdził, że w 40 r. Maryja Dziewica dokonała bilokacji, aby pocieszyć Jakuba.

Wiele wieków później w miejscu nawiedzenia powstało jednak drugie miejsce pielgrzymkowe Hiszpanii, czyli bazylika Matki Bożej z Pilar w Saragossie. Po spotkaniu z matką Chrystusa Jakub Starszy miał odzyskać siły, nawrócił pierwszą wspólnotę w Hiszpanii i z poczuciem spełnionej misji powrócił do Jerozolimy.

Jednak król Herod Agryppa I, wnuk Heroda, wiedząc o powrocie jednego z najważniejszych uczniów Chrystusa, nakazał go zdekapitować. Uczniowie przetransportowali jego ciało drogą morską z powrotem do rzymskiej Gallaecii. Tam został pochowany w pobliżu Iria Flavia w lesie Libredón, a potem zapomniany na 800 lat. Ok. 813 r. pustelnik Pelayo, który mieszkał w tym lesie, udał się do biskupa Teodomira, aby przekazać mu wiadomość o pojawieniu się dziwnej gwiazdy. Kiedy za nią poszli, znaleźli trzy rzymskie kamienne grobowce, przy czym jedno ciało było bez głowy. Zidentyfikowali je jako należące do św. Jakuba oraz jego uczniów: Teodora i Atanazego. Wieść o tym rozeszła się po całym Królestwie Asturii, a król Alfons II Wstydlawy nakazał wzniesienie świątyni chroniącej groby. Tak w Santiago de Compostela, co przetłumaczyć można jako św. Jakub z Campus Stellae, czyli z Pola Gwiazdy, powstał jeden z największych ośrodków pielgrzymkowych chrześcijaństwa.

POGROMCA MAURÓW

To zaledwie początek fascynującej historii, bo w VIII w. ze względu na brutalną okupację Półwyspu Iberyjskiego przez muzułmanów (dziś sprzedawaną nam cynicznie jako cudowny okres tolerancyjnej, wielokulturowej Al-Ándalus) teren był zagrożony hordami z Afryki. Tym, co może nas łączyć z chrześcijanami tamtej epoki, jest strach przed inwazją islamu. Wiara była jedyną nadzieją dla ludzi, którzy śpiąc pod gołym niebem i żywiąc się czymkolwiek, zaczęli przybywać do grobu apostoła, prosząc o wstawiennictwo. To w tym jedynym, niepodbitym jeszcze Królestwie Asturii według legendy św. Jakub miał ukazać się we śnie królowi Ramirowi I, zachęcając go do odmowy złożenia daniny Emiradowi Kordoby i obiecując pomoc w bitwie.

Asturianie tak uczynili i rzeczywiście zdolali pokonać wielokrotnie liczniejszych Maurów w bitwie pod Clavijo (844 r.) dzięki cudownej interwencji apostoła, który na

białym koniu i z białym sztandarem jako świetlisty rycerz przeraził wojska wroga. Ten epizod wyjaśnia jedno z najpowszechniejszych przedstawień ikonograficznych św. Jakuba jako pogromcę Maurów, a on sam stał się patronem Hiszpanii i jej kawalerii. Motto „Santiago y cierra España!” stało się okrzykiem wojennym chrześcijan podczas rekonkwisty, a św. Jakub natchnieniem dla wysiłku wyzwolenia Półwyspu Iberyjskiego od terroru Półksiężycza.

Teraz już rozumiemy, dlaczego kanonicy usiłują schować wizerunki św. Jakuba, na których ten beztrudno ścina głowy Maurów, a jego koń depta zwłoki przodków dzisiejszych „ubogacaczy kulturowych”. Zapewne „otwarci” katolicy cieszą się też, że symbolika charakterystycznego krzyża św. Jakuba została już zapomniana, a przecież jego sylwetka ewoluowała z *rubet ensis sanguine arabum* (miecza krzyża czerwonego od krwi Arabów). Inna sprawa, że ekumenizm i dialog międzyreligijny zaczął dotyczyć też Camino i gości sanktuarium.

MERKEL PRZYTUŁA POGROMCĘ MAURÓW

Z pobytu w Santiago w 2014 r. pamiętam wizytę ówczesnej kanclerz Niemiec Angeli Merkel, która na wielu fotosach obejmowała figurę św. Jakuba, by dokładnie rok później samowładnie zaprosić do Europy pierwsze masy imigrantów i spowodować zalew islamu nieznanym Europie od czasu okupacji Półwyspu Iberyjskiego.

Powróćmy jednak do wczesnych wieków, gdy pątnicy patrzyli w oczy śmierci. W porównaniu z innymi sanktuariami w Europie i prowadzącymi do nich bezpiecznymi drogami pielgrzymka do Santiago była wyzwaniem. Wiosną i latem wojska Maurów buszowały w poszukiwaniu łupów i niewolników, zaś zima w tamtejszym klimacie (wybrzeże Atlantyku) karała tych, którzy musieli podróżować, broniąc się przed wilkami, niedźwiedziami i lawinami kamieni w górach. Głód był wówczas najmniejszą bolączką pątników, którzy przed udaniem się na pielgrzymkę zwykli spisywać testament.

Rzym długo nie uznawał „konkurencji”, ekskomunikując biskupów, którzy twierdzili, że apostoł św. Jakub został pochowany w Santiago. Nic nie mogło przyćmić Stolicy Apostolskiej, toteż w ciągu 250 lat pielgrzymowanie w ramach Camino było

obciążone nie tylko ryzykiem śmierci, lecz także ekskomuniki (dopiero w 1884 r. papież Leon XIII uznał, że w Santiago spoczywają szczątki apostoła). W 997 r. władca Al-Andalus Almanzor postanowił ukarać królestwo chrześcijan za nielojalność. Zdewastował Galicję i Compostelę, w tym pierwotną świątynię, która skrywała grób. Schwytani chrześcijanie musieli na własnych ramionach nieść drzwi i dzwony zniszczonej świątyni do meczetu w Kordobie na południowym krańcu Hiszpanii.

OPACTWO W CLUNY POMAGA STWORZYĆ SZLAK

W krótkim tekście nie sposób opisać historii zapisanej w tomiszczach, ale kluczowy moment nastąpił w wyniku sprytnego paktu króla Galicji Alfonso VI z opactwem w Cluny. W zamian za patronat i utarcie nosa władzy papieskiej potężny zakon domagał się od króla złota, aby wybudować na szlaku Camino rozciągającą się już w całej Europie sieć ośrodków propagujących reformę Kościoła. Tak powstały opactwa i klasztory, które przekazywały przede wszystkim dogmaty wiary, a także idee, sztukę, kulturę i wpływy polityczne, czyli coś, co nie istniało od czasów Cesarstwa Rzymskiego. Szlachta i mnisi z całej Europy zaczęli pielgrzymować od klasztoru do klasztoru, przenosząc rękopisy, wiedzę, bogactwo i jednocząc tym samym kraje w ramach *christianitas*. Nawet obok mojego domu na Ursynowie znajduje się głaz upamiętniający pielgrzymkę rycerza Andrzeja Ciołka do grobu św. Jakuba odbytą w 1404 r. Był on właścicielem dóbr Kabaty i brał udział w bitwie pod Grunwaldem.

Camino ma własne dzieje jak z eposu, samo też tworzyło historię, w tym osób później kanonizowanych, które, jak św. Elżbieta Portugalska, poświęciły się pomaganiu pielgrzymom. Byli i tacy, którzy udali się do Composteli, aby oddać cześć świętemu, nie wiedząc, że oni sami się nimi staną w przyszłości, np. św. Franciszek z Asyżu, św. Tomasz Becket i nasz papież. Mawia się również, iż żadne inne sanktuarium nie doczekało się tak licznych wizyt mistyków. Niestety zapomniano, jak ogromną rolę odegrał zakon szpitalników, znany później jako zakon maltański. Jego

członkowie jako pierwsi założyli ochronki dla osób sponiewieranych przez trud, choroby lub rany odniesione na szlaku. To były niemal ówczesne izby przyjęć.

Trudno nie nadmienić o życiu uczuciowym czy erotycznym, bo mimo gorliwości, jaką wielu wkładało w unikanie kontaktów seksualnych, pokusa często przewyższała zakazy i głos sumienia. Ten problem objawił się nawet w szpitalach na szlaku, gdzie odseparowani podług płci pielgrzymi szukali sposobów, aby spocząć w jednym łóżu z przygodną towarzyszką. „Codex Calixtinus” z XII w. ostrzegał przed diabłem na szlaku, czającym się w ciele uwodzicielek czekających z ofertą w lesie lub w gospodach „pod przebraniem” służek.

Stowarzyszenie Gmin Santiago de Compostela zebrało dane na temat motywacji pielgrzymów. Według ich ankiety jedynie 20 proc. pątników udaje się Santiago ze względów duchowych, przeważa motywacja zdrowotna i sportowa – 70 proc.

KTO DZIŚ PIELGRZYMUJE?

Wiadomo, że Camino staje się coraz popularniejsze, pątnicy coraz liczniejsi, a odsetek obcokrajowców góruje nad Hiszpanami. Fundación Jacobea co roku zlicza tych, którzy przeszli szlak i zdobyli Compostelę, czyli certyfikat. Aby go otrzymać, w paszporcie pielgrzyma należy zbierać pieczętki z miejsc noclegowych, kościołów czy barów. Warunkiem otrzymania Composteli jest zebranie minimum dwóch pieczętek każdego dnia z odcinka ostatnich 100 km przed katedrą w Santiago. 2022 r. był rekordowy, bo doliczono się aż 446 039 pątników; w 2023 r. szlak pokonało 430 326, z czego 404 178 pieszo, 22 881 na rowerze, 5726 łodzią, 606 na koniu, 276 pod żaglami i 198 na wózku inwalidzkim.

Znając tradycję naszego kraju i „wszędobylskość” Polaków, nieco dziwi, że jesteśmy bardzo nisko w tych statystykach. Najczęściej obecni na szlaku są obywatele USA, potem kolejno: Włoch, Niemiec, Portugalii, Francji, Wielkiej Brytanii, Meksyku, Korei, Irlandii, Australii, Kanady, Brazylii, Holandii i wreszcie Polski (5526 uczestników w 2023 r.).

Statystyki dają sporo do myślenia, a badania potwierdzają desakralizację Camino. Już w 2014 r., gdy spędzałam wakacje w Santiago, starsi tubylcy narzekali, że „to już nie jest to samo miejsce, co kiedyś”, bo motywacje pielgrzymów bywają rozczarowujące. Wystarczy wejść na YouTube i okaże się, że także wśród

Polaków są turyści poszukiwacze przygód, którym zależy jedynie na tym, aby zaimponować wykonanym „challengem”. Stowarzyszenie Gmin Santiago de Compostela wykonało ostatnio ogromną pracę, zbierając dane na temat motywacji pielgrzymów. Według ich ankiety jedynie 20 proc. pątników udaje się Santiago ze względów duchowych, choć biuro pielgrzymkowe przekazuje, że wciąż jest ich ok. 40 proc. Według ankietatorów przeważa motywacja zdrowotna i sportowa (70 proc.), a 9 proc. mówi wyłącznie o turystycznym celu eskapady. Co ciekawe, 71 proc. pielgrzymujących to mężczyźni, 95 proc. ogółu podróżujących robi to samotnie lub w grupach mniejszych niż pięć osób.

Ktokolwiek rozważa Camino, powinien raczej posłuchać świadectwa osób, które zmieniły swoje życie pod wpływem wędrówki i zawierzenia Bogu niż podcasterów prawiących o tym, jak bardzo byli dzielni mimo odcisków albo jak bardzo zirytowani „katotalibami” w hostelu. Dostępny w internecie grafik tras pokazuje, że można iść m.in. szlakiem portugalskim, francuskim, pierwotnym. Jest ich mnogość – do wyboru i do koloru pejzażu. Można przejść wymagane 100 km, można przewędrować i 800 km. Szlaki łączą się w całej Europie.

A gdybyśmy tak my, Polacy, posłuchali apelu św. Jana Pawła II i wyruszyli w masowej pielgrzymce, aby zadziwić świat i przypomnieć Europie, gdzie tkwią jej korzenie? To dopiero byłby wyczyn, zwłaszcza w kontekście nowej inwazji islamu. 

Czy grozi nam koniec cywilizacji i kultury chrześcijańskiej?

Niedawno głośnym echem w kręgach katolickich odbiła się książka francuskiej filozof Chantal Delsol pt. „Koniec świata chrześcijańskiego”. W ostatnim numerze pisma „Christianitas” polemizuje pan z tą tezą, a jej stanowisko opisuje jako „kapitulację”. Czy Delsol i jej zwolennicy naprawdę skapitulowali?

Tomasz Rowiński:

Stanowisko Chantal Delsol nie jest spójne. Jako intelektualistka jest ona wciąż obecna w różnych inicjatywach, czy to chrześcijańskich, czy konserwatywnych, które starają się być głosami rozsądku w Europie. Jednocześnie jej książka to swego rodzaju manifest rezygnacji. Delsol uważa, że religia pogańska w późnym antyku upadła pod chrześcijańską presją i podobnie jest teraz z chrześcijaństwem, które chwieje się pod naporem nowego pogaństwa.

Co więcej, Delsol uważa, że koniec świata chrześcijańskiego będzie czymś dobrym, ponieważ oznacza koniec epoki, w której religia Chrystusa mieszała się z polityką. Ale tu także jest niespójna. Wydaje się jej, że nadchodzą czasy pogodnej religijności typu wschodniego, a w tej nowej rzeczywistości Kościół znowu będzie mógł się zająć ewangelizacją i kontemplacją Boga. Jednocześnie widzi, że nowoczesność, także ta liberalna, może się przenieść w jakiś rodzaj totalitaryzmu. A wtedy chrześcijanie znów mogą być poddani prześladowaniom. Z tej perspektywy mieszanie się chrześcijan do polityki jest czymś koniecznym.



Polska pozostaje znakiem nadziei dla wielu zachodnich społeczności chrześcijańskich.

My jednak wiemy, że te nadzieje są, przynajmniej trochę, na wyrost.

Mimo to wciąż trzeba próbować im sprostać

Z Tomaszem Rowińskim, historykiem idei, publicystą i redaktorem, rozmawia Goran Andrijanić

Sprawa nie dotyczy zresztą tylko chrześcijan. Chantal Delsol dobrze widzi, że społeczeństwa, które całkowicie odrzucają prawdy religijne, odrzucają też zasady prawa naturalnego i stają się po prostu nieludzkie dla wszystkich.

Gdzie w tym wszystkim jest Polska? Nawet Delsol przyznaje w swojej książce, że nasz kraj „odważnie walczy” przeciwko temu procesowi. Tymczasem u nas w kręgach katolickich mówi się o tym, że katolicyzm już dawno stracił moc opiniotwórczą.

Delsol przyznaje, że Polska dzielnie walczy, ale nie wierzy w powodzenie tego oporu. W naszym kraju wpływowe kręgi inteligencji katolickiej przynajmniej od

lat 40. XX w. mają skłonność do ideowej niesamodzielności. Łatwo ulegają dominującym ideologiom, głoszą postawę wycofania się z debaty publicznej i tworzą modele chrześcijaństwa zaadaptowanego. W czasach komunizmu Tadeusz Mazowiecki wychwalał socjalizm, a ks. Tischner chciał unieważnić tradycję filozofii katolickiej. W latach 70. wielu inteligentów katolickich uznało przewodnią rolę lewicy laickiej w ruchu opozycji antykomunistycznej. Tymczasem dla ludzi takich jak Adam Michnik katolicki sposób myślenia o sprawach społecznych to był jakiś – nie przymierzając – faszyzm.

Dziś wielu autorów katolickich sympatyzuje z lewicą. Rozumiem przywiązanie do sprawiedliwości społecznej, ale dłaczego ustępują

także wobec agendy politycznego ruchu homoseksualnego i jawnej wrogości wobec Kościoła? W jaki sposób katolicy mają być opinotwórczy, skoro często są tylko naśladowcami modnych ideologii? Inni zaś mają do powiedzenia tylko tyle, że Kościół powinien być apolityczny. Czy naprawdę dotyczy to świeckich? Czy dotyczy to biskupów w tym zakresie, w jakim polityka styka się z konfliktami dotyczącymi sporów etycznych? Zresztą także prawicowi katolicy często nie mają odwagi mówienia prawdy swoim liderom. Katolicka doktryna społeczna to nie tylko życie nienarodzonych, ochrona rodziny i praw religii czy sprawiedliwość społeczna. To również dbałość o instytucje państwa, szukanie raczej pokoju społecznego niż konfliktu, poszukiwanie narodowej większości dla ważnych spraw.

Czy wydaje się panu, że w kontekście Europy w procesie walki o chrześcijańską cywilizację Polska ma szczególne miejsce?

Nie wiem, kto i w jakim formacie miałby w imieniu Polski zabiegać o zachowanie elementów cywilizacji chrześcijańskiej w Europie. Mamy słabą reprezentację polityczną w Parlamencie Europejskim. Moim zdaniem liderzy Prawa i Sprawiedliwości zniechęcili się do sprawy chrześcijańskiej tożsamości. Zresztą w sprawach cywilizacyjnych nasza centroprawica nigdy nie była konsekwentna. Mimo to ostatnie sejmowe głosowania przeciwko projektom aborcyjnym można uznać za sukces ludzi cywilizacji chrześcijańskiej, rozproszonych w różnych partiach.

A Kościół hierarchiczny?

Jest on podzielony, w dużej mierze zainfekowany duchem kapitulacji i ucieczki od odpowiedzialności. Znów więcej niż od liderów można oczekiwać od aktywnych świeckich, którym wciąż się chce być zarówno Kościołem, jak i cywilizacją chrześcijańską. Polska pozostaje znakiem nadziei dla wielu zachodnich społeczności chrześcijańskich.

My jednak wiemy, że te nadzieje są, przynajmniej trochę, na wyrost. Mimo to wciąż trzeba próbować im sprostać. Obowiązki chrześcijańskie w sferze publicznej polegają bowiem na tym, by czynić cywilizację, w której żyjemy, coraz bardziej otwartą na Boga, a przez to coraz bardziej ludzką. A oznacza to pracę na rzecz konkretnych spraw.

Dodatkowym problemem w tym wszystkim jest fakt, że polityka chrześcijańskiej demokracji straciła powiązanie z zasadami etyki chrześcijańskiej, co w Europie jest oczywiste.

Partie chadeckie już dawno przestały mieć większy związek z chrześcijańską agendą społeczną i stały się po prostu ugrupowaniami głównego nurtu europejskiego systemu władzy. Zostały skorumpowane przez ideologie i niekoniecznie jawne interesy. Upadek włoskiej chadecji, głęboko powiązanej z mafią, był jednym z najboleśniejszych przykładów kompromitacji tego modelu polityki.

Jakie są konsekwencje tej kompromitacji?

Pierwszą była dość powszechna utrata przez elity katolickie, także wyższe duchowieństwo, przekonania, że polityka katolicka w ogóle ma sens. Drugą – demoralizacja chrześcijańskiego elektoratu. Chadece dość długo znajdowali poparcie nawet u papieża, w konsekwencji postępujący upadek tej formacji i porzucanie przez nią katolickich zasad odbierano jako coś normalnego. Trzeba pamiętać, że polityka jest dla społeczeństw potężną siłą formacyjną. Skoro Kościół nie protestował, społeczeństwa przyjmowały, że wszystko idzie w dobrą stronę. Zepsucie chadecji było jednym z czynników, które wyprowadziły Europejczyków z kościołów i Kościoła. Właśnie dlatego, że ten nie angażował się w obronę swoich zasad w sferze publicznej.

Czy to znaczy, że chrześcijaństwo zostaje bez swojego przedstawiciela politycznego?

Jeśli chodzi o Europę, to zależy od kraju. Chantal Delsol zauważa w swojej książce, że to nie chrześcijańska demokracja, ale środowiska pogardliwie określane przez lewicę i liberalistów mianem postfaszystowskich przechowały etos chrześcijański. Dziś w Italii są to Bracia Włosi Giorgii Meloni, a we Francji dość marginalne, ale głośnie środowiska skupione wokół Marion Marechal. W Holandii mamy niewielkie partie protestanckie, które zachowują chrześcijańską agendę w prawach fundamentalnych. Na poziomie brukselskim jako partia funkcjonuje European Christian Political Movement. Oczywiście są też chrześcijańscy politycy rozproszeni w dużych partiach narodowych i europejskich, ale czy można ich nazwać politycznymi reprezentantami cywilizacji chrześcijańskiej? W większości przypadków jest to wątpliwe.

W Polsce politycy, którzy deklarują się jako katolicy, promują aborcję i ideologię LGBT+. Jak Kościół powinien zareagować? Czy przed nami jest dyskusja o odmawianiu udzielania komunii tym politykom?

Biorąc rzecz pryncypialnie, przynajmniej w niektórych przypadkach odmowa udzielania komunii politykom głosującym za aborcją byłaby czymś właściwym. Trzeba jednak pamiętać, że praktyką Kościoła najpierw powinno być niepubliczne zachęcenie takiej osoby albo do zmiany poglądów, albo samodzielnej rezygnacji z sakramentu.

Nie spodziewam się jednak, żeby czekała nas dyskusja na ten temat. Duchowieństwo jest w znacznej mierze wystraszone oraz także zdezorientowane tym, co się dzieje w Kościele na poziomie powszechnym za sprawą papieża Franciszka i procesów synodalnych. Dodatkowo książkę, takie jak ta napisana przez Chantal Delsol, tylko umacniają atmosferę kościelnego marazmu. Co więcej, dodają tej kapitulacji fałszywego smaku duchowej wzniosłości.

Skala niemieckich zbrodni na Polakach podczas II wojny światowej jest zatrważająca i trudna do zrozumienia. Niemcy już we wrześniu 1939 r. traktowali mieszkańców II RP jak podludzi, a atakowi na Polskę towarzyszyły liczne zbrodnie, które zapowiadały piekło okupacji



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Niemieckie ludobójstwo na Polakach

Agresja Niemiec w 1939 r. była niezwykle brutalną kampanią wojenną, w której zbrodnie stanowiły codzienne zjawiska. Niemiecka propaganda przedstawiała wojnę z Polską jako obronę rzekomo represjonowanej w II RP mniejszości niemieckiej. W rezultacie żołnierze III Rzeszy oraz ich dowódcy mieli świetne wytłumaczenie

dla przyszłych zbrodni dokonywanych zarówno na branych do niewoli jeńcach wojennych, jak i ludności cywilnej.

TESTOWANIE NOWEJ BRONI

Jednym z symboli bestialstwa niemieckiego lotnictwa jest Wieluń. 15-tys. miasteczko położone 20 km od granicy

z Niemcami nie posiadało żadnych obiektów wojskowych, nie było węzłem komunikacyjnym ani nie stacjonowały w nim oddziały operujące na tym terenie armii „Łódź” gen. Juliusza Rómmla. Wobec tego mieszkańcy powinni czuć się względnie bezpiecznie.

Całkowita bezbronność była niestety na rękę Niemcom, którzy postanowili, że dla Luftwaffe będzie to idealny chrzest bojowy. Miał to być także test najnowszego modelu bombowca nurkującego – Junkersa Ju 87 B. Pretekstem do ataku



były dane wywiadowcze, według których w Wieluniu była rozlokowana brygada kawalerii, a we wschodniej części miasta miał się znajdować sztab polskiej jednostki.

1 września 1939 r. o godz. 4.40 niemieckie lotnictwo rozpoczęło bombardowanie miasteczka. Pierwsze bomby spadły na szpital Wszystkich Świętych, mimo iż był wyraźnie oznakowany symbolami Czerwonego Krzyża. W tym ataku zginęły 32 osoby. W ciągu zaledwie jednego dnia Wieluń praktycznie przestał istnieć. 75 proc. zabudowań zostało zniszczonych, szczególnie centrum, a śmierć poniosło ok. 1,2 tys. lub nawet, według niektórych źródeł, 2 tys. ludzi. Nikt nigdy nie poniósł odpowiedzialności za zamordowanie cywili i zniszczenie miasta pozbawionego znaczenia militarnego.

Testowanie nowej broni i doskonalenie ataków kontynuowano na kolejnych miejscowościach. Ulubionym celem podniebnych „rycerzy” Hitlera były oznaczone czerwonym krzyżem szpitale lub kościoły czy synagogi. 4 września niemieccy lotnicy zrównali z ziemią Sulejów, zabijając 700 mieszkańców. 8 września w Janowie Lubelskim, w którym za główny cel obrano wypelniony po brzegi kościół, zginęło ok. 350 osób. 13 września niemieccy lotnicy przetestowali we Frampolu nowe typy bomb zapalających i burzących. W ciągu kilku godzin ponad setka samolotów zniszczyła prawie całe miasto, które także nie miało żadnego strategicznego znaczenia.

W sumie ofiarami barbarzyńskich nalotów Luftwaffe stało się co najmniej 158 polskich miast i osiedli. Równie śmiercionośne było atakowanie kolumn uciekających cywilów, które w 1939 r. stało się normą. Drogi zatłoczone tysiącami ludzi próbujących się ratować przed agresorem były łatwym i niegroźnym celem dla lotnictwa. Realizowana od pierwszego dnia wojny strategia atakowania przez Luftwaffe celów cywilnych, ostrzeliwanie przez samoloty niemieckie wszystkich celów żywych na drogach miała prowadzić do wywołania paniki i potęgowania zamieszania na tyłach przeciwnika. Większość ofiar cywilnych września 1939 r. zginęła właśnie w wyniku nalotów.

ZEMSTA W BYDGOSZCZY

Morderstwa szybko stały się również dziełem sił lądowych. Ze wszystkich

niemieckich zbrodni wojennych te popełnione w Bydgoszczy znalazły specjalne uzasadnienie w nazistowskiej propagandzie. 3–4 września polskiemu wojsku udało się zwalczyć niemiecką akcję dywersyjną w mieście. Zostało to nazwane przez Goebbelsa tzw. krwawą niedzielą, a Polaków oskarżano o pogromy niemieckiej mniejszości. Niemcy dawali sobie w ten sposób moralne prawo do zemsty, do której przystąpili zaraz po zajęciu miasta. W ciągu pierwszego tygodnia okupacji plutony egzekucyjne Wehrmachtu i Einsatzgruppen rozstrzelały w mieście 600–800 Polaków, w tym dużą część w publicznych egzekucjach na Starym Rynku.

Początkowo chaotyczne aresztowania i rozstrzeliwania mieszkańców Bydgoszczy wkrótce przekształciły się w zorganizowaną akcję eksterminacyjną, której celem była likwidacja polskiej elity intelektualnej i politycznej w mieście. 10 października 1939 r. przeprowadzono pierwszą masową egzekucję w bydgoskiej Dolinie Śmierci. Tak zginęło kilkudziesięciu nauczycieli szkół średnich, których jedyną zbrodnią było wychowywanie polskiej młodzieży w duchu patriotycznym. W ciągu pierwszych czterech miesięcy okupacji Niemcy zamordowali w tajnych lub publicznych egzekucjach nawet do 5 tys. mieszkańców Bydgoszczy i powiatu bydgoskiego.

„POWSTAŃCY” W KAŻDYM MIEŚCIE

Każde większe polskie miasto czekała brutalna pacyfikacja. Na obrzeżach Katowic niemieckie wojska pojawiły się 3 września. Następnego dnia Wehrmacht w ciągu kilku godzin opanował miasto, mając do czynienia jedynie z nielicznymi polskimi oddziałami samoobrony, gdyż polskie wojsko zdecydowało się na odwrót. Tego samego dnia Wehrmacht wspomagany przez Freikorps rozstrzelał ok. 150 osób, w tym 80 obrońców Katowic. Przez kolejne tygodnie trwało istne polowanie na byłych powstańców śląskich, duchownych, działaczy państwowych i oświatowych.

Po zajęciu Częstochowy przez Wehrmacht 4 września 1939 r. w mieście doszło do kilku strzelanin wywołanych przez małe grupy polskich żołnierzy, jak rów-

nież przez samych żołnierzy niemieckich, którzy każdy dźwięk strzału traktowali jak atak polskich partyzantów. W rezultacie z domów zaczęto wyciągać mężczyzn i kazano im kłaść się na ulicach i placach miasta. Część ludzi brano jako zakładników, wielu zatrzymanych zamordowano. Bilans zbrodni to co najmniej ok. 230 ofiar cywilnych. Kolejny przykład to Gdynia, która mimo bliskości granicy broniła się do 13 września. Po jej zajęciu Niemcy natychmiast przystąpili do tzw. akcji oczyszczającej. Do 30 września aresztowano ok. 2,5 tys. osób. Masowe zatrzymania objęły całe Pomorze i przybrały na sile po zakończeniu działań wojennych. Wielu z aresztowanych Niemcy zamordowali później w zbiorowych egzekucjach w Piaśnicy koło Wejherowa lub w obozie koncentracyjnym Stutthof.

ZGINĘLI, BO NIE MIELI DOKUMENTÓW

Niemcy nie oszczędzali również mniejszych miejscowości. Jankowo nieopodal Łęczycy zostało zajęte przez Wehrmacht 7 września. Dwa dni później Niemcy musieli się jednak wycofać w związku z kontratakami polskiego wojska, znanym dzisiaj jako bitwa nad Bzurą. Wobec chwilowej bezsilności wojsko niemieckie postanowiło zemścić się na bezbronnych cywilach, co opisał później mający wówczas 12 lat Józef Bratosiewicz: „Okolo godziny 16-tej zauważyliśmy wzmożony ruch Niemców. Biegali jak wściekli. Widzieliśmy, jak łapią przygodnych ludzi i ich legitymują, potem niektórych prowadzą do dworku pana Kamińskiego. Zaczęli krzyczeć na dzieci, pokazując nam dom. Nie było dyskusji. Siedzieliśmy więc w domu, a nasza mama co chwilę sprawdzała, czy jesteśmy w komplecie. Za chwilę wpadł ojciec. Mówił, że coś się dzieje, bo z kierunku Małej Leźnicy słychać jakieś strzały. Patrzymy przez okno, bo mama nie pozwoliła wyjść na podwórko i widzimy tyralierę niemieckich żołnierzy, jak przez plantację naszego rabarbaru, chowając się, idą na północ, skąd słychać strzelaninę. Po godzinie przycichło, tylko Niemcy chodzili jak wściekle osy. Zaczęła się ewakuacja oddziału stacjonującego we dworze. Od strony Łęczycy wycofywały się całe kolumny Wehrmachtu. [...], nadleciał

ktoś od strony folwarku pana Kamińskiego, krzycząc: »W stawie leżą zabici!«. No, to już wszyscy pobiegli do tego stawu. Nam, dzieciakom, oczywiście nie pozwolono tam podejść. Dowiedzieliśmy się tylko, że to nasi sąsiedzi, których Niemcy żołnierze złapali bez dokumentów i ich w sobotę wieczorem rozstrzelali. Byli między nimi i niektórzy z sąsiednich wsi, którzy przyszli obejrzyć obce wojsko. W stawie było siedmiu zabitych. Niemcy przykryli ich drabinami, żeby nie było widać. Ta wściekłość butnych Niemców wzięła się stąd, że akurat wtedy nasza Armia »Poznań« uderzyła na Łęczycę i oni musieli uciekać. Mścili się również w Łęczycy, gdzie rozstrzelali wielu niewinnych ludzi. Dopiero potem odeszli. Taki to był ten rycerski Wehrmacht!».

Z POWODZENIEM ZASTOSOWANE ŚRODKI

Kajetanowice, wieś koło Radomska, została zajęta przez Niemców 4 września. Żołnierze Wehrmachtu nie napotkali tam na żaden opór. Przez cały dzień przez wieś przejeżdżały niemieckie kolumny pancerne i zmotoryzowane. Podczas przejazdu jeden z oddziałów bez przyczyny postanowił podpalić kilka domów. Na tym jednak Niemcy nie skończyli. W nocy z 5 na 6 września niedaleko wsi doszło do wymiany strzałów najprawdopodobniej między niedoświadczonymi niemieckimi rekrutami. W oficjalnych meldunkach za przyczynę strzelaniny uznano atak polskich partyzantów, co miało tłumaczyć późniejsze bestialskie zachowanie żołnierzy niemieckiej 46. Dywizji Piechoty. Najpierw zabroniono mieszkańcom opuszczać domy, później przystąpiono do palenia i ostrzeliwania zabudowań. Nie tylko strzelano do uciekających w panice ludzi, lecz także nie pozwalano na wyciąganie z płonących budynków dzieci i osób starszych. Jeden ze świadków słyszał żołnierza mówiącego, że „Polaków trzeba tu wymordować od kołyski”. Kiedy w środku miejscowości zebrał się ocaleni z pożarów, niemieccy żołnierze na rozkaz dowództwa wyciągnęli z tłumu kilkunastu mężczyzn, których zabrali na pobliskie pole i tam rozstrzelali. Ciała

ofiar egzekucji miażdżono następnie za pomocą kół artylerii. W wyniku tej masakry mogło zostać zamordowanych nawet 80 bezbronnych osób, w tym kobiety, osoby starsze i dzieci. W dzienniku działań bojowych tej jednostki zapisano, że w Kajetanowicach zostały przedsięwzięte „środki, które [...] z powodzeniem zastosowano w Częstochowie”.

JEŃCY SPALENI ŻYWCEM

Zakroczym wraz z przylegającym do niego Fortem nr 1 w 1939 r. stanowił element systemu obrony twierdzy Modlin, za którego utrzymanie odpowiadała 2. Dywizja Piechoty Legionów. Od pierwszych dni września twierdza i Zakroczym były bombardowane przez Niemców, a 10 września rozpoczęły się trwające

Ulubionym celem podniebnych „rycerzy” Hitlera były oznaczone czerwonym krzyżem szpitale lub kościoły czy synagogi

18 dni walki z siłami lądowymi Wehrmachtu. Kolejne natarcia były odpierane mimo wyraźnej przewagi liczebnej i technicznej Niemców. Dopiero po kapitulacji Warszawy dowództwo twierdzy Modlin postanowiło poddać się nieprzyjacielowi. Rozpoczęły się rozmowy kapitulacyjne, a polscy żołnierze wywiesili białe flagi na liniach umocnień. Takie rozwiązanie nie satysfakcjonowało obu stron.

Jak relacjonował później pplk Bronisław Laliczyński, dowódca 4. pułku piechoty Legionów, „oddział niemiecki, korzystając z zawieszenia broni, przekroczył bez oporu i powodu linię placówek polskich, biegiem doszedł do plutonów, które bez broni odpoczywały przed schronem, i bez uprzedzenia otworzył ogień”. Odpowiedzialni za tę zbrodnię esesmani z Dywizji Pancerniej „Kempf” rozstrzelali część bezbronnych polskich żołnierzy w okopach, innych

już w samym Zakroczymiu, gdzie zaczęli mordować także cywilów. Wrzucali do domów i piwnic granaty, rabowali i podpalali domy, rozstrzelali mieszkańców, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego. Dowódca III batalionu w 2. pułku piechoty Legionów kpt Tadeusz Dorant został spalony żywcem miotaczem ognia, kiedy wraz ze swoimi podwładnymi wychodził z podniesionymi rękami ze schronu. Pozostających przy życiu jeńców bito, kopano i zmuszano do długiego stania z rękami uniesionymi do góry. Esesmani wymordowali wówczas ok. 500 polskich szeregowych, podoficerów i oficerów oraz 100 cywilnych mieszkańców miasta.

Nie była to jedyna zbrodnia hitlerowców na jeńcach. Warto wymienić przynajmniej kilka z nich. 5 września koło Serocka Niemcy otworzyli ogień do wziętych do niewoli Polaków. Zginęło od 66 do ponad 80 osób. Następnego dnia w pobliżu wsi Morzyca koło Piotrkowa Trybunalskiego żołnierze Wehrmachtu rozstrzelali 19 oficerów 7. pułku piechoty, a szeregowców spalili żywcem. Z kolei 13 września w Zambrowie zabito ok. 200 żołnierzy i 100 rannych podejrzanych o próbę ucieczki.

NIEMCY DUMNI?

Nie sposób jest w jednym tekście opisać czy nawet wymienić wszystkie zbrodnie dokonane przez niemieckie wojska w trakcie kampanii wrześniowej 1939 r. Trudno jest także oddać skalę tych okrucieństw. Tylko we wrześniu śmierć z rąk Niemców poniosło 24 tys. cywilów. A przecież był to dopiero początek mordowania i niszczenia narodu polskiego. Ogrom zbrodni popełnionych podczas całej niemieckiej okupacji często przyćmiewa horror początku wojny. Wiele tych strasznych wydarzeń z września do dzisiaj nie jest powszechnie znanych. Niezaprzeczalny jest fakt, że III Rzesza od samego początku prowadziła wojnę w sposób barbarzyński, z pogwałceniem prawa międzynarodowego i całkowitą pogardą dla podobnej ludności. Mimo to część niemieckiego społeczeństwa z liderem AfD Alexandrem Gaulandem na czele uważa, że Niemcy mają prawo być dumni z osiągnięć Wehrmachtu. 

K

ULTURY

Winona Ryder wraca
na filmowe plany
i czerwony dywan.
W dniu otwarcia
81. Międzynarodowego
Festiwalu Filmowego
w Wenecji wejdzie
w błysku fleszy na
prapremierowy
pokaz najnowszej
produkcji Tima Burtona
„Beetlejuice Beetlejuice”.
Jej historia zatoczy koło

Ciemna • strona gwiazd

Fot. Materiały prasowe



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Wyczekiwany przez fanów czerpiący z przeszłości „Beetlejuice Beetlejuice” otworzy tegoroczny festiwal w Wenecji. Po 36 latach od premiery „Soku z żuka” („Beetlejuice” – czarnej komedii, horroru i fantasy w jednym) filmowym zaklęciem zostanie przywołany tytułowy gnijący antybohater. Wiele wskazuje na to, że ostatecznie pomoże wydobyć się z mrocznych czeluści dziewczynie, która tak go kiedyś zafascynowała.

NA FILMOWĄ ORBITĘ

Gdy przedstawiła się widzom jako Lydia Deetz – zagubiona młodociana bohaterka, która rodzinną stabilność zyskuje dzięki parze sympatycznych duchów (grali ich Alec Baldwin i Geena Davis), a chwile grozy przeżywa za sprawą niezdrowo zainteresowanego nią Beetlejuice’a (dosłownie wywołanego z grobu nieprzewidywalnego bioegzorcysty wykreowanego przez Michaela Keatona) – miała 17 lat. Dopiero rozpoczynała aktorską przygodę. Przed nią były role i produkcje, dzięki którym wystrzeliła na gwiazdorską orbitę lat 90. ub.w.

Czy poza potrójnym przywołaniem z zaświatów Beetlejuice’a w jej przypadku zadziałało także inne, tym razem kosmiczne, życzenie zaklęcie? Dociekliwi kinomani zwrócili uwagę, że imię głównego bohatera to fonetyczny zapis słowa Betelgeuse. A tak nazywa się dziewiąte pod względem jasności na nocnym niebie ciało niebieskie w gwiazdozbiorze Oriona.

W 1988 r. Winona Ryder była na początku drogi do hollywoodzkiego gwiazdozbioru. Miała przed sobą takie produkcje, jak: „Syreny” z Cher (film przyniósł jej pierwszą nominację do Złotego Globu) i „Edward Nożycoręki” (ekranowy efekt drugiego spotkania z Timem Burtonem i pierwszego z Johnnym Deppem, oba filmy weszły do kin w 1990 r.) czy „Draculę” Francisa Forda Coppoli (1992) z Garym Oldmanem, Keanu Reevesem i Anthonym Hopkinsem.

Kolejny rok zamknęła premierami: „Wiek niewinności” Martina Scorsese z Danielem Day-Levisem i Michelle Pfeiffer (za rolę w tym filmie dostała pierwszą nominację do Oscara i odebrała statuetkę Złotego Globu) oraz

„Dom dusz” Billego Augusta z Jeremym Ironsem, Meryl Streep i Glenn Close. W 1994 r. jako ekranowa Jo March na planie adaptacji „Małych kobietek” spotkała m.in. Christiana Bale’a, Susan Sarandon, Gabriela Byrne’a i otrzymała kolejną oscarową nominację (tym razem za główną rolę).

Stała się młodą gwiazdą, pożądaną i sprawdzającą się w bardzo różnorodnych filmowych produkcjach. Od „Czarownicy z Salem” (1996) przez „Obcego: Przebudzenie” (1997) po „Przerwaną lekcję muzyki” (tu Oscara w 2000 r. za rolę drugoplanową dostała Angelina Jolie, a Winona poza stworzeniem głównej ekranowej postaci zadebiutowała jako producentka).

Z KOMUNY NA SZCZYT

Swoje imię zawdzięcza nazwie miasteczka Winona, w okręgu Olmsted, w którym się urodziła. Wczesne dzieciństwo spędziła w hippisowskiej komunie w północnej Kalifornii. Brak telewizora rekompensowała sobie lekturami, matka wyświetlała jej filmy z projektora umieszczonego w stodole.

Kiedy miała 10 lat, rodzice przenieśli się w okolice San Francisco. Wtedy zaczęła uczęszczać na zajęcia do American Conservatory Theater. Trzy lata później wzięła udział w pierwszym przesłuchaniu. Filmem, od którego rozpoczęła się jej aktorska kariera, był „Sok z żuka”.

Media łączyły ją z wieloma partnerami z planu. Byli wśród nich m.in. Christian Slater (zagrali w „Śmiertelnym zauroczeniu”, 1988), Keanu Reeves, Matt Damon czy Johnny Depp. Ten ostatni, bardzo dla niej ważny, wytatuował sobie nawet deklarację „Winona Forever”. Gdy uczucie się wypaliło (w 1993 r.) z imienia usunął dwie ostatnie litery. Aktorka wyjątkowo mocno przeżyła rozstanie z nim. Popadła w depresję i zaczęła nadużywać alkoholu. Jednocześnie nie była tak radykalna w odcinaniu przeszłości jak niedawny partner. Podkreślała, że Depp „zawsze będzie w jej sercu”. Jako jedna z nielicznych broniła aktora, gdy w ostatnich latach znalazł się w ogniu medialnej krytyki. Oskarżenia Amber Heard o stosowanie przemocy fizycznej i psychicznej skwitowała w sądzie stwierdzeniem, że „zna Deppa jedynie jako dobrego człowieka”.

Miała po nim wielu partnerów, aktorów i muzyków. Z żadnym nie zalegalizowała związku, chociaż niektórzy twierdzą, że jest żoną... Reevesa. Na planie filmu „Dracula” grany przez nich bohaterom udzielał ponoć ślubu prawdziwy ksiądz, stąd taki pomysł.

BOLESNY UPADEK

W 1997 r. magazyn „People” umieścił ją na liście 50 najpiękniejszych ludzi świata, a miesięcznik „Empire” przyznał jej drugie miejsce wśród największych ekranowych gwiazd, by dwa lata później wprowadzić ją do grona 100 najważniejszych ludzi współczesnego kina. W 1998 r. zasiadła w jury konkursu głównego 51. MFF w Cannes. Miała wtedy 27 lat i coraz poważniejsze problemy, które z czasem doprowadziły do załamania kariery.

W 2001 r. została aresztowana pod zarzutem kradzieży markowych ubrań i akcesoriów w jednym z luksusowych butików. Skazano ją na 3 lata nadzoru kuratorskiego, 480 godzin prac społecznych, blisko 4 tys. dol. grzywny oraz zwrot ponad 6 tys. dol. za ukradzione towary.

Media wypominały jej lekomanie i kleptomanie, z którymi borykała się ponoć od zerwania z Deppem.

30-letnia Winona na dobre straciła wcześniejszą pozycję i na kilka lat usunęła się w cień. Jeżeli pojawiała się na ekranie, to w epizodach. W większej roli wróciła na duży ekran w „Czarnym łabędziu” (2010). Od 2016 r. gra w serialu Netfliksa „Stranger Things”. Za rolę Joyce Byers była nominowana m.in. do Złotego Globu. Udział w „Beetlejuice Beetlejuice” to dla niej szansa na ostateczne rozliczenie z przeszłością i przejście do kolejnego etapu. Tim Burton znów wyciąga ją do pierwszego szeregu.

FAŁSZYWI PRZYJACIELE

Z dzisiejszej perspektywy widać, że wizerunkowo krucha Winona poradziła sobie z zawodowym i życiowym kryzysem o wiele lepiej niż inne gwiazdy. Choćby Matthew Perry, odtwórca Chandlera Binga w kultowym serialu „Przyjaciele”. 28 października ub.r. znaleziono go martwego w domu w Los Angeles. Przedawował ketaminę. Stosował ją na depresję i stany lękowe. Najnowsze ustalenia

pokazały, jak bezbronny był w ostatnim okresie życia wobec działań pozornie bliskich i życzliwych ludzi: dwóch lekarzy, znajomego i osobistego asystenta, którzy czerpali zyski z nałogu aktora, dostarczając mu coraz drożej wyceniane dawki.

Media sugerowały, że uzależniony od środków psychotropowych jest też Michael Keaton. Zwłaszcza po... „Soku z żuka”, gdy w sposób tak nadekspresyjny, ekscentryczny i nieokiełznany zagrał swojego bohatera (podobno w 90 proc. improwizował zachowania Beetlejuice’a). Aktor przyznaje, że w przeszłości zdarzało mu się „imprezować z dużymi ilościami alkoholu”, ale narkotyki zawsze omijał.

W 2021 r. zagrał w miniseriale „Dopesick” („Lekomania”). Udział w projekcie miał dla niego szczególne znaczenie. Kilka lat wcześniej z powodu uzależnienia od heroiny i fentanylu zmarł jego bratanek. Za rolę lekarza walczącego z lekową korporacją Keaton zdobył drugą w karierze statuetkę Złotego Globu (w 2022 r.). Pierwszą przyniosła mu kreacja w „Birdmanie” (2014).

DLA KOGO ŻŁOTY LEW?

„Beetlejuice Beetlejuice” (w którym wystąpili też m.in. Monika Bellucci i Willem Dafoe) będzie pokazany na 81. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji poza konkursem. O główną nagrodę – Złotego Lwa – powalczą m.in.: „Joker: Folie à deux” Todda Phillipsa z Joaquinem Phoenixem i Lady Gagą, „The Room Next Door” („W pokoju obok”) – anglojęzyczny debiut Pedra Almodóvara z Tildą Swinton i Julianne Moore, „Maria” Pabla Larraina (znanego z filmów biograficznych o księżnej Dianie i Jackie Kennedy) z Angeliną Jolie w roli słynnej śpiewaczki operowej Marii Callas czy „Queer” Luki Guadagniniego według powieści Williama S. Burroughsa (tu Daniel Craig wcielił się w uzależnionego od heroiny geja).

Nagrodę za całokształt twórczości odbiorą amerykańska aktorka Sigourney Weaver oraz australijski reżyser i scenarzysta Peter Weir. Przewodniczącą tegorocznego głównego jury została francuska gwiazda Isabelle Huppert. Festiwal odbędzie się 28 sierpnia – 7 września.



Wytworny, spełniony i samotny

*Symbol złotej ery francuskiego kina,
wcielenie wymierającej Francji,
ambasador elegancji. Alain Delon
to też uosobienie intensywnego i pełnego
tajemnic życia – takiego jak postacie,
które kreował na ekranie*

Więcej niż gwiazda: francuski pomnik – powiedział po śmierci aktora prezydent Emmanuel Macron. Tym razem zapewne wszyscy się z nim zgodzimy. Już dla mojego pokolenia był postacią z bardzo dobrych, ale starych filmów. Dla wielu polskich widzów to gwiazdor z wielokrotnie pokazywanych kostiumowych przebojów, takich jak zawiadowczy „Czarny Tulipan” czy „Zorro”. Na początku 1999 r., co obserwowałem wprost z okna mojej ówczesnej redakcji przy Nowym Świecie, widziałem tłum nieco starszych już warszawiaków szturmujących EMPiK w nadziei zdobycia jego autografu, a potem jęki zawodu, krzyki oraz widok odjeżdżającego jaguara.

Nie ma więc wątpliwości, że 18 sierpnia br. odszedł ktoś wyjątkowy i prawdziwy, jak pisano – „ostatni święty francuskiego kina”, „postać mityczna”, „twardziel o twarzy anioła”, a w końcu gwiazdor, choć nie z Hollywood. Dla polityków francuskiej prawicy – wcielenie Francji wymierającej, bo, jak oświadczyła Marine Le Pen, Delon symbolizo-

wał właśnie tę jej powszechnie kochaną część, która właśnie odchodzi wraz z nim. Éric Zemmour mówił o śmierci „najpiękniejszego człowieka minionego wieku”, lider Republikanów Éric Ciotti, że odszedł patriota i człowiek prawicy zawsze broniący „pewnej idei Francji”.

Delon łączył bowiem swój dekadentyzm i buntowniczy temperament z politycznym konserwatyzmem. Z pełnym przekonaniem wspierał gen. de Gaulle’a, oprócz Louisa de Funèsa był zaangażowany w kampanie wyborcze Valéry’ego Giscarda d’Estainga i nigdy nie odwrócił się plecami do swojego, jak podkreślał, przyjaciela Jeana-Marie Le Pena. Z liderem Frontu Narodowego poznał się jeszcze w czasie służby wojskowej w Indochinach, bywał gościem w jego domu, podzielał jego poglądy. Swego poparcia oficjalnie udzielił mu jednak dopiero 10 lat temu, choć na planie „Zorro” fotografował się z Leonem Degrellem, a w 1998 r. w czasie kampanii prezydenckiej w Rosji pojechał do Krasnojarska, by wesprzeć gen. Lebieda. Bardzo pesymistycznie oceniał czasy, w których przyszło mu się zestarzeć. Mówił np., że

homoseksualizm jest sprzeczny z naturą, choć i jemu wypominano takie ekscesy.

GWIAZDA KINA

Delon na pewno był symbolem męskiego seksapilu i wyobrażeń kobiet. Wzorcową wręcz gwiazdę kina czyniły z niego nie tylko posągowe rysy twarzy i przenikliwe, niebezpieczne spojrzenie, lecz także temperament i bardzo zła reputacja, jaką cieszył się już od młodości. Ale jego życiowa droga była naznaczona brakiem miłości i samotnością.

Gdy miał zaledwie 4 lata, jego ojciec, dyrektor kina, i matka aptekarka rozszli się. Mały Alain został umieszczony w rodzinie zastępczej pod opieką niani, której mąż był strażnikiem więziennym we Fresnes. Mieszkał w internatach, był wyrzucany ze szkół, próbował uciec do Ameryki – czuł się odrzucony i niepotrzebny. Dziennikarze dostrzegli potem, że w osobach znanych reżyserów – Clémenta, Loseya, Viscontiego czy Melville’a nigdy nie przestał szukać zastępczych ojców.

W 1952 r., gdy miał 17 lat, wstąpił do wojska i pojechał na wojnę do Indochin. „Byłem tam bardzo szczęśliwy. W wojsku poznajesz przyjaciół, których nigdy nie chcesz opuścić” – wspominał. Tam jednak także rozrabiał, a po kradzieży jeepa, którym chciał samowolnie udać się na imprezę, trafił na kilka miesięcy do aresztu. Po powrocie z wojska wpadł w towarzystwo „bardzo złych chłopców” i wiele wskazywało na to, że zostanie zwykłym gangsterem albo alfonsem. Jednak przypadek sprawia, że został aktorem. Uczy się swojego rzemiosła w pracy, film po filmie wspinając na szczyty tej sztuki. Udało mu się bowiem zagrać nie tylko w popularnych i kasowych hitach, lecz także kinowych arcydziełach, także spod znaku Nowej Fali. Lata 60. i 70. XX w. to z pewnością apogeum jego kariery.

WYRACHOWANY UWODZICIEL

„Wszystko, czym jestem, od początku zawdzięczam kobietom” – przyznał niedługo Delon. I jest w tym sporo prawdy. Brigitte Auber, poznana po powrocie z wojska starsza od niego o dziesięć lat aktorka przedstawiła go Michèle Cordoue, żonie reżysera Yves’a Allégreta, która oczywiście została jego kochanką. Tak trafił na festiwal filmowy w Cannes, gdzie natychmiast został dostrzeżony, a w 1957 r. zadebiutował w dramacie Allégreta „Kiedy wmiesza się kobieta”. Delon nie tyle grał, ile żył swoimi rolami. Miała mu to podpowiedzieć właśnie Cordoue. „Mów tak, jak mówisz do mnie. Patrz tak, jak na mnie patrzysz. Słuchaj tak, jak słuchasz mnie” – te słowa stały się credo jego aktorstwa.

Postać Toma Ripleya z filmu „W pełnym słońcu” (1960), czarującego, lecz bardzo niejednoznacznego mordercy i złodzieja tożsamości, okazała się przełomowa. Tym razem młodemu aktorowi załatwiła ją Bella, prywatnie żona reżysera René Clémenta. Przez całą karierę wcielał się potem w postacie na pierwszy rzut oka pozytywne, jednak pod kostiumem eleganta skrywające lodowatego typu o wątpliwej reputacji. Raczej antybohatera niż herosa, uosobienie świata pełnego egoizmu, podbijanego przez tajemniczych i wyrachowanych ego-

centryków i ludzi moralnie skompromitowanych. W uwodzicieli, gangsterów i policjantów, wytwornych zabójców, których postępowanie wyznaczały zasady ich własnego kodeksu moralnego, mającego niewiele wspólnego z prawem. Potem przyszły kapitalne role w „Rocco i jego bracia” (1961) i „Lamparcie” (1963) Luchina Viscontiego na podstawie znanej powieści Tomasiego di Lampedusy. Film z pełną rezygnacją nostalgią portretuje schyłek świata neapolitańskiej elity wywołany rewolucją Garibaldiego. Jego pesymistyczny wydźwięk uzyskuje m.in. dzięki Delonowi, idealnie wcielającemu się w postać cynicznego szlachcica Tancrediego Falconeriego, będącego symbolem nowej epoki.

Delon na ekranie to jednak przede wszystkim „Samuraj” (1967) „prawicowego anarchisty” Jeana-Pierre’a Melville’a. Film, nieraz krytykowany ze względu na swoje przesłanie polityczne, to mocna rzecz. Wykreowana w nim postać do bólu stoicko wyrachowanego płatnego zabójcy stała się wręcz archetypem kinowego antybohatera, a sam film, powszechnie uważany przez wielu reżyserów za arcydzieło, wzorcem minimalistycznego kryminału. Podobne kreacje stworzył potem m.in. w obrazach „W kręgu zła” (1970) czy „Glina” (1972). Cynicznego drania odegrał także w jednym z najlepszych kafkowskich filmów Josepha Loseya pt. „Mr. Klein” o Paryżu czasów okupacji. Nie stronił bowiem od wątków politycznych; był obsadzany przez reżyserów o często lewicowych sympatiach. W „Zemście OAS” (1964) Alaina Cavalliera, dramacie, którego fabuła dotyczyła niezwykle aktualnego dla Francji problemu wojny w Algierii, znów wcielił się w rolę legionisty biorącego udział w porwaniu prawniczki wspierającej algierskich bojowników. Francuskim echem i odpowiedzią na aferę Watergate była też „Śmierć człowieka skorumpowanego” z postacią biznesmena zderzającego się ze światem skorumpowanej polityki.

„ODCHODZĘ BEZ ŻALU”

Pięć lat temu aktor przeszedł udar, a w końcu dopadł go także nowotwór. Między jego dziećmi wybuchł rów-

nież spór o opiekę i kuratelę nad jego wielkim majątkiem, który został rozstrzygnięty dopiero na drodze sądowej. Poza ekranem Delon potrafił bowiem zarabiać duże pieniądze. Ale komunikat o śmierci przekazała wspólnie cała trójka rodzeństwa zapewniając, że zmarł spokojnie w otoczeniu rodziny w swoim domu w Douchy, podparyskiej rezydencji, gdzie w ostatnich latach lubił odpoczywać samotnie w towarzystwie swoich licznych psów. Także tych 35 pochowanych w ogrodzie, w którym także on sam postanowił spocząć, uzyskując do tego zawczasu wszelkie zezwolenia.

Miłość do czworonogów dzielił przecież z Brigitte Bardot, która w napisanym odręcznie i bardzo osobistym wspomnieniu wyznała, że był „ambasadorem elegancji, talentu i piękna”, a przede wszystkim jej męskim „alter ego”, przyjacielem i współnikiem. Z Bardot podobno do niczego nie doszło, jednak małżeństw i romansów, z których większość była bezduszna i znaczone wieloma skrzywdzonymi kobietami, było aż nadto. W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć o thrillerze „Basen” (1969) z Romy Schneider i Delonem w rolach głównych. Aktorzy zanim pojawili się na jego planie, byli nawet zaręczeni. Komentowany, podpatrywany przez prasę związek niestabilnego emocjonalnie Delona z piękną Niemką, która natychmiast nauczyła się dla niego francuskiego, został jednak przerwany. Pięć lat po rozstaniu reżyser Jacques Deray nieoczekiwanie skłonił parę do współpracy, co na ekranie przyniosło piorunujący efekt. Delon był miłością jej życia, aż do tragicznej, prawdopodobnie samobójczej śmierci w 1982 r. W 2008 r. Schneider została pośmiertnie uhonorowana Cezarem, a statuetkę symbolicznie wręczał jej Delon, składając publicznie hołd swej Puppel.

Pod koniec lat 90. zapowiedział, że powoli rozstaje się się kinem. Z roku na rok, choć spełniony, zdawał się być coraz bardziej wyobcowany. „Odchodzę z tego świata bez żalu. Nienawidzę obecnych czasów” – wyznał w jednym z wywiadów.

Maciej Walaszczyk

Satanic panic

Historia, którą chcę opowiedzieć, rozpoczęła się mniej więcej siedem lat temu. Nagle pojawiły się u mnie różne dolegliwości fizyczne, bóle, drętwienia całego ciała, szумы w uszach, bóle kości. Diagnozy były sprzeczne, terapie nieskuteczne. Po kilkunastu konsultacjach u specjalistów uznałam, że dolegliwości mają charakter psychosomatyczny. Szczególnie że niekiedy utrudniały codzienne funkcjonowanie, zasypianie, innymi razy nie było ich właściwie wcale.

W tym czasie, o czym nie wiedziałam, mama zaczęła się modlić za mnie, odmawiając nowennę pompejańską. Sama byłam ateistką, nie jakąś bardzo zaciętą, natomiast moje próby odkrycia Boga, podjęte jeszcze na studiach, w dorosłym życiu spełzły na niczym. Po prostu nie wierzyłam, że za wiarą stoi coś więcej niż zwyczaj i tradycja.

Bóle cały czas się pogłębiały, miałam też problemy z zasypianiem, częściowo związane z bólem, częściowo z intensywną pracą w systemie zmianowym.

Kiedyś próbując zasnąć włączyłam filmik Klaudii Pingot, mający pomagać w zasypianiu. Wcześniej medytowałam z nią dosłownie kilka razy. Medytacje typowo relaksujące, bez jakiegos „oczyszczania czakr” czy uzdrawiania „energią quantum” – takie rzeczy uważałam za wariactwo.

W jej filmiku na dobranoc mamy sobie wyobrazić, że jesteśmy na łące, idziemy do rzeczki, przechodzimy przez mostek do zaczarowanego lasu, ona opisuje ten las, później dochodzimy do doliny, na końcu doliny góry, zza nich wychodzi słońce, które na nas świeci – to energia wszechświata. W tym momencie Klaudia zachęca, aby otworzyć serce na tę energię i pomyśleć intencję. Miałam chwilę wewnętrznego oporu, bo co za jakieś energie, ale jednocześnie druga myśl – no właśnie, taka jesteś spięta, dlatego cię wszystko boli, więc pomyślałam, że się otwieram i chciała-

bym być zdrowa. Momentalnie poczułam, jakby sznur energii wchodzący w moje ciało po prawej stronie kręgosłupa lędźwiowego krążył po obu jego stronach, wstępując do góry, rozluźniając spięte mięśnie.

Do pewnego momentu uznawałam, że są to właśnie samolecznicze możliwości organizmu. Dopiero kiedy zaczęłam mieć wrażenie, że coś mnie dotyka, doszło do mnie przerażające podejrzenie, że krąży po mnie coś duchowego, tym bardziej że pojawiły się niewielkie ruchy mimowolne całego ciała. Nie chcę tu nadmiernie wchodzić w szczegóły, bo dużo by mówić o tym, jak w kolejnych dniach, mimo że już nie medytowałam, pojawiały się nowe objawy: dłonie same zaczęły mi się układać w mudry – wtedy nawet nie wiedziałam, czym jest mudra, dowiedziałam się dopiero z Google, a później okazało się, że moje ciało bezwiednie układa się w asany znane z jogi.

Gdy opowiedziałam o tym bliskim, nie widzieli w tym problemu. Na YouTube znajdziemy miliony filmików o tym, że są to naturalne rzeczy podczas praktyki jogi i medytacji, niegroźne, a wręcz pożądane przebudzenie energetyczne. Niestety sprawa się nasilała. Zaczynałam mieć wrażenie, że to nie jest bezpostaciowa energia, lecz osobowa, świadoma inteligencja. W ramach sprawdzenia, co się dzieje i co to robi, namalowałam bezwiednie obraz: mówię „namalowałam”, choć tylko trzymałam pędzel, ruchy wykonywał ktoś inny. Potem okazało się, że potrafi też komunikować się poprzez pismo automatyczne. Miało informacje z mojej przeszłości na temat nieznanych mi rodzinnych historii, które później potwierdziła mama. Podszycowało się pod Anioła Stróża, Boga itp. Kiedy to coś zaczęło wydawać mi rozkazy, których nie chciałam spełnić – chciało ze mnie zrobić bioenergoterapeutkę – pojawił się bardzo silny ból. Mama stwierdziła, że Bóg nie robi takich rzeczy i zaczęłyśmy



ROBERT TEKIELI

się modlić na różańcu, poszłam też do spowiedzi, pierwszej od 10 lat. Ten etap „komunikacji” trwał kilka dni. Strach pomyśleć, co by było, gdyby do niego nie doszło, bo pewnie nigdy bym nie odkryła, kto za tym wszystkim stoi.

Od filmiku Klaudii Pingot do pierwszego odmówionego przeze mnie różańca minął mniej niż miesiąc. Był to czas krótki, ale bardzo intensywny, w sumie to, co przeżyłam, jest nie do opisanie. Późniejsze walki duchowe, dręczenia to opowieść na książkę. Szukanie egzorcyisty i same egzorcyzmy to też temat rzeka. Obecnie kapłana, który się nade mną modlił, przeniesiono i znowu jestem na etapie szukania. Znaleźnienie kapłana, który wierzy w istnienie osobowego zła, posiada choćby podstawową wiedzę w tej dziedzinie, jest w odpowiednim stanie duchowym do takiej walki i chce posługiwać jako egzorcyista graniczy z cudem, tak więc modłę się o cud.

Przed tą medytacją na sen Klaudii Pingot, próbując sobie pomóc, chodziłam na masaże, szukałam pomocy u psychologa. Oprócz terapii zalecił jogę, prowadziłam też medytacje relaksujące prowadzone przez narratora z filmikami z YT: relaksująca muzyka, rozluźnianie po kolei partii ciała, oczyszczanie umysłu z napływających myśli itp. Chodziłam też na biorezonans, mimo iż jako osoba o racjonalnej i pragmatycznej umysłowości wiedziałam, że taka

„terapia” nie ma podstaw naukowych. Uznałam jednak, że nieważne, czy coś działa w znany mi sposób, czy działanie jest podświadome typu placebo. Jeśli można oszukać moją podświadomość, tak aby przestała wywoływać moje dolegliwości, byłam bardzo za. W trakcie tych sesji miałam różne dziwne odczucia w ciele, np. mrowienia. Pani obsługująca maszynkę twierdziła, że to dobrze i „porządkuje mi się energia”, ale ponieważ nie wierzyłam w żadne energie, postanowiłam ignorować te uczucia.

Wracając do głównego tematu. Osób takich jak ja, z dziwnymi dolegliwościami nie do zdiagnozowania i nie do wyleczenia, które mają przyczynę duchową, jest naprawdę mnóstwo.

Jednocześnie u ludzi bez wcześniej-
szych obciążeń, takich jak moje, za-
pewne nie dojdzie do tak drastycznych
konsekwencji jak w moim przypadku,
ale jestem przekonana, że wszyscy
słuchacze Klaudii Pingot odnoszą du-
chową krzywdę. Sami nie będą wie-
dzieli, dlaczego rozpadła się rodzina,
dlaczego pojawiły się problemy ze zdro-
wem psychicznym bądź fizycznym,
dlaczego dziecko ma koszmary sennie.

W moim przypadku medytacja
z Klaudią Pingot była tylko dolaniem
oliwy do ognia i ujawnieniem proble-
mu; niemniej jej działalność jest bar-
dzo szkodliwa.

Najbardziej podstępne w tej aktywno-
ści jest to, że zaczęła ona jako psycholog,
zajmowała się rozwojem osobistym,

relaksacją i powoli, ale konsekwentnie
wchodziła w okultyzm, po czym zapro-
siła w tę podróż swoją widownię. Nigdy
nie włączyłabym filmiku o „oczyszczaniu
czakr” czy „energiach”, ale już na relaksa-
cję, która ma pomóc w zasypianiu, dałam
się skusić. Tak po trochu, niewinnie, pod
płaszczkiem psychologii Klaudia Pin-
got wprowadza słuchacza nawet w ko-
munikację ze zmarłymi przodkami!

Pani Klaudia sama pewnie nie od-
czuwa żadnych nieprzyjemnych kon-
sekwencji swojej okultystycznej przy-
gody, bo jest narzędziem łapiącym dla
diabła wiele dusz. Ktoś powie: „satanic
panic” albo „dawanie diabłu niepo-
trzebnie dużo uwagi”. Odpowiem tak:
walki duchowej nie widzi ten, kto jej nie
prowadzi.

WOJNA

CYWILIZACJI



są jednak bolesne. Kobietom nie wypomina się wieku, ale od
bohateerek filmów akcji wymaga się jednak pewnego poziomu
sprawności. Mimo wszystkich słabości, film jest przeciętny,
ale do obejrzenia.

Warte Dopelnieniem powieś-
ciowego cyklu science
fiction Michała Cholewy „Algorytm
wojny”, o którym jakiś czas temu
pisałem z zachwytem, jest zbiór
opowiadań „Echa”. Wszystko dzieje
się w tym samym uniwersum: bę-
dący przyszłością naszej cywilizacji
XXIII-wieczny świat, rzeczywistość
zmodyfikowana przez bunt sztucz-
nych inteligencji, a w niej rozpro-
szona w kosmosie ludzkość walcząca
z samą sobą i AI o przetrwanie. Cho-
lewa lepiej realizuje się na szerokim narracyjnym oddechu,

ale i tak każde z sześciu opowiadań jest bardziej niż przyzwo-
ite, w tym jedno świetne, a jedno śmieszne. W tym ostatnim,
„Smok, czarownica i stary Szafa”, słyszymy delikatne echa
przygód pilota Pirxa i humor jak z powieści Jaroslava Haška.
O ciekawej rozgrywce z AI traktuje nowela „Wyższa koniecz-
ność”. Przeniesienie akcji tytułowego opowiadania „Echa” do
mroźnej Finlandii kilka dni po prawie całkowitej zagładzie
ludzkości przez zbuntowane maszyny przynosi bardzo cie-
kawie efekty. Podobnie pozostałe historie mają zaskakujące
pointy, czytelnikowi na pewno nie znudzi się podróż do tego
świata.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Może być Jeśli masz czas do zabicia, ta sensacyjna
komedyjka nie zrobi ci krzywdy. Mark
Wahlberg i Halle Berry od lat trzymają pewien aktorski po-
ziom, a sam film jest atrakcyjny wizualnie. Pewnie mocne cię-
cia przyspieszyłyby akcję, romantyczny wątek byłby łatwiej-
szy do przelknięcia, gdyby pomiędzy dwojgiem głównych
bohaterów pojawił się choćby cień chemii, ale, jak mówię,
nie walczone tu o Oscary.

Tytułowy „Związek” to prywatna superorganizacja szpie-
gowska na usługach amerykańskich służb specjalnych. Od
setek podobnych, znanych już z bardzo wielu produkcji fi-
lmowych odróżniają to, że rekrutuje nie na oksfordzkich cam-
pusach, a placach budów i w fabrykach. Grany przez Wahl-
berga Mike, robotnik z Jersey, został więc zwerbowany przez
swą dziewczynę z podstawówki i ma obronić wolny świat
przed ujawnieniem listy wszystkich zachodnich agentów
na całym globie. Tu dochodzimy do poziomu absurdu, który
jest wymagany od bondów, więc możemy przymknąć oko na
serię tautologii i lopatologii. Niektóre złe wybory castingowe

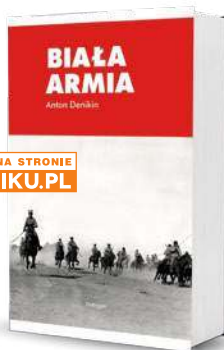
Patriota dawnej Rosji

Gen. Anton Denikin początkowo popiera zmiany polityczne w Rosji, wspierając powstanie rządu Kiereńskiego. Gdy jednak ten sprowadza na nią katastrofę, swoje zadanie widzi wyłącznie w poskromieniu przemocy i anarchii oraz obronie resztek państwa, zarówno przed Niemcami, jak i zainstalowanymi w nim bolszewikami. Tak powstają „białe” antybolszewickie formacje, w tym dowodzona przez Denikina i operująca na południu Armia Ochotnicza. Książkę tę napisał już w międzywojniu jako emigrant. Zdaje w niej szczegółową relację ze szlaku bojowego, który przeszedł, poczynając od kampanii prowadzonych na Kubaniu przez walki na Kaukazie Północnym, nad Donem i Ukrainie aż do odwrotu nad Morze Czarne. Zwraca uwagę na uzależnienie bolszewików od swoich mocodawców, a więc niemieckiego sztabu generalnego. Trafnie odczytuje obowiązującą wówczas strategię. Część niemieckiej generacji uważała bowiem, że należy zdławić rewolucję, wesprzeć siły antybolszewickie i ułożyć relacje z nową Rosją. Tak kalkulowali przecież także Dmowski oraz politycy ententy. W niemieckim sztabie przeważał jednak pogląd, że wielki zamęt rozpętany w tak wielkim kraju jest korzystny. Tak samo myślał Piłsudski, uchylając się od pomocy Denikinowi, co ten już zawsze będzie uważał za ostateczną przyczynę zwycięstwa Lenina nad „białymi”.

Denikina zadziwia także zubożenie własnego narodu, w tym inteligencji, na rewolucyjny chaos. Jego zdaniem niemrawy opór powoduje „niewolnicza mentalność mas”, jak i „nieprzezwyciężone zarzewie trudnych do pogodzenia różnic” między burżuazją, proletariatem i chłopstwem. Wyzyskuje to Lenin, zaostriżając politykę powszechnej polaryzacji. Bolszewicy prowadzą też wojnę totalną, a tych, którzy z uporem maniaka nie rozróżniają dawnej Rosji i jej bolszewickiego awatara, może przekona poniższa historia. Wiosną 1918 r. śmiertelnie ранego gen. Korniłowa pochowano w jednej z osad pod Jekaterynodarem. Po kilku dniach jego ciało wykopal bolszewicy, ciągnąc potem po ulicach, wieszając na drzewach, by w końcu zabrać je do rzeźni i spalić. Dziś Rosja odwołuje się zarówno do sowietyzmu, jak i pamięci antybolszewickich generałów. W 2005 r. szczątki gen. Antona Denikina, uważanego w czasach sowieckich za zdrajcę, zostały przewiezione ze Stanów Zjednoczonych i z wielką celebrą pochowane w Monastyrze Dońskim. I taka jest dzisiejsza Rosja.

Anton Denikin, „Biała Armia”, De Reggio 2024

DO KUPNIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Maciej Walaszczyk

Słuchając tych utworów, wiemy natychmiast, że mają one niewiele wspólnego z walkami na barykadach, bombardowaniami, egzekucjami, ruinami, trupami, miłością i przyjaźnią, przenoszeniem meldunków pod ostrzałem, ewakuacją kanałami, strachem czy entuzjazmem. O miłości do Polski, nawet metaforycznie, chyba też nic, nie mówiąc już o nienawiści do wroga. Czegoś jednak te nagrania przecież dowodzą. Na pewno tego, że piosenkarka, której Muzeum Powstania Warszawskiego zleciło rolę „kuratorki oraz dyrektorki artystycznej” płyty na okoliczność 80. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, sama nie wie, po co podjęła się tego zadania.

Taki już los wymyślonych przez show-biznes artystek, choć czasem bardzo utalentowanych. Ta płyta to też w jakiś sposób odbicie stanu ducha dzisiejszej Warszawy – pokonanej, wtedy zrujnowanej, a dziś zabetonowanej, zaprzadanej przez tutejszych i kolonizujące ją „słoi”. Warszawy z wciąż nową tożsamością. Gdy 26 lat temu przeprowadziłem się do stolicy, co roku 1 sierpnia zawsze odwiedzałem Powązki. Ci, którzy chcieli pamiętać, z wznoszącą i subtelną powagą celebrowali ten dzień. Głośny patos, który wniosła do tego stanu prawica i próba jego konfiskaty przez zazdrosną „warszawkę”,

Nieporozumienie



zrodził jednak dziwaczne owoce. Tyle ma to wszystko wspólnego z powstaniem, co molochy centrów handlowych i strzeżonych blokowisk, zasiedlonych przez nieznających się ludzi, z Warszawą. Owszem, znajdują się one w granicach miasta i pełnią jakąś użytkową rolę.

Nie jestem uprzedzony do Moniki Brodki, bo rewelacyjna wersja „Spotkania z Warszawą” Ireny Santor zapowiadała, że będzie to coś interesującego. To jednak tylko przeróbka starej piosenki i na tym koniec. Zebrała ona na tej płycie utwory trafiające w próżnię, bo i wykreowane na jałowym gruncie. Tysiące ludzi co roku przychodzą śpiewać powstańcze piosenki, w milczeniu zatrzymują się w czasie godziny W, by w nastroju powagi i – a jakże – patriotycznego uniesienia czcić bohaterów powstania warszawskiego. Inaczej się nie da i nie wypada. Patos, skryształowane w tej chwili najsubtelniejsze uczucia miłości i nienawiści to jedyny

możliwy wyraz takiej celebrы. Próba wyjścia poza tę formułę okazuje się porażką, nie tylko dlatego, że Brodka ją programowo odrzuca. Z powstańczym etosem i duchem nic jej po prostu nie łączy. Może jedynie niefortunny przypadek, taki jak Rafała Trzaskowskiego z Muzeum Powstania Warszawskiego.

Brodka, „WAWA”, Muzeum Powstania Warszawskiego, Kayax P&P 2024

W Memphis, czyli w domu

Elvis Presley bez retuszu, żywiołowy i melodramatyczny – biały chłopak z Południa oślepiiony blaskiem świata

Zbiór 111 utworów na pięciu płytach tworzy antologię wyjątkową, gromadząc nagrania Presleya dokonane wyłącznie w studiach w rodzinnym Memphis. Tam, gdzie 70 lat temu nieznany nastolatek z Tupelo wyrzesał iskrę, która rozpałała rock'n'rollową rewolucję, zmieniając też kształt amerykańskiej kultury. Ściśle wiąże się to także z najgorętszym politycznie okresem współczesnej historii USA, kiedy program budowy wielkiego społeczeństwa eksplodował podsyconą przez skrajną lewicę młodzieżową rewolucją oraz napięciami na tle rasowym. Zanim jednak do tego doszło, Ameryka przyjęła na siebie ciężar głównego obrońcy Zachodu przed komunizmem, budując przestrzeń dobrobytu i wolności nierozłącznych z pielęgowanym w nich rodzajem konserwatywnego etosu. Jednak w ciągu 20 lat stan ten uległ gwałtownym przeobrażeniom, a historia kariery Presleya idealnie to ilustruje. Zawiera w sobie zarówno przekroczenie obyczajowych barier, jak i afirmację amerykańskich tradycji, symbolicznie przypieczętowaną spotkaniem ze zniechęconym przez lewicę prezydentem Nixonem.

Wszystko zaczęło się lipcu 1954 r., gdy właściciel Sun Studios Sam Phillips dał szansę ekstrawagancko ubranemu i nieśmiało 19-latkowi, wydając nagrań dwa tygodnie wcześniej nową wersję „That's All Right” Arthura „Big Boya” Crudupa – optymistycznego bluesowego utworu, będącego regionalnym przebojem na południu USA. Na stronie B krążka umieszczono również kapitalny „Blue Moon of Kentucky”, który w jego interpretacji przekroczył granice stylu country western. Muzyka i śpiew Presleya łączyły w sobie bowiem czarnego bluesa z białym folkem, echa kościelnych negro spirituals i ekstazy, w jaką wpadali śpiewający murzyńscy kaznodzieje. Antologia ta wyciąga z Presleya to, co najważniejsze, choć przeboje typu „All Shook Up” i „Teddy Bear” przemakają jedynie we fragmentach koncertu z lat 70., a „Blue Suede Shoes” nawet tutaj nie znajdziemy.

Pierwszy krążek zawiera utwory nagrane w Sun Studios w 1954 i 1955 r. Ułożone chronologicznie przez Ernsta Jørgensena dokumentują klasyczny okres – przyspieszone rytmy rockabilly i oszczędne instrumentarium brzmią surowo, definiując styl. Pozostałe nagrania zostały poddane remiksowi Matta Rossa-Spanga. Postanowił on pozbawić je dogrywanych potem gitar, chórów, orkiestracji i sekcji dętej. Słyszymy więc dokładnie to, co Król słyszał w słuchawkach w czasie nagrań, bez często kiczowatej polityry wymuszanej przez producentów.

Druga płyta to sesje nagraniowe w „fabryce hitów”, a więc American Sound Studios w 1969 r. Odbyły się one zaraz po triumfalnym, bożonarodzeniowym powrocie Elvisa znaczącym wydaniem „The '68 NBC TV Comeback Special”.



Presleyowi towarzyszy tu znakomity sesyjny zespół Memphis Boys, złożony ze specjalistów grających zarówno bluesa, soul, jak i rockabilly, wcześniej akompaniujących m.in. Jerry Lee Lewisowi i Johnny'emu Cashowi. Efekt okazał się niesamowity, gdyż zaziębiony i zachrypnięty gwiazdor wyrzesał z siebie wszystko, tworząc tam jedne ze swoich najważniejszych piosenek: „In the Ghetto” i „Suspicious Minds” oraz zaśpiewaną z melodramatyczną pasją wersję „Long Black Limousine”.

Trzecia płyta to zapis sesji dla Stax z grudnia 1973 r. Nie jest aż tak udana, choć zawiera „Promised Land” Chucka Berry'ego, przeobrażony w potężny i porywający rock'n'rollowy klasyk, czy esencję stylu country w „You Asked Me To”. Presley przeżywał już wtedy osobisty dramat, przez co „There's A Honky Tonk Angel (Who Will Take Me Back In)” nagrana kilka tygodni po orzeczonem rozwodzie uderza słuchacza silną nostalgią.

Na czwartej płycie dysku są nagrania na żywo z występu w Mid-South Coliseum z 1974 r. To jeden z licznych i żywiołowych koncertów z tego okresu, udowadniający, że występy Presleya były spektaklami najwyższej próby.

Ostatni zestaw utworów został nagrany już w posiadłości w Graceland w słynnym Jungle Room, rok przed śmiercią. Pokój zamieniono w studio nagraniowe, rejestrując w nim nie bez trudności kilkanaście piosenek. Obok uwodzicielsko swingującego „For the Heart” czy energetycznego „Way Down” w większości pełnych żalu i rozpacz. Takich jak „He'll Have to Go” – podobno ostatniej, jaką udało mu się nagrać.

Elvis Presley, „Memphis”, RCA 2024

Ksiądz z pistoletem - „Powstanie 1863”

Dzięki Canal+ z ciekawością nadrobiłem zaległość, jaką był „Powstanie 1863” Tadeusza Syki. Nie tylko dlatego, że to pierwszy od lat filmowy obraz powstania styczniowego. Z niezwykle bohaterskim: ks. Stanisławem Brzóska. Duchowny na czele partyzanckiego oddziału to paradoks. Dodatkowym magnesem mógł być Sebastian Fabijański, odtwórca głównej roli. Aktor malowniczy, o burzliwej przeszłości, który przyznawał, że na planie tego filmu doznał religijnego przełomu.

Syka, który w swej poprzedniej produkcji zajął się przeżyciami Stefana Wyszyńskiego podczas II wojny światowej, robi słuszne filmy, które mogłyby być lepsze. „Ty mnie nie maluj na kolanach. Ty mnie maluj dobrze” – triumfuje lewicowiec Jakub Majmurek, cytując wymyślony dialog Boga z malarzem Styką. Z jego wyводу wynika skądinąd, że tematyka i przesłanie są mu obce.

Mnie bliższy jest pogląd Łukasza Adamskiego. To był materiał na ciekawy obraz historyczny i okruciny tego widzimy na ekranie. Ale okruciny to za mało. Za dużo tu fabularnych niejasności, postaci, o których nie wiemy, kim są i co nimi kieruje.

Niejasne pozostają motywacje głównego bohatera, każące mu przyłączyć się do powstania w roli kogoś więcej niż kapelana. Problem moralnych dylematów księdza, który próbuje być z powstańcami, ale nie zabijać, jest sygnalizowany, choć niejasno. Pojawiający się biskup (grany przez Olgierda Łukaszewicza) nie widzi w tym problemu. Ale przecież, pomijając już kwestię indywidualnego sumienia, Kościół katolicki nie pochwalał tamtej walki. Oczekiwałbym choć strzępków etycznych i politycznych rozterek.

Mocniej akcentowany jest problem odwrotny. Franciszek Wilczyński, kuzyn księdza grany przez Ksawerego Szlenkiera, ma pretensje o to, że główny bohater nie chce zabijać. Czy istotnie dla ludzi XIX w. odrębność powinności księdza byłaby tak drażniącą? Skądinąd ten motyw wzajemnego napięcia ożywia film, także dzięki znakomitym rolom Fabijańskiego i Szlenkiera.

Mamy za to sporo chaosu na drugim planie. Kim jest

grany przez Marcina Kwaśnego człowiek w sukmanie towarzyszący hrabiance Konarzewskiej w jej dworze? Chłopem? Przedstawicielem szlachty zagrodowej, której było pełno na Podlasiu? Ich bliskość wydaje się wykraczać poza standardy epoki. I do końca nie wiemy, jaką naturę mają ich relacje.

Film stawia pytania o sens powstania. Brzóska jest przekonany, że nadejdzie pomoc Anglii i Francji. Potem pojmuję, że powstańcy są skazani na samotną klęskę. Zarazem sens jest odnajdowany w scenach początkowych i w finale. Antek, syn postaci granej przez Kwaśnego, który w powstaniu styczniowym brał udział jako dziecko, zgłasza się na front w 1920 r. W wersji starszej gra go Daniel Olbrychski. Mamy więc sztafetę gotowości służenia ojczyźnie. Mnie to nie razi. Wierzę, że romantyczny paradygmat w 1920 r. pomógł Polakom przetrwać nawałę.

Nie razi mnie też „bieda” tej produkcji. Powstanie styczniowe było biedne, kameralne, zepchnięte do lasu. Razi za to polityczne „ulizanie”. Czy wszyscy podlascy chłopcy pomagali powstańcom? Nie do końca przekonywały mnie sceny



z Rosjanami pokazywanymi wyłącznie jako dzikie bestie. W sposób tak przesadny, że zakrawający na groteskę.

Ale może dziś, kiedy Rosja po raz kolejny pokazuje swoją naturę, ta gruba krecha znajduje uzasadnienie? Może demoniczny mjr Maniukin, grany przez polsko-ukraińskiego aktora Wacławsława Boguszewskiego, jest ilustracją tezy o immanentnej obcości polskiej i rosyjskiej cywilizacji? Może to formułowana *post factum* przestroga? Gdybyśmy nie wierzyli, groziłoby nam wsiąknięcie w logikę ruskiego miru.

Piotr Zaremba



Flamenco, corrida, malaga i wszystko jasne

Słońce powoli zachodzi, ale upalny dzień zdaje się nie mieć końca. Malaga pachnie ziołami, owocami morza i białym winem. Gdzieś na starówce rozbrzmiewają hipnotyzujące dźwięki flamenco. Z ciekawości zaglądamy do starej kamienicy. Staruszka gestem zaprasza do środka



PIOTR OSTROWSKI

Malaga, gorąca, pełna barw i aromatów, szykuje się na wieczorną fiestę. Zapełniają się restauracje i bary tapas. Codziennie gdzieś odbywa się wieczór flamenco, a dziś w miejscowej szkole muzycznej przy Museo de Arte Flamenco z niezwykłą kolekcją gitar i strojów. W każdy piątek spotykają się tu mieszkańcy, aby w familijnej atmosferze dać się ponieść magicznym dźwiękom. Bo

flamenco to nie tylko muzyka i taniec, lecz także kulturowe i pokoleniowe spoivo, symbol andaluzyjskiego życia. Słyszac muzykę, ciekawi zaglądamy przez uchyloną bramę. Starsze panie widzą naszą niepewność, więc szerokim gestem zapraszają do środka na koncert. To sąsiedzkie spotkanie, na które przychodzą młodzi i starzy, gdzie przy szklaneczce wina wymienia się informacje, plotki, toczy pogawędki i słucha ludowych pieśni. Jesteśmy jedynymi turystami, ale mieszkańcy witają nas ciepło i dostawiają dwa gościnne krzesła.

– Jesteście z Polski? Byliście już na wieczorze flamenco? Nie? To posłuchajcie naszej Isabel! – zachęca Valentina, jedna

z krzątających się gospodyń wieczoru. Podaje ciasto własnego wypieku na serwetce i białe wino w musztardówce. – Czestujcie się. Za każdą porcję ciasta czy wina wrzucicie do pudełka 1 euro – wyjaśnia po hiszpańsku. – Żeby się koszty zwróciły – rzuca na odchodne z szerokim uśmiechem.

Na scenę wychodzi młoda Hiszpanka w czarnej sukni wraz z gitarzystą. Przy gromkich brawach oboje siadają przy stole i zaczynają niezwykle koncert.

Szybko sprawdzam: Isabel Guerrero, wybitna śpiewaczka, prawdziwa gwiazda flamenco, która wielokrotnie towarzyszyła innemu znanemu muzykowi – Diego El Cigala. Piękna, zdolna i bardzo znana.



W czasie występu publiczność w skupieniu słucha ognistego i jednocześnie rzewnego flamenco, aby nagle żywo zareagować na jakiś fragment pieśni. „Ole, ole!” – wznosi się okrzyki i kieliszki. Bo flamenco to śpiewane poematy, niekończące się opowieści z przeszłości. Godzinny koncert był bezpłatny – estrada libre!

TEMPERAMENT ANDALUZJI

I wszystko jasne jak słońce! Nie trzeba chyba więcej słów, by określić to niezwykle miejsce. Plaże, kultura i kuchnia to wystarczające powody, by wybrać się do Andaluzji. Malaga, Sewilla czy Ronda to miasta o przeszłości, której mogą pozazdrościć Włosi i Grecy. Tutaj od razu czuć temperament i ogień, a także nostalgię i romantyzm.

Wszechobecne na ulicach dźwięki gitar i flamenco tworzą niezwykłą atmosferę miejsca. Nawet corrida ma w sobie coś romantycznego. Nie chodzi o krwawą walkę z bykami, ale całą aurę roztaczającą się wokół wysportowanych torreadorów, narodowych bohaterów czczonych przez miliony.

Andaluzja położona na południu Hiszpanii rozciąga się od Portugalii aż do Murcii. To wielka i odrębna kulturowo kraina. Historia tych terenów sięga tysięcy lat, mieszały się tutaj wpływy wielu kultur i religii. Costa del Sol to niemal całe południowe wybrzeże Hiszpanii z wielką ofertą turystyczną, gdzie sezon trwa praktycznie cały rok. Zimą temperatury oscylują wokół 20 st. Wprawdzie z Polski leci się tam cztery godziny, ale rekompensują to niedrogie bilety i lotnisko w samej Maladze, co pozwala zaoszczędzić czas i pieniądze na przejazdy. A Malaga i okolice są warte każdego trudu.

Południe Hiszpanii to także kulinarny raj. Z jednej strony bogactwo Morza Śródziemnego, z drugiej żyzne doliny sięgających ponad 3 tys. m gór Sierra Nevada i Sierra Morena. Tutejsze specjały to owoce morza, ryby, oliwa i wino malaga. Nazwę „malaga” noszą też znane andaluzyjskie lody i czekoladki.

MIASTO MAURÓW I PICASSA

Historia Malagi liczy prawie 3 tys. lat, a pierwsze budowle wzniesli Fenicjanie. Dziś zabytki są tu dosłownie na wyciągnięcie ręki. Z głównym deptakiem sąsiaduje rzymska twierdza, przebudowana w IX w. przez Maurów. Pozostała po nich arabska nazwa

fortyfikacji – Alcazaba oraz charakterystyczne dla architektury mauretańskiej łuki. Wspaniale odrestaurowana i utrzymana kusi wypielegnowanymi ogrodami pełnymi kwitnących róż i drzew cytrusowych.

W ich cieniu urządzamy piknik: melon, pomidory, owczy ser i salami. Wszystko z targu. Do tego białe wino z Kastylii, bo miejscową malagę trudno przelknąć w taki upał. Turyści nam zazdroszczą, a przechodzący strażnik mówi, że ratuje nas zakąska, bo samego wina nie wolno spożywać na terenie mauretańskiej budowli. A piknik jest dozwolony. Viva España!

Rozciąga się stąd piękna panorama na miasto i port, ale jeszcze bardziej imponujący widok ujrzymy z górujących nad Alcazabą ruin zamku Gibralfaro, wzniesionego przez muzułmanów w XIV w. Przy dobrej pogodzie można stamtąd dostrzec Gibraltari i góry Atlas. U podnóża twierdzy Alcazaba odkryto rzymski teatr z I w. p.n.e. W doskonale zachowanym i odrestaurowanym amfiteatrze odbywają się spektakle, koncerty i zajęcia edukacyjne dla dzieci. Przez szklaną piramidę na środku deptaka można zejść do podziemi starożytnej budowli.

Malaga to miasto artystów, co widać i słychać na każdej niemal ulicy. W oczu rzucają się kolorowe graffiti i nieco staroświeckie, ale pełne uroku szyldy i zdobienia elewacji wykonane z azulejos – misternie malowanych kafli, których nazwa wywodzi się z arabskiego i oznacza polerowane kamienie.

Andaluzyjczycy kochają swoich torreadorów i pieśniarzy flamenco, a także malarzy. Najslynniejszym z nich jest Pablo Picasso, który urodził się w tym mieście i spędził tu dzieciństwo, a potem wielokrotnie powracał. W muzeum jego imienia można obejrzeć kolekcję jego dzieł,

a w innej części miasta – jego rodzinny dom. Z okna hoteliku Teatro Romano widzę miejsce, w którym żył, tworzył i pił wino Picasso. Tuż obok muzeum, w którym dominują szkice słynnych prac artysty z jego młodości, znajduje się bar tapas. Świetna kuchnia, dobre wino i wszechobecny duch Picassa sprawiają, że na Plaza de la Judería zawsze jest tłoczno. Jakby tego było mało, często pojawiają się tu celebryci, a nawet córka Picassa Paloma, co potwierdzają liczne fotografie vipów w barze. Javier, recepcjonista z naszego hotelu, zapewnia, że dosłownie pod oknem mojego pokoju w słynnym El Pimpi często jada obiady Antonio Banderas. Prawie jak w Hollywood.

KRÓLEWSKA CORRIDA I HEMINGWAY

Perelką Andaluzji jest Ronda, oddalona od Malagi o 100 km. Rozsławił je Ernest Hemingway, który mawiał, że to najpiękniejsze miasto Hiszpanii. Tak bardzo pokochał to miejsce, że był tam stałym gościem. Położona w górach Ronda składa się z dwóch dzielnic: chrześcijańskiej i arabskiej, a każda ma charakterystyczną dla siebie architekturę. Łączy je wysoki na 100 m most Puente Nuevo, jedna z największych atrakcji miasta. Oglądany z dołu robi piorunujące wrażenie. Wznoszący się na potężnych filarach i opierający się o dwie wielkie skały przypomina rzymski akwedukt. Między porośniętymi bujną roślinnością formacjami skalnymi przepływa rzeka, tworząc w centrum miasta niezwykle krajobraz wąwozu El Tajo. W oddali widać połacie winnic.

Nic dziwnego, że miasto zauroczyło Hemingwaya. Podobno przyjeżdżał tutaj na każdą corridę. Dowodzą tego liczne zdjęcie wesolego, brodatego pisarza. Bo wielką



atrakcją Rondy jest królewska arena z placem o średnicy 66 m.

Od XV w. corrida była uprawiana jako plebejska, nielegalna zabawa, która zaważnęła tłumami. Dopiero w 1785 r. król zdecydował się zalegalizować ten „sport”. Na polecenie monarchy w Rondzie zbudowano więc wzorcową arenę. Dzisiaj corridy odbywają się tam zaledwie kilka razy w roku. Dlatego niezwykle trudno jest o bilety, szczególnie gdy na widowisko zjeżdża rodzina królewska. Za to codziennie można zwiedzać ten niezwykle obiekt: wejść na arenę, zasiąść na widowni, a w muzeum obejrzeć kolekcję bogato zdobionych strojów torreadorów i ich koni, a także plakaty kolejnych corrid, w tym autorstwa samego Pabla Picassa. Na co dzień działa tam szkoła kawalerii królewskiej.

Gdy przyjeżdżamy, akurat wojsko rozpoczyna ćwiczenia. W olbrzymiej hali maneżowej kadeci uczą się jazdy konnej w królewskich orszakach. Jak przystało na obiekt koronny, nauka przebiega w paradnych warunkach. Plac pokryty czystym piaskiem oświetlają wielkie, kryształowe żyrandole, a ściany zdobią ogromne lustra w złotych ramach. To robi wrażenie.

Ale najciekawsza jest część areny przeznaczona dla byków.

– Zwierzęta są zupełnie dzikie, a żaden byk nie może brać udziału w corridzie więcej niż raz. Jeśli przeżyje, wraca do swojego stada rozrodowego i nigdy już nie pojawi się w tym widowisku – wyjaśnia nam José, który pracuje w obsłudze turystycznej. – Do każdej corridy przygotowuje się sześć byków oraz dwa rezerwowe. Zdarza się bowiem, że zwierzęta padają na zawał albo ulegają kontuzji, zanim jeszcze staną do walki.

Zaglądam do ich ciasnych boksów. Zamknięte w nich zestresowane byki często szaleją. Widać to na ścianach zrytych przez rogi zwierząt. Podczas corridy ludzie nie schodzą na dół do rozwścieczonego bydła. Z góry za pomocą lin otwierają wazy boksów, z których rozjuszony byk wypada do długiego, wąskiego korytarza prowadzącego wprost na rozświetloną słońcem, wypełnioną 5 tys. krzyczących ludzi arenę, gdzie czeka na niego torreador. To krwawe, mające coraz więcej przeciwników widowisko. Choć okrutne, jest obrazem i spuścizną andaluzyjskiej tradycji. Obecnie jest



tylko pięć aren w Hiszpanii, na których odbywa się corrida.

NA MALAGĘ DO MALAGI

Po obejrzeniu areny pora na kieliszek malagi. To wzmocnione spirytusem, wytwarzane z podsuszanych na słońcu winogron wino przypomina nieco portugalskie porto. Jest mocne, ostre i cierpkie. Dobrze na trawienie po grillowanych potrawach – zapewnia kelner. Półslodkie podane do wybornej szynki jamón bellota pata negra, czyli z czarnych świń iberyjskich karmionych żółędziami, wprawi nas w błogi nastrój. A słodka malaga popijana do bezy z bitą śmietaną i truskawkami to już rozkosz deserowa.

Zresztą dla hedonistów Malaga ma dużo więcej do zaoferowania. Winiarnie, bary tapas, restauracje serwujące owoce morza oraz dziczyznę, z której słynie Andaluzja. Wiele restauracji zamiast popularnej winnych częściach Półwyspu Iberyjskiego paelli oferuje grillowane mięso – wieprzo-

winę, drób i jagnięcinę. W maju trafimy na coroczne święto i targi oliwy, z której słynie Andaluzja. W wielu miejscach odbywają się wówczas oliwne degustacje z tradycyjnymi przekąskami. Ciekawostką są najdłuższe w Europie trwające zbiory oliwek – w Andaluzji odbywają się one od października do marca.

W nadmorskich minibarach czeka na nas kolejny specyficzny przysmak. Są to espetos de sardinas – sardynki pieczone na plaży na otwartym ogniu.

Na tutejszych plażach w ogóle sporo się dzieje, a najpopularniejsza to Malagueta w centrum miasta. Turystów ciągle przybywa, a wielu z nich poszukuje nieruchomości. Także zamożniejsi Polacy coraz częściej kupują tu apartamenty i domy, choć ceny są znacznie wyższe niż w innych regionach Hiszpanii. Cały rok jest tu ciepło, a klimat łagodny. Z pobliskiego Gibraltaru, który jest popularnym celem jednodniowych wycieczek, widać wszakże wybrzeże Afryki. Region stawia na turystykę, i to wyraźnie widać.

Nie ma uciążliwych handlarzy, szwędających się migrantów i trudno tu spotkać turystów „spoza kultury śródziemnomorskiej” – cytując jednego z mieszkańców. Mieszkaniec Malagi wyjaśnił mi to jednym zdaniem. – Wie pan, tu gen. Franco miał przez cały okres swych rządów największe poparcie w kraju i do dzisiaj ma tu zwolenników – rzekł, uśmiechając się pod nosem. Na przystankach i słupach oświetleniowych sam widziałem naklejki z symbolami, które są powszechnie zakazane...

W ostatnich latach w szczęśliwej i bogatej Maladze oraz pobliskiej Marbelli osiedliły się tłumy rezydentów, wśród nich członkowie hiszpańskiej, włoskiej i rosyjskiej mafii oraz wielu oligarchów ze Wschodu, o czym obszernie i regularnie donoszą media. Cóż, także oni odkryli, że wybrzeże Andaluzji to wymarzone miejsce do życia.



„Wciąż brak mi słów! Dziękuję! Dziękuję Wam wszystkim” – napisała Katarzyna Niewiadoma po sierpniowym zwycięstwie w Tour de France do fanów na Facebooku. Do ostatnich metrów ostatniego etapu walczyła, by utrzymać żółtą koszulkę liderki. O jej zwycięstwie w całym wyścigu zdecydowało kilka sekund

Katarzyna na szczycie

Zwyciężczyni Tour de France osiągnęła ten sukces po pełnej dramatyzmu walce podczas ostatniego, ósmego etapu z metą w Alpe d'Huez. Wygrała go Holenderka Demi Vollering, jej najgroźniejsza rywalka, wyprzedzając towarzyszkę ucieczki, swoją rodaczkę Paulienę Ro-oijakkers. Polka straciła do Vollering 1 min i 1 sek., ale w całym wyścigu zachowała przewagę 4 sek.

Ten ostatni etap Niewiadoma opisuje tak: „To kompletne szaleństwo. Przeszłam wszystkie stany emocjonalne, od strachu po euforię. Wczoraj, kiedy Demi odebrała mi cztery sekundy dzięki bonifikacie (za trzecie miejsce na mecie etapu w Le Grand-Bornard – za PAP), powiedziałam sobie, że nie ma problemu, że to tylko cztery sekundy. A dzisiaj wygrałam wyścig o cztery sekundy”.

Okazało się, że oprócz zwycięstwa ustanowiła rekord Wielkiej Pętli bez względu na płeć. Nikt wcześniej nie wygrał tego wyścigu z tak minimalną przewagą.

„MOMENT ATAKU DEMI BYŁ NAPRAWDĘ OKROPNY”

Gdy dziennikarze pytali, czy obawiała się porażki w wyścigu, kiedy po ataku Vollering na przełęczy Glandon nie potrafiła dotrzymać jej tempa, Niewiadoma odpowiedziała, że „moment ataku Demi był naprawdę okropny”.

Na szczęście wygrała w całym wyścigu. A mogło być inaczej, tak jak rok wcześniej, kiedy przegrała zwycięstwo niewielką różnicą.

DWIE WYBITNE SPORTSMENKI

Iga Świątek, tenisistka, najwybitniejsza polska sportswomenka, odpoczywająca po tym, jak odpadła w półfinale z Aryną Sabalenką, napisała o sukcesie Niewiadomej na platformie X (d. Twitter): „To jest absolutnie inspirujące i niesamowite! Ogromne gratulacje”.



złoto olimpijskie w kolarstwie szosowym kobiet na igrzyskach w Los Angeles w 1984 r.

UCIECZKA, A MOŻE WYKORZYSTANIE SZANSY?

W 2008 r. trener Zbigniew Klęk dostał telefon od swojego kolegi, byłego kolarza, z informacją, że u nich, w Ochotnicy Górnej, jest niesamowita dziewczyna, która ma dopiero 14 lat, i dzięki temu okrył ją dla polskiego kolarstwa.

Dziś Klęk mówi w Przeglądzie Sportowym: „Wszystko zawdzięcza temu, że uciekła z Polski. Tu nie ma żadnych perspektyw. Gdyby tu została, nic by nie wygrała”.

Czy to była ucieczka? A może to sukcesy 19-letniej zawodniczki zaowocowały tym, że dostała ofertę z zagranicy, z jednej z najlepszych grup świata – holenderskiego Rabobanku?

Ale na wielkie światowe sukcesy nasza kolarka musiała jeszcze trochę poczekać.

DZIĘKUJĘ BOGU

Dobrze, że Katarzyna Niewiadoma dostrzeża, że sukcesy zawdzięcza nie tylko swoim siłom. W Eurosporcie powiedziała: „Dziękuję za zwycięstwo Panu Bogu, który zawsze ma dla mnie plan. A w życiu wszystko dzieje się z jakiegoś powodu”.

Dorota Mękarśka

REKLAMA

**Radio 106.2
Warszawa**
dobrze słuchać

Poranek z Radiem Warszawa
"Budzimy stolicę i okolice"

Ewa Pietrzak, Jarosław Wydra,
Weronika Ostrowska i Janusz Zalewski
poniedziałek - piątek,
godz. 7.00-10.00

Reklama | 45/1123/F

Teraz mówi się, że polski sport ma dwie największe sportsmenki.

Z MĘŻEM NAJLEPIEJ

Po igrzyskach olimpijskich, które poprzedzały Tour de France, Niewiadoma stwierdziła: „W końcu zostawiam wszystko za sobą, ruszam do przodu bez dodatkowego bagażu olimpijskiego zawodu! Żeby pokonać wewnętrzną porażkę, potrzebny jest czas i przede wszystkim bliscy nam ludzie, którzy rozumieją nasz ból, potrafią słuchać i podzielić się słowem, którzy tak bardzo wspierają i pomagają”.

W tym kontekście nawiązywała przede wszystkim do 34-letniego męża Taylora Phinneya, któremu podziękowała „za jego cierpliwość i akceptację wszystkich moich (zwłaszcza na hormony) humorków nie tylko przez ostatnie dni i przez tygodnie, przygotowując się do Igrzysk i Touru”.

Kilka miesięcy temu w Przeglądzie Sportowym Onet Niewiadoma wyznała o nim: „Nie przesadzę, jeśli powiem, że ten człowiek jest największą motywacją, ogromną częścią mojego rozwoju”.

„Z mężem najlepiej” – pisała w czerwcu br., pokazując fanom efekty ich sesji zdjęciowej.

Podczas Tour de France Phinney wspierał żonę, malując na trasie hasła w rodzaju: „Kasia Queen”.

Poznali się kilka lat temu podczas zawodów w Katarze – w kwietniu br. obchodzili siódmą rocznicę związku.

Amerikanin ma w swoim dorobku medale mistrzostw świata zarówno w kolarstwie torowym, jak i szosowym. W 2019 r. zdecydował o zakończeniu kariery. Natomiast teściowa Katarzyny Niewiadomej Connie Carpenter zdobyła pierwsze w historii



Deszczowy las w Borrowdale w północno-zachodniej Anglii

Nieznane lasy Europy

Dzięki zróżnicowaniu warunków przyrodniczych naszego kontynentu w jego rozmaitych zakątkach możemy odnaleźć niezwykle ekosystemy leśne

Lasy deszczowe kojarzą się z Amazonią czy terenami wzdłuż wielkiej rzeki Kongo. Rzeczywiście, tam rozpościerają się największe obszary tropikalnych lasów deszczowych. Tymczasem na Wyspach Brytyjskich znajdują się lasy deszczowe strefy umiarkowanej, tym ciekawsze, że często określa się je dodatkowym przymiotnikiem: starożytne.

Lasy te, nazywane również celtyckimi, niegdyś pokrywały znaczną powierzchnię Irlandii i rozległe obszary zachodniego wybrzeża Wielkiej Brytanii. Na skutek wyrębów postępujących już od starożytności ich areal zmniejszył się, do dziś dotrwały niewielkie zalesione tereny. Najbardziej znanym z nich jest deszczowy las w Borrowdale w hrabstwie Cumbria w północno-zachodniej Anglii nad Morzem Irlandzkim, tuż przy granicy ze Szkocją.

Wyspiarskie lasy deszczowe w pełni zasługują na swoją nazwę. Są wystawione na wilgotne wiatry znad Atlantyku, co sprawia, że rocznie spada tam ok. 2 tys. mm deszczu – to ponadtrzykrotnie więcej niż średnia roczna opadów w Polsce. Z powodu intensywnych, regularnych opadów, stałej i bardzo wysokiej wilgotności powietrza oraz łagodzonych morskim klimatem temperatur wegetacja w tych lasach jest wyjątkowo bujna. Nasiąknięte wodą mchy, paprotniki i porosty tworzą warstwy o dużej miąższości i niespotykanej bujności, a pnie i gałęzie drzew są obrosnięte epifitycznymi roślinami.



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

TAJGA SKANDYNAWII

Na północy Półwyspu Skandynawskiego, już niedaleko za Sztokholmem czy Oslo, można zauważyć zmiany charakteru drzewostanów, które ze znanych nam lasów strefy umiarkowanej przechodzą w borealne lasy iglaste nazywane tajgą.

Zmiany te są dostrzegalne na pierwszy rzut oka. Większość gatunków drzew liściastych zanika, pozostają brzozy i osiki. Gatunkiem dominującym jest świerk, którego korony stają się bardzo wąskie, przybierając egzotyczny, wyraźnie północny wygląd. Powód to dostosowanie do warunków klimatycznych: wąskie korony o krótkich, nachylonych w dół gałęziach ułatwiają zsuwanie się śniegu, zapobiegając łamaniu się drzew podczas tamtejszych śnieżnych zim.

Przyroda skandynawskiej tajgi odznacza się cechą charakterystyczną dla dalekiej północy. Różnorodność gatunkowa roślin i zwierząt jest mniejsza, natomiast poszczególne gatunki osiągają niekiedy niespotykaną na południu liczebność.

Tę specyfikę, którą można nazwać pewną monotonią – lecz niezaprzeczalnie urokliwą i wciągającą – widać także w kolorystyce tamtych stron. Po zimowej bieli przychodzi zieleń, świeża i jasna wiosną, ciemniejąca latem. W lipcu do zieleni lasów przetkanych błękitem wszechobecnych jezior dołączają różowe kwiaty powszechnie występującej wierzbówki koprzy. Kiedy w sierpniu koprzyca przekwita, różowość zmienia się w kolor jasnożółty, przypominający barwę siana suszące się w snopkach; wraz z pierw-

szymi przymrozkami liściaste drzewa tajgi przebarwiają się, co w tej strefie klimatycznej jest szczególnie spektakularne.

Przyrodniczą odrębność skandynawskiej tajgi widać również w jej faunie. Występującą u nas sójkę zastępuje spokrewniony gatunek – sójka złowroga, zamiast saren i jeleni spotyka się losie i renifery. Rzadkie u nas głuszce są tam znacznie częstsze, wędrując po rozdzielających lasy torfowiskach regularnie napotyka się pardwy mszarne, nad małymi jeziorkami, w których szczupaki polują na okonie i same na siebie, gnieźdzą się rybołowy i łabędzie krzykliwe, których głośnie, niespodziewane „puuu!” brzmi surrealistycznie w tej północnej pustce.

BAŁTYCKA BRZEZINA BAGIENNA

Na wąskim pasie wzdłuż wybrzeża Bałtyku oddzielona od morza pasem wydm rośnie brzezina bagienna. Siedlisko to, bardzo rzadkie, występuje m.in. w Słowińskim Parku Narodowym.

Niezwykłe specyficzne warunki sprawiły że powstało wyjątkowe zbiorowisko roślinne. Od strony morza wraz z niosącymi słoną mgiełkę wiatrami na brzezinę bagienną napierają wysokie, kilkudziesięciometrowe piaszczyste wydmy; zdarza się, że piasek zasypuje drzewa, dopiero po latach odkrywając ich suche, błyszczące pnie.

Jednym z gatunków tworzących tę brzezinę jest brzoza omszona. W zagłębieniach u stóp wydym można zobaczyć owadożerne rośliczki, w runie pachnące bagno zwyczajne, bażynę czarną, płożącą się żurawinę błotną i spektakularnie kwitnący wrzosiec bagienny oraz malinę moroszkę – bardzo rzadką w Polsce, liczną natomiast w opisaney powyżej skandynawskiej tajdze, będącą u nas reliktem z czasów, kiedy na odsłaniane przez lodowce tereny wkraczały pierwsze pionierskie rośliny.

DĘBY SPESSARTU

W części Bawarii nazywanej Dolną Frankonią rosną drzewostany złożone z wyjątkowo okazałych dębów bezszypułkowych, występujących również w Polsce, lecz rzadszych w naszym kraju od dębów szypułkowych (łatwo je rozróżnić, znając jedną cechę: żołędzie dębu bezszypułkowego wyrastają bezpośrednio z gałązek, natomiast szypułkowego – z długich szypulek).

Dęby ze Spessartu słyną z wysokich, strzelistych pni o znakomitym drewnie. Być może owa wysokość sprawia również, że las ten jest jednym z bardzo niewielu miejsc w Europie, w których gnieździ się mała populacja jerzyków, zamieszkujących zupełnie wyjątkowo nie skały czy budynki w miastach, lecz wysoko położone dziuple (populacja taka znajduje się również w Puszczy Białowieskiej).

ZALEWOWE LASY DELTY DUNAJU

Na południowo-wschodnich krańcach Niziny Wołoskiej w Rumunii rozciąga się delta wielkiej rzeki Dunaj. Pośród tej rozległej krainy, mającej więcej wspólnego z wodą i mo-



W Hiszpanii w lasach rosną niewystępujące w Polsce dęby ostrolistne

kradłami niż z lądem, pomiędzy starorzeczami, odnogami rzecznyymi, niekończącymi się trzcinowiskami i piaszczystymi lachami rosną lasy łęgowe. Niewiele gatunków drzew znosi długotrwałe zalewanie przez wodę, w niektórych latach trwające nad Dunajem nawet trzy miesiące. Należą do nich niektóre gatunki topól oraz wierzb i to one tworzą naddunajskie lasy łęgowe, zawsze podmokłe, a często zupełnie zalane wodą, tak że łatwiej byłoby przeprowadzić się przez nie czołmem niż pieszo – chociaż nawet niewielka i zwrotna łódka od razu by ugrzęzła, uwieczona w płataninie oplatających pnie pnaczy.

Nadrzeczne rumuńskie lasy to świat zwierząt nie tylko ze względu na obecność gatunków gdzie indziej występujących rzadko lub niespotykanych, jak pelikany różowe, pelikany kędzierzawe, kormorany małe, wodne węże i żółwie błotne, lecz także z powodu ich oszałamiającej liczebności. Według dawnych klasyków rybołówstwa to właśnie w tych okolicach w Dunaju miały być spotykane pięciometrowe sumy; chociaż ich istnienie nigdy nie zostało ostatecznie potwierdzone, nie zostało też wykluczone. Kto wie, jakie rozmiary mogły osiągać te ryby, słynące z żarłoczności, długowieczności i wzrostu trwającego całe życie.

W HISZPAŃSKICH UPALACH

Carrasca to po hiszpańsku dąb ostrolistny. U nas ten gatunek nie występuje, rośnie w całej europejskiej strefie śródziemnomorskiej i w części Afryki Północnej. Od naszych dębów różni się małymi, skórzastymi, spiczasto-ząbkowanymi listkami. Jest bardzo odporny na wysokie temperatury i suszę. Wraz z różnymi ciepło i sucholubnymi gatunkami jałowców, niewystępującymi w Polsce sosnami oraz dzikimi oliwkami tworzy lasy twardolistne. Pomiedzy drzewami rosną wonne rośliny zielne i krzewinki, a wokół unosi się zapach tymianku i anyzku.

To niezmiernie ciekawe, wymagające siedlisko, będące rajem dla wielobarwnych żołą, dudków i dzierlatek, nad którymi, wykorzystując wznoszące kominy powietrzne, szybują sępy płowe o niemal trzymetrowej rozpiętości skrzydeł, wielkogłowe gadożery i ścierwniki białe; obecność tych ostatnich, nazywanych sępami egipskimi (faktycznie gnieźdzą się w załomach piramid) podkreśla egzotykę ostrolistnych lasów śródziemnomorskich.

Ze względu na zabójczo wysokie temperatury w lecie, o tej porze roku nie mniej interesujące od stworzeń dziennych jest życie zwierząt nocnych. Nocą z kryjówek wychodzi wiele owadów (to wtedy grają cykady) i uaktywniają się polujące na nie skorpiony, syczki i pójdzki.

Europę można zwiedzać na różne sposoby: szlakiem zabytków, kurortów, wydarzeń artystycznych i muzeów albo lasów.



JULIETTE BINOCHÉ*

Kulinarne namiętności

Już prawie ćwierć wieku minęło od premiery zmysłowej „Czekolady” Lasseggo Hallströma, w której Juliette Binoche uwodziła widzów – i Johnny’ego Deppa – rozplywającymi się w ustach i nieziemsko pachnącymi czekoladowymi przysmakami. Dziś aktorka powraca w filmie totalnie kulinarnym.

„Bulion i inne namiętności” wietnamsko-francuskiego reżysera Tran Anh Hung („Rykszarz”, „Zapach zielonej papai”) to wizualna uczta. 145 min po brzegi wypełnione cyzelowanymi operatorskimi, zmysłowymi ujęciami kolejnych etapów przygotowywania potraw, scenami wprowadzającymi w ekstazę fanów gotowania oraz smakoszy.

Jednocześnie to głęboki ukłon złożony francuskiej kuchni. Bo w tej filmowej opowieści osadzonej w drugiej połowie XIX w., w której dwoje ludzi: znakomita kucharka Eugénie (Juliette Binoche) i znany smakosz Dodin (Benoit Magimel), dzięki wspólnej pasji zbudowało niezwykle silną więź, to kulinaria są najważniejsze.

Reżyser tak jak bohaterowie ze sobą porozumiewa się z widzami głównie za pośrednictwem potraw. W dopiesz-



czonych ujęciach kolejnych etapów ich tworzenia. Poczynając od porannej wizyty w warzywniku przez przeglądanie i przygotowywanie dostarczonych składników, w których nie brak mięsa (przy tych scenach nie tylko wegetarianie mogą mieć problem) po wieloetapowy proces tworzenia kolejnych dań. A potem delektowania się nimi przy stole, kiedy nie tylko jakość, lecz także ilość potraw robi wrażenie.

Oczywiście nie bez powodu w tytule i w filmie króluje bulion. Pot-au-feu (dosłownie: garnek na ogniu) to najsłynniejsze francuskie danie jednogarnkowe

i zarazem dwa dania w jednym. Aromatyczny, esencjonalny rosół i jednocześnie główna potrawa złożona z mięsa oraz warzyw.

Są różne szkoły tworzenia i podawania potrawy, zarówno jeśli chodzi o skład, wybór mięs oraz warzyw, jak i technikę gotowania – od zimnej czy od ciepłej wody, w jakiej kolejności dodawać składniki itd. Odmienności wyznaczają granice regionów oraz zmieniające się pory roku, ale jedno pozostaje niezmiennie. Pot-au-feu to esencja francuskiej kuchni.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Jako Eugénie w filmie „Bulion i inne namiętności”*

Pot-au-feu

(przepis ze strony
vivelacuisine.pl)

Składniki: 500 g łopatki wołowej, 850 g giczy cielęcej, 450 g ogonów wołowych, 450 g szpondru, cebula nabitą 4 goździkami, bouquet garni [czyli wiązka ziół, baza to natka pietruszki, liść laurowy i tymianek uzupełniana m.in. bazylią, rozmarynem, cząbrem, trybulą; zwykle zioła związane są nicią lub sznurkiem, by łatwiej było je usunąć po gotowaniu – przyp. red.], gałązka selera, 2 pory, 6 marchewek, 3 rzepy, 2 małe topinambury, ząbek czosnku, 10 ziarenek pieprzu, sól, pieprz.

Wykonanie: Mięso wkładamy do garnka i zalewamy zimną wodą. Dodajemy obraną i nabitą goździkami cebulę, ziarenka pieprzu i bouquet garni. Doprowadzamy do zagotowania, usuwamy szum, po czym zmniejszamy ogień. Gotujemy na niedużym ogniu przez 3 godz. (wywar ma pykać). Po 2,5 godz. wyciągamy mięso, a do garnka dodajemy obrane marchewki i rzepy, seler i pory oraz dokładnie wymyte topinambury. Gotujemy ok. pół godziny aż warzywa będą miękkie. Najpierw podajemy bu-

lion (z makaronem, ryżem albo grzanką), a potem – jako danie główne – pokrojone mięso oraz warzywa. Posypujemy je grubą solą morską i jemy z dodatkiem musztardy oraz korniszonami.





SŁODKO-SŁONY

Nie tylko dla ptaków



ANNA MONICKA

Sypie czeremcha śniegiem” – tak powiedziała Ola, zaprzyjaźniona Ukrainka, która przez wiele lat przychodziła zrobić mi masaż pleców, patrząc wiosną na białe drzewko w moim ogródku. Przy okazji zabiegów zawsze piłyśmy herbatę, plotkowałyśmy, oglądałyśmy kwiaty przed domem. Ola od czasu do czasu wyrwała jakiś chwast, radząc mi, jak zrobić z niego prozdrowotną miksturę, usuwała nadmiernie wybujałe liście z moich winogron na płocie (żeby siła szła w owoc, a nie w zieleninę), narzekała, że mam za mało słońca, bo przywiozłaby mi od siebie z domu trochę sadzonek, ale one u nas nie będą chciały owocować (skończyło się na czosnku – bardzo smacznym i ostrym).

Ten wiersz o czeremchu przypomniał mi czasy podstawówki – bardzo lubiłam poezję Siergieja Jesienina, pełną liryzmu i ludowych bajai. Mama opowiadała mi o jego tragicznych losach i burzliwym małżeństwie z amerykańską tancerką Isadorą Duncan, która próbowała ratować utalentowanego młodego buntownika przed bolszewikami. Wkręceni w koło sportowego kabrioletu szal, który udusił artystkę, śnił mi się po nocach. Obie z Olą uczyłyśmy się rosyjskiego w szkole, pamiętałyśmy z dzieciństwa te same utwory.

„A wiesz, że czeremcha to nie tylko bohaterka liryczna? – spytała mnie kiedyś Ola. – Warto ją zbierać, a nie zostawiać na drzewie dla ptaków. Nie jest dla nas wcale trująca. Można jeść jagody na surowo, o tak” – zademonstrowała.

U mnie żywią się nią kowaliki i dzwonce, u niej w domu babcia robiła sok i nalewkę. „Są bardzo bogate w witaminy, idealne, jak masz kłopoty z odpornością, reumatyzmem, suchym kaszlem” – przekonywała.

Ciemnogrnatowe owoce trzeba zebrać i oskubać z szypulek, a potem umyć i zalać na dwa tygodnie wódką. Potem się przecedza, można dosłodzić i rozgrzewka na zimę gotowa.

Tak samo trzeba je przygotować na dżem. Czyste i przebrane zasypujemy cukrem (do smaku, bo bardzo dojrzałe są też bardzo słodkie), a gdy puszcza sok smażymy i po kilku godzinach przecieramy przez sitko. Możemy przełożyć już taką do wyparzonych słoików, możemy dodać starte jabłka z odrobiną soku z cytryny i jeszcze raz zagotować. Idealna przekąska witaminowa, przy okazji regulująca trawienie. Warto skosztować na białym serze, grzance albo jako dodatek do pieczonego kurczaka czy indyka. 



WILCZYM OKIEM

Nakrętki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Plastikowe nakrętki doczepiane do butelek budzą emocje. Część osób widzi w nich nieuzasadniony wymysł, który ma utrudnić życie i ograniczyć wolność. Niektórzy tylko krytykują, inni stawiają czynny opór, zadając sobie dodatkowy trud, by urwać nakrętkę i celowo wyrzucając ją osobno. Podobnie jest z papierowymi rurkami do napojów. One też wywołują niechęć i negatywne komentarze.

Osoby, które krytykują i zwalczają te oraz podobne rozwiązania, nie są pionierami. To stara postawa. Tak samo protestowano przeciwko kinu, myciu włosów, kanalizacji, koszeniu kosą itp.

Przytwierdzenie plastikowych nakrętek do pierścieni na butelkach ma zapobiec temu, aby nakrętka, element mały i łatwy do przeoczenia, nie trafiła w niekontrolowany sposób do środowiska. Kiedy tak się dzieje, plastik może się stopniowo rozkładać, powodując zanieczyszczenie, może też być np. połknięty przez któregoś z wodnych albo lądowych stworzeń – połknięcie nakrętki pachnącej np. jogurtem przez lisa jest całkiem prawdopodobne, zwłaszcza biorąc pod uwagę liczbę nakrętek. Jeżeli zwróci się na nie uwagę w różnych miejscach: na chodnikach, trawnikach, w wodzie i nad jej brzegami albo przy śmietnikach, z których wytańczają się chyłkiem podczas wywożenia śmieci, widzi się, że nie są to pojedyncze przypadki, lecz nagminne zjawisko.

Przymocowane nakrętki i papierowe rurki, których wprowadzenie również ma na celu zmniejszenie zanieczyszczenia i zagrożeń płynących z niekontrolowanej obecności plastiku w przyrodzie, to tylko przykłady. Duża część tego typu rozwiązań, już funkcjonujących i dopiero wprowadzanych, jest korzystna dla środowiska. Oczywiście można mówić o nieskuteczności i zestawiać skalę zaoszczędzonych w ten sposób środowisku tworzyw w Europie chociażby ze słynnymi azjatyckimi rzekami plastiku spływającymi do oceanu. Tylko po co do wielkiego zanieczyszczenia dokładać mniejsze?

Lepiej rozwijać, oczywiście mądrze, nowe rozwiązania, stając się przykładem i prekursorem oraz kimś, od kogo w przyszłości reszta świata będzie się uczyć i podziwiać czystą przyrodę. 

OGNIEM NA WPROST

Regularno, czyli normalka



Andrzej Rafał Potocki

Ukraiński główny zarząd wywiadu wojskowego (HUR) odkrył tajniki operacji „Oczeret” z maja b.r. „Oczeret” po naszymu to trzcina, choć tego słowa bez polskiej transkrypcji używał również Henryk Sienkiewicz, opisując w „Ogniem i mieczem” działania Kozaków zaporoskich na Dnieprze. W akcji HUR chodziło o wyeliminowanie sztabu pułku okrytej złą sławą kacapskiej jednostki „Storm Z”, która składa się głównie z kryminalistów. Oddział słynie z brutalności i ma na koncie liczne zbrodnie wojenne. Ogólnie „Storm Z” stanowi ważny element wkładu osobowego maszyny do mielenia mięsa, zwanej eufemistycznie szturmami na wroga bez możliwości odwrotu. Bohaterem operacji „Oczeret” został żołnierz, który miał już po wyżej uszu chorych stosunków w swojej jednostce. „Silver”, bo taki pseudonim dostał nasz bohater, postanowił zakończyć swoje zaangażowanie w rosyjskie siły zbrojne poprzez brawurowy atak na własny sztab. Po uzgodnieniu drogi ewakuacji z wywiadem Kijowa, nie certolił się, tylko wziął do worka pęk granatów. Odbezpieczone wrzucił do komina, którego wylot znajdował się w piwnicy – sypialni sztabowców jego pułku. Wskutek eksplozji zginęło lub zostało rannych 15 oficerów, których szczątki mieszały się z kawałkami materaców, niektóre trzeba było zdrapywać ze ścian. Sam „Silver”, wykorzystując zamieszanie, dał drapaką do Tryzubów, zaminowując wcześniej drogę odwrotu. Widać chłopak ma „charakter w nogach”, bo ucieczka się powiodła i żołnierz służy teraz w Legionie Wolności, składającym się z Moskali walczących przeciwko wojskom Kremla.

praw pontonowych zakończyły się fiaskiem z powodu ataków dronów FVP. Mimo że opór Moskali powoli staje się coraz silniejszy, to czołowe jednostki SZU prą na Kursk zagonami. Nie jest co prawda tak łatwo jak na początku, ale walka trwa. Tak czy inaczej, do Moskwy jeszcze kawał drogi.

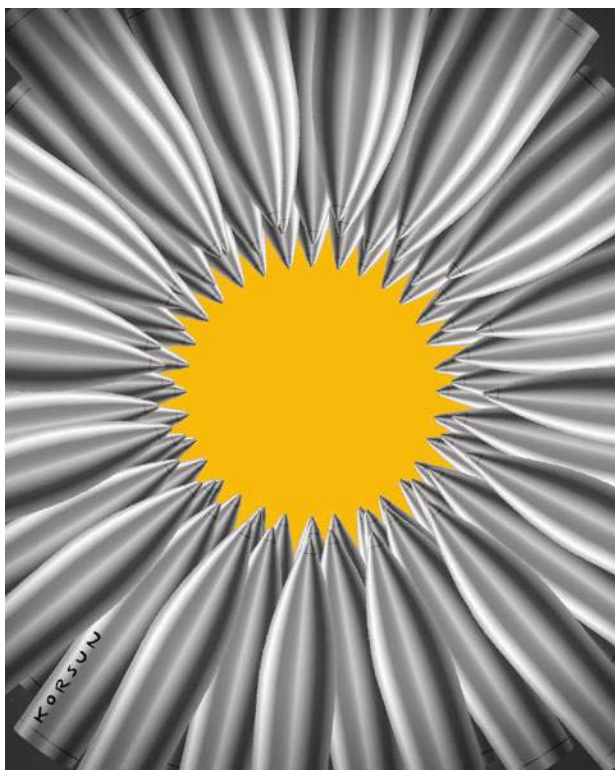
Lata temu, gdy pierwszy raz trafiłem do Moskwy, jednym z pierwszych obrazków, które utkwily mi w pamięci, była rozmowa dwóch dżentelmenów na przystanku autobusowym. Jeden był trzeźwy, a drugi w sztok pijany i chwiał się na nogach. „Jak leci?” – pyta trzeźwy swojego znajomego. „Regularno” – odpowiedział ten drugi, po czym zatoczył się i zwrócił zawartość żołądka na chodnik. Nikt nawet się nie obejrzał. Ot, normalka. Inaczej było w jednej z ruskich jednostek frontowych. Sierżanci postanowili nie przechodzić obojętnie wobec nagminnego chłania i ukarać swoich podwładnych za nadużywanie alkoholu. Ukraiński polityk Anton Heraszczenko na platformie X (d. Twitter) zamieścił nawet nagranie z lekcji trzeźwości w drugiej armii świata. Najpierw podoficerowie przywiązali delikwentów do drzew. Następnie zwymyślali ich od najgorszych. „Musisz być zagubiony? Jesteś też pijany, prawda? Ty pijaku je...ny. Uderz go, tego raz, a tamtego dwa razy. Rozumiesz? Dawaj!” – rozkazuje sierżant kapralom dręczącym przywiązanych. I łomot. Jednemu aż głowa odskoczyła na bok. Wot, regularno!

Sytuacja na kierunku kurskim. Ukraińcy zdołali przesunąć się o 20–30 km od granicy państwowej, pod miejscowości Snagost, Korieniewo, Kauczuk, Bolsoje Soldatskoje, Giri, zdobywając Sudżę. W ten sposób utworzyli jakby nieregularny półokrąg, którego podstawą jest granica. Ze wschodu na zachód Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) opanowały teren długości ok. 45 km w linii prostej (od Wiszniewki do Spalonego). Ciekawa sytuacja powstała na lewej flance natarcia. Tam zrobił się jakby odwrócony półokrąg pełen kacapskich bojów. Ich sytuację utrudnia nacisk wojsk ukraińskich z trzech stron. Moskal chętnie by się wycofał z arcyniewygodnej pozycji, ale za plecami na północy ma rzekę, na której Tryzuby rozwalily już wszystkie trzy mosty, trafiając w nie HIMARSAMI. Wszelkie próby budowy prze-

Regularno było też we wspomnianej jednostce „Storm Z”, ale tam mieliśmy do czynienia ze znacznie wyżej podniesioną poprzeczką. Kryminaly dorwały gdzieś flachę bimbru i się zaczęło. Jak tylko degustator poczuł moc siwuchy, odbezpieczył swój karabinek szturmowy i puścił serie po kumplach z oddziału. Ci nie pozostali dłużni i roznieśli go ze swojej broni na strzępy. Efekt: zabity i kilku rannych. Potem dochodzenie w stylu jak wyżej. Co prawda obeszło się bez drzew, ale i w piwnicy też można dojść do prawdy (kto skłował bimber?) odpowiednimi metodami. Okazało się, że dowódca plutonu o ksywie „Marynarz”. Ujednych mamy „Boga, Honor i Ojczyznę”, a u Moskala – „Wódę, Piachę i Śmierć”. Regularno.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje:
Der Onet martwi się o Polską amunicję



Wycinki z przeszłości

To było ostatnie lato wolnej, niepodległej Polski. Czym żyli czytelnicy „Mojej Przyjaciółki” w 1939 r.?

„Młodość sędzi bezkrytycznie, że szczęście w małżeństwie to przede wszystkim uczuciowa strona życia – to kwestia wzajemnej miłości ludzi. Oczywiście jest to bardzo ważny warunek, bez którego nie powinno się zakładać ogniska rodzinnego. Ale on sam, bez uzupełnienia go innymi wartościami, nie potrafi zapewnić trwałej harmonii w związku” – stwierdzono w artykule „Kobieta w roli towarzyszk życia”.

„W warzywniaku trzeba ciągle pleć i motyczkować warzywa. Chwasty wyrwane składać trzeba na pryzmy kompostowe, które należy formować, by nie odrażały swoim widokiem” – czytamy w kąciku „Mój ogródek”.

„Pragnę spędzić dwa lub trzy tygodnie wakacji z córeczką lat cztery i pół, przy dobrej, wesołej rodzinie, gdzie nie sprawiłabym wiele kłopotu – w jednej z miejscowości podgórskich Małopolski Zachodniej. Chciałabym, aby mój pobyt nie wyniósł zbyt drogo. Może która z Pań przyjmie mnie do siebie (może to być dwór). Zaznaczam, że jestem osobą skromną i niewybredną” – zwracała się z prośbą czytelniczka „Ziutuśka z Małopolski”.

(mk)



Z WOLEJA

Mecz zenada



**Ryszard
Czarnecki**

Legia niespodziewanie wyeliminowała z europejskich pucharów wyżej notowanych Duńczyków, Wisła Kraków wygrała dreszczowiec (12 serii rzutów karnych) ze Słowakami. Śląsk Wrocław został totalnie oszukany przez sędziego w meczu ze Szwajcarami, a Jagiellonia Białystok gra w europucharach ze słynnym Ajaksem Amsterdam, który awansował po 17 (!) seriach rzutów karnych w meczu z Grekami. Jednak te niebawem

emocje to puch marny w porównaniu z meczem rozgrywanym między Ministerstwem Sportu a Polskim Komitetem Olimpijskim. W tym fascynującym pojedynku oświadczenia są jak rzuty karne, konferencje prasowe jak sytuacje sam na sam, a przecieki jak rzuty wolne bezpośrednie w obrębie pola karnego. Przy czym te ostatnie są w piłce rzadkością, a przecieki w tym meczu – normą. Idzie na ostro. Minister sportu pod parasolem premiera chce usunąć prezesa PKOl, co w III i IV RP nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Komitet też nie odstawia nogi, a jego prezes naparza ministra sportu jak nikt inny przed nim: dotychczas każdy szef resortu sportu dogadywał się, a często blisko współpracował z władzami PKOl i odwrotnie. To leżało w interesie obu stron, a przede wszystkim Białe-Czerwonych.

Mecz Nitras kontra Piesiewicz jest jak grecka tragedia: wiadomo, że skończy się źle. Dla miłośników westernów mam złą wiadomość – nie ma tu dobrego szeryfa. Szef Ministerstwa Sportu i Turystyki inaczej niż jego poprzednicy z różnych opcji (np. Kamil Bortniczuk, Piotr Gliński, Witold Bańka, a także Joanna Mucha z przeciwnej opcji) traktuje sport jak pole partyjno-politycznej egzekucji i instrument walki z opozycją. Zaś prezes PKOl przed igrzyskami w Paryżu głosił propagandę sukcesu, przewidywał największą w XXI w. liczbę medali, a teraz po najgorszym pod względem zdobytych krązków występie Polaków od 68 lat płaci za to cenę. Plus duży ujemny bonus za powtarzanie jak mantrę, że profesjonalny ruch olimpijski w Polsce zaczął się od jego prezesury.

Nie wiem, kto wygra tę walkę, ale wiem, kto ją przegra: polski sport. Zamiast dyskutować, jak wyjść nie tyle z dołka, ile z Rowu Mariańskiego, bo w klasyfikacji medalowej (nie mylić z liczbą medali) zajęliśmy najgorsze w historii miejsce w piątej dziesiątce, widzimy tylko walkę kto kogo.

A gdy Nitras mówi o PKOl, że to „pisowska patologia”, to się uśmiecham, bo Piesiewicz na wiceprezesa PKOl wziął byłego ministra z PO, na drugiego wiceprezesa kandydata PO do europarlamentu, a na członka prezydium byłego posła PO. ➤

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewziewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Na kogo przerzucić głosy!

Uprzejmie prosimy, by stosować się do następującego przykazania: Nie bierzmy za oczywiste tego, co *takie nam* się wydaje.

Ostatnie dwa felietony zamieszczone w tym miejscu: „Zrzućmy oczywistość” oraz „Kompromitacja dziś niemożliwa (prawie)” próbowały m.in. przekonać czytelników tygodnika „Sieci” do pogodzenia się z tezą, że żyjemy w świecie, w którym to, co oczywiste, często ma charakter tylko lokalny.

ROZBITE WSPÓLNOTY

Zostało rozbitych tak wiele różnych więzi wspólnotowych, zostaliśmy popychani w tak odrębne bańki komunikacyjne, że coraz trudniej osiągnąć porozumienie nawet w prostych sprawach. Można się z tym nie zgadzać, ale nie należy zamykać oczu na tę nową społeczność, tj. w istocie *aspoleczną*, sytuację komunikacyjną. Kto jej nie zrozumie, kto będzie działał i myślał po staremu, ten Polsce niestety nie pomoże. Ten Polski w obliczu różnych zagrożeń nie upilnuje.

SZOK, NIEDOWIERZANIE

„Według sondażu dla wp.pl ponad połowa Polaków uważa, że rząd Donalda Tuska nie wywiązuje się z obietnic złożonych w czasie kampanii wyborczej. [...] Ważniejsze, że prawie 40 proc. Polaków uważa, że Tusk się wywiązuje z obietnic. Stop. Proszę państwa, skąd, jak, gdzie oni te 40 proc. znaleźli i jakie w tych głowach 40 proc. (nie o wódkę chodzi) zachodzą fantastyczne procesy poznawczo-analityczne? Stop. Wywiązuje? Szok i niedowierzenie, zachwycającym znajduję nasze społeczeństwo”. To cytata z felietonu Sławomira Jastrzębowskiego („Do Rzeczy”, 12–18 sierpnia 2024).

Jako socjologowie wiemy aż za dobrze, że niekiedy badacze (czy też: „badacze”) mogą w razie czego pomóc znaleźć odpowiedni procent. Ale tym razem wcale tak nie musiało być.



Nie liczymy na to, że kolejne „oczywiste kompromitacje” obecnej koalicji w naturalny sposób przełożą się na znaczący spadek poparcia dla dziś rządzących

Dlaczego aż nazbyt prawdziwe jest znane powiedzenie: „Łatwiej kogoś oszukać, niż przekonać go, że został oszukany”? Wydaje się, że ten sam mechanizm działa w dwóch sytuacjach. Oszuści często osiągają sukces, wmawiając komuś, że jest bardziej inteligentny, niż jest – bo przecież „ma swój rozum”. A później nielato jest przekonać kogoś, że dał się ogłupić, bo dla kogo przyjemne jest uświadomienie sobie własnej głupoty? Dlatego jedne informacje chętnie dopuszczamy do naszych głów, a przed innymi stawiamy bramki. I zdaje się, że właśnie to jest źródło postaw zwolenników obecnej władzy, którzy doprowadzili redaktora Jastrzębowskiego do szoku poznawczego.

Ale może dodatkowo w grę wchodzi tu jeszcze coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego.

SYNDROM SZTOKHOLMSKI

To stan psychiczny, w którym ofiary porwania lub zakładnicy zaczynają odczuwać sympatię i solidarność z osobami, które ich przetrzymują. Pojęcie to pochodzi od napadu na bank w Sztokholmie w 1973 r., kiedy po sześciodniowym uwięzieniu zakładnicy zaczęli bronić swoich porywaczy.

Uważa się, że syndrom sztokholmski jest wynikiem silnego stresu i prób nawiązania przez ofiary więzi z oprawcami w celu przetrwania. Czasem dochodzi nawet do sytuacji, w której ofiary pomagają swoim oprawcom, broniąc ich przed policją.

PSYCHOZAKŁADNICY

Bodaj najlepszym, by nie rzec: śmieszno-strasznym, przejawem takiego syndromu jest chyba środowisko, które na Twitterze określa się mianem Silni Razem. To osoby zachowujące się jak platformerscy fanatycy.

Pamiętajmy, że nie tylko dla owych „silnych” to, co nam jawi się jako „oczywiście kompromitujące”, nie musi być takie. Pilnujmy się, by pochopnie nie uogólniać naszych własnych ocen i odczuć – nawet gdy naszym zdaniem są zgodne z obiektywnymi faktami.

Nie liczymy na to, że kolejne „oczywiste kompromitacje” obecnej koalicji w naturalny sposób przełożą się na znaczący spadek poparcia dla dziś rządzących. Od czego zależy przerzucenie głosów? Najbardziej nawet „oczwista” racjonalna argumentacja tu nie wystarczy. By nastąpiło takie przesunięcie poparcia, potrzeba czegoś więcej. Potrzebne jest uzyskanie przez istotną część opinii publicznej przekonania, że rozczarowawszy się już obecną ekipą, mają na kogo przerzucić swoje głosy. A na tym polu obóz niepodległościowy ma jeszcze bardzo wiele do zrobienia!

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

Interesujesz się historią?

Poznaj pasjonujące lekcje historii w formie e-booków



Nieznane strony historii Polski

10 pasjonujących opowieści o wybitnych Polakach i odkłamywanych faktach | 106 stron



Powstanie Styczniowe 1863 r.

13 historii o najważniejszych ludziach powstania | 130 stron



Gdzie diabeł nie mógł

25 opowieści o niesamowitych kobietach | 178 stron



Nieznane opowieści o ludziach i wydarzeniach

12 lekcji historii, które pomagają zrozumieć przeszłość | 121 stron



Pupile historii

30 nietypowych lekcji historii | nie tylko dla wielbicieli psów | 128 stron

JAK ZDOBYĆ HISTORYCZNE E-BOOKI?

Wystarczy wykupić cyfrową prenumeratę tygodnika Sieci już **od 5,90 zł**

Zamów na:

siec.wpolityce.pl/oferta



Każdy nowy subskrybent znajdzie e-booki w zakładce Moje wydania/Sieci Extra



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

